

Stado ujilfcótu
Wasyl Bykow
STADO WILKÓW
przekład Andrzej Bień

Krajowa Agencja Wydawnicza

Tytuł oryginału

Wouczaia zgraja (apowiesc')

Wydawnictwo „Mastaekaja literatura”. Mińsk 1975.

Otoczony hałaśliwym ludzkim potokiem szedł razem ze wszystkimi — peronem, wzdłuż budynku stacyjnego; przeszedł przez metalową bramkę i znalazł się na placu przed dworcem. Tutaj jednak tłum rozsypał się, pasażerowie kierowali się w różne strony: do autobusu, do pomieszczeń dworca, na postój taksówek i do przechowalni bagażu. Powinien więc zwolnić kroku. Nie wiedział co czynić dalej: iść na piechotę czy może przejść do przystanku autobusowego? Postawił na gorącym, poplamionym olejami asfalcie swoją nienową walizczkę z metalowymi okuciami i rozejrzał się. Trzeba by było zapytać kogoś o drogę. Miał w kieszeni wymiętą kopertę i zastanawiał się tylko kogo by tu zagadnąć.

Ludzi było mnóstwo, ale wszyscy mijali go z takim pośpiechem, że długo musiał wpatrywać się w ich młode i stare, męskie i kobiece, zaaferowane twarze, zanim wybrał niemłodego już, pewnie w tym samym wieku co i on człowieka, który odchodził od kiosku z gazetami.

— Powiedz... Powiedzcie, proszę, jak się dostać na ulicę Kosmonautów? Piechotą, czy autobusem?

Człowiek podniósł znad gazety niezbyt zadowoloną twarz i spojrzał na niego surowo przez szkła okularów. Odpowiedział nie od razu: być może przypominał sobie, gdzie jest ulica Kosmonautów, a może chciał się przyjrzeć nieznanemu, najwyraźniej nietutejszemu mężczyźnie w szarej marynarce z nie najlepszej tkaniny i w koszuli bez krawata, zapiętej na

wszystkie guziki, chociaż było ciepło, a nawet gorąco. Pod tym badawczym, mimo że krótkim spojrzeniem pożałował zaraz, że nie zawiązał sobie krawata, który już chyba od ośmiu lat wisiał bezużytecznie na gwoździu w jego szafie. A i stara mówiła, że teraz w mieście wszyscy noszą krawaty, lecz on po prostu nie lubił krawatów, nie umiał ich wiązać i pojechał tak, jak chodził w domu w dni świąteczne: w szarym, niezłym jeszcze garniturze i pierwszy raz włożonej, chociaż kupionej już dawno, szarej koszuli non-iron. Na stacji zrozumiał jednak, że w mieście ubierają się inaczej — albo w lekkie koszulki z krótkimi rękawami, do łokci, albo — pewnie z powodu święta — w białe koszule z krawatami. Zresztą nie takie to w końcu zmartwienie — pomyślał — wystarczy mi kłopotów bez całego tego zawracania głowy z przyrodziewkiem...

— Kosmonautów, Kosmonautów... — powiedział zagadnięty przypominając sobie gdzie jest ta ulica. Obejrzał się. — Wsiądźcie tutaj do autobusu. Do siódemki. Dojedziecie do placu, przejdziecie na drugą stronę i koło delikatesów przesiądziecie się. Dalej pojedziecie jedenastką — dwa przystanki — a potem znowu kogoś zapytacie. Stamtąd to jeszcze jakieś dwieście metrów.

— Bardzo dziękuję — powiedział, chociaż wcale nie zapamiętał tej skomplikowanej marszruty. Nie chciał jednak zatrzymywać zajętego prawdopodobnie człowieka, toteż zapytał jeszcze tylko:

— Czy to daleko? Dwa, trzy kilometry?

— Jakie tam trzy? Będzie z półtora.

— To po co jechać? Pójdę na piechotę. — Ucieszył się, że poszukiwana ulica była o wiele bliżej niż myślał na początku.

Niespiesznie ruszył trotuarem, starając się, aby jego walizku jak najmniej przeszkadzała licznym tutaj linijki

przechodniom. Większość osób spieszyła w stronę dworca. Rzadko szli pojedynczo, częściej po dwóch lub trzech, a czasem całymi grupami. Od dworca szło niewielu. Zauważywszy tę osobliwość, przyjezdny zaczął przysłuchiwać się rozmowom, ale rozmowy były niecierpliwie i urywane — jakieś beztrioskie żarty, śmiechy i niezrozumiałe uwagi. Obok sklepu spożywczego, który mijął, ludzi było jeszcze więcej — przeważnie mężczyzn; spojrzał przez ogromną szybę i

zdziwił się — wielki tłum zebrał się przy ladzie. Wszystko to podobne było do jakiegoś święta czy uroczystości i aż korciło, żeby zapytać z jakiej to okazji. Ciągłe jednak waliły grupy i grupki zajętych sobą i czymś chyba podnieconych ludzi; zapytać nie było kogo. Niektórzy na krótko zatrzymywali się przed olbrzymią tablicą z reklamami, na której już z daleka można było przeczytać: „Piłka no żn a”. 27 czerwca na stadionie Dynamo miało się odbyć spotkanie dwóch drużyn. Pojął, że mecz się zaraz zacznie i stąd pewnie cała ta bieganina na ulicy.

Piłką nożną nie bardzo go ciekawiła. Nie oglądał jej nawet w telewizji. Nie mógł zrozumieć ludzi kibicujących tej lub innej drużynie jakby tam grał ich brat albo swat, albo przynajmniej dobry znajomy. Dla niego nie było różnicy kto z kim wygra. Dzisiaj ci, a jutro tamci — czy w ogóle jest się czym przejmować?

Pewnie; jednak mieszkańcy miasta zapatrywali się na to inaczej i dlatego coraz trudniej było iść ulicą. Im mniej czasu zostawało do rozpoczęcia meczu, tym bardziej wszyscy się spieszyli, przeważnie młodzi mężczyźni wśród których trafiały się jednak i kobiety. Przepelnione autobusy ledwie pełzły, z nie zamkniętych drzwi zwisali pasażerowie. Za to z powrotem autobusy jechały prawie puste. Przybysz zatrzymał się na rogu, przyglądając się tym przejawom miejskiego życia. Pomyślał, że trzeba pamiętać, aby opowiedzieć o tym wszystkim w domu, po powrocie do wio::ki.

Potem długo i wolno szedł trotuarem- Zęby na próżno nie zadawać pytań spoglądał na mury domów z różnymi nazwami ulic, aż na niebieskiej tabliczce zobaczył białe drukowane litery: „UL. KOSMONAUTÓW”. Ale numer domu się nie zgadzał, podszedł więc do następnego budynku i przekonał się, że to jeszcze daleko. Szedł więc dalej, przyglądając się .po trochu życiu tego miasta, w którym nigdy nie był i do którego nigdy by nawet nie przyjechał, gdyby nie list krewniaka, który miał w kieszeni. Co prawda oprócz adresu tego człowieka krewniak nie nadsyłał żadnych wiadomości; nie dowiedział się nawet gdzie tamten pracuje i czy ma rodzinę... No ale czego mógł się dowiedzieć student, chłopiec jeszcze, który przypadkowo natracił w gazecie na znajome nazwisko i dostał adres w komendzie milicji? Teraz on sam dowie się wszystkiego — po to właśnie przyjechał.

Przed wszystkim ucieszył się bardzo, że tamtemu udało się przeżyć wojnę, należało też sądzić, że po wojnie los był bardziej łaskawy dla niego. Jeżeli mieszka przy takiej szerokiej ulicy, to pewnie, nie jest ostatnim człowiekiem w mieście, a może nawet — kto wie? — został jakimś kierownikiem. Chociaż wiedział oczywiście, że nie tylko zawód i stanowisko określają człowieka, że liczą się jeszcze: charakter, usposobienie, dobroć albo złość — to co przeważa, to właśnie wyznacza ludzką wartość. Wszystko to wydawało się teraz bardzo ważne, ważniejsze niż cokolwiek innego. Ważne byłoby przecież dla każdego gościa, wie wzywanego i nie oczekiwanego, który ma po raz pierwszy przestąpić nieznajomy próg.

Spodziewał się jednak najlepszego, ponieważ sam był człowiekiem spokojnym i umiał szanować innych.

Przyglądał się wielkim, pięcio- i dziesięciopiętrowym budynkom z białej silikatowej cegły i wielu balkonom, pozostawianym najróżniejszymi domowymi gratami — składanymi łóžeczkami i stolikami, starymi krzesłami. Spoglądał na oplatane sznurkami balkony, na których powiewała bielizna i starał się wyobrazić sobie mieszkanie tego, którego szukał. Też jest na pewno z balkonem, na jednym z wyższych pięter domu. Uważał, że im wyżej, tywi lepsze jest mieszkanie — więcej słońca, czystsze powietrze i co najważniejsze, daleko widać — wszyściutko, jeżeli nie do końca, to przynajmniej do połowy miasta. Sześć lat temu jeździł do siostry żony do Charkowa i będąc tam bardzo lubił patrzeć na ulicę z balkonu, chociaż tamten balkon wcale nie był wysoko, zaledwie na trzecim piętrze.

Ciekawe jeszcze jak go przyjmą...

Oczywiście najpierw zastuka do drzwi — nie za głośno, nie pięścią, ale zgiętym palcem, tak jak kazała mu żona zanim wybrał się w podróż. Zastuka i odstąpi trochę, żeby nie włożyć prosto do mieszkania, kiedy drzwi się otworzą. Czapkę, jasna sprawa, zdejmie wcześniej, może nawet jeszcze w bramie albo na schodach. Kiedy drzwi się otworzą zapyta najpierw czy mieszka tu ten, którego on szuka. A może sam otworzy? Dobrze by było! Nietrudno chyba byłoby go poznać, chociaż

upłynęło już trzydzieści lat; można powiedzieć, że w tym czasie nie było człowieka i nagle zjawił się człowiek. Wszystko jedno, poznałby go i tak. Pamiętał przecież jego ojca, a syn powinien być trochę do ojca podobny. Jeżeli natomiast otworzy żona albo któreś z dzieci... Nie, dzieci są chyba jeszcze za małe... Chociaż mogą też otworzyć dzieci. Jeżeli dziecko ma pięć lub sześć lat, to dlaczego by nie miało otworzyć drzwi? Wtedy on zapyta o gospodarza i przedstawi się.

9

| "||"" " : \ |

skiego życia. Pomyślał, że trzeba pamiętać, aby opowiedzieć o tym wszystkim w domu, po powrocie do wioski.

Potem długo i wolno szedł trotuarem- Zęby na próżno nie zadawać pytań spoglądał na mury domów z różnymi nazwami ulic, aż na niebieskiej tabliczce zobaczył białe drukowane litery: „UL. KOSMONAUTÓW”. Ale numer domu się nie zgadzał, podszedł więc do następnego budynku i przekonał się, że to jeszcze daleko. Szedł więc dalej, przyglądając się *po trochu życiu tego miasta, xv którym nigdy nie był i do którego nigdy by nawet nie przyjechał,, gdyby nie list krewniaka, który miał w kieszeni. Co prawda oprócz adresu tego człowieka krewniak nie nadsyłał żadnych wiadomości; nie dowiedział się nawet gdzie tamten pracuje i czy ma rodzinę... No ale czego mógł się dowiedzieć student, chłopiec jeszcze, który przypadkowo natrafił w gazecie na znajome nazwisko i dostał adres w komendzie milicji? Teraz on sam dowie się wszystkiego — po to właśnie przyjechał.

Przed wszystkim ucieszył się bardzo, że tamtemu udało się przeżyć wojnę, należało też sądzić, że po wojnie los był bardziej łaskawy dla niego. Jeżeli mieszka przy takiej szerokiej ulicy, to pewnie nie jest ostatnim człowiekiem w mieście, a może nawet — kto wie? — został jakimś kierownikiem. Chociaż wiedział oczywiście, że nie tylko zawód i stanowisko określają człowieka, że liczą się jeszcze; charakter, usposobienie, dobroć albo złość — to co przeważa, to właśnie wyznacza ludzką wartość. Wszystko to wydawało się teraz bardzo ważne, ważniejsze niż cokolwiek innego. Ważne byłoby przecież dla każdego gościa, inie wzywanego i nie oczekiwanego, który ma po raz pierwszy przestąpić nieznaną próg.

Spodziewał się jednak najlepszego, ponieważ sam był człowiekiem spokojnym i umiał szanować innych.

Przyglądał się wielkim, pięcio- i dziesięciopiętrowym budynkom z białej silikatowej cegły i wielu balkonom, pozastawianym najróżniejszymi domowymi gratami — składanymi łóżeczkami i stolikami, starymi krzesłami. Spoglądał na oplatane sznurkami balkony, na których powiewała bielizna i starał się wyobrazić sobie mieszkanie tego, którego szukał. Też jest na pewno z balkonem, na jednym z wyższych pięter domu. Uważał, że im wyżej, tym lepsze jest mieszkanie — więcej słońca, czystsze powietrze i co najważniejsze, daleko widać — wszyściutko, jeżeli nie do końca, to przynajmniej do połowy miasta. Sześć lat temu jeździł do siostry żony do Charkowa i będąc tam bardzo lubił patrzeć na ulicę z balkonu, chociaż tamten balkon wcale nie był wysoko, załed-wie na trzecim piętrze.

Ciekawe jeszcze jak go przyjmą...

Oczywiście najpierw zastuka do drzwi — nie za głośno, nie pięścią, ale zgiętym palcem, tak jak kazała mu żona zanim wybrał się w podróż. Zastuka i odstąpi trochę, żeby nie włączyć prosto do mieszkania, kiedy drzwi się otworzą. Czapkę, jasna sprawa, zdejmie, wcześniej, może nawet jeszcze w bramie albo na, schodach. Kiedy drzwi się otworzą zapyta najpierw czy mieszka tu ten, którego on szuka. A może sam otworzy? Dobrze by było! Nietrudno chyba byłoby go poznać, chociaż upłynęło już trzydzieści lat; możn" a powiedzieć, że w tym czasie nie było człowieka i nagle zjawił się człowiek. Wszystko jedno, poznałby go i tak. Pamiętał przecież jego ojca, a syn powinien być trochę do ojca podobny. Jeżeli natomiast otworzy żona albo któreś z dzieci... Nie, dzieci są chyba jeszcze za małe... Chociaż mogą też otworzyć dzieci. Jeżeli dziecko ma pięć lub sześć lat, to dlaczego by nie miało otworzyć drzwi? Wtedy on zapyta o gospodarza i przedstawi się.

9

W tym momencie, odczuwał to wyraźnie, nastąpi najważniejsze i najtrudniejsze. Wiedział z

własnego doświadczenia, jakie to jest radosne i trudne jednocześnie, kiedy tak znieca spotka się prawie już zapomnianego znajomego z dawnych lat. I przypomnienie, i zdziwienie, i nawet trochę niezręczności spowodowanej nieubłaganym upływem czasu, który nie ze wszystkimi dobrze się obchodzi... Potem poproszą na pewno, żeby wszedł i wtedy przestąpi próg. Rozumie się, że mieszkanie mają ładne — z "rozmaitymi tam parkietami, dywanami, miękkimi kanapami i oszklonymi drzwiami — nie gorsze niż inne tneszkania w mieście. Za progiem postawi walizkę i zdejmie trzewiki. Nie wolno zapomnieć zdjąć butów; żona, odprowadzając go, kładła na to szczególny nacisk. Bo ty, powiedziała, przyzwyczyłeś się w domu leżąc prosto od progu do stołu, w butach albo i w gumiakach, nie wycierając ich nawet na ganku jak należy. Najpierw trzeba będzie zdjąć buty. Skarpetki są nowe, kupione przed podróżą w wiejskim sklepie za rubla i sześćdziesiąt sześć kopiejek, więc ze skarpetkami żadna konfuzja się nie zdarzy.

Potem zacznie się rozmowa. Wiadomo, że niełatwa. Ile by tu nie myśleć, trudno sobie wyobrazić od czego zacząć tę rozmowę. No, ale to się wyjaśni na miejscu. Być może poproszą go do stołu, a wtedy on wróci po swoją walizeczkę. Przez całą drogę bulgocze w niej wielka butelka z malowniczą zagraniczną nalepką sięgającą aż po korek, a poza tym, leży w walizce jakiś tam, lepszy czy gorszy, wiejski gościniec. Chociaż w mieście też już nie ma głodu, to jednak domowa kielbasa, słoiczek miodu i trzy dorodne, wędzone leszcze na pewno przydadzą się gospodarzom. Zamyśliwszy się trochę zaszedł chyba dalej niż trzeba, bo zobaczył na rogu liczbę „88”. Trochę za~niepokojony zawrócił, szybkim krokiem minął skwe-

10

rek i mniejszy od innych budynek z obejmującym całe piętro napisem „F r y z j e r”. Spojrzał na numer. Ale tutaj było „76” — gdzie też podziła się cała dziesiątka domów? Z niedowierzaniem wpatrywał się w tabliczkę, nie wiedząc co ma robić. I wtedy usłyszał za sobą uprzejmy dziecięcy głosik:

— Wujku, którego domu szukacie?

Odwrócił się i zobaczył stojące na trotuarze dwie małe dziewczynki. Jedna z nich, ośmioletnia chyba, jasnowłosa, wymachiwała siatką z vilekiem w trój-graniastym tekturowym pak%eciku i przyglądała się przyjezdnemu z uśmiechem. Druga, czarniutka i trochę wyższa od przyjaciółki, w krótkich chłopięcych spodenkach, spoglądała na niego liżąc lody.

— Siedemdziesiąt osiem. Nie wiecie gdzie to jest?

— Siedemdziesiąt osiem? Wiemy. A który blok?

— Blok?

Pierwszy raz słyszał coś o bloku, nigdy nawet o nim nie pomyślał. Zapamiętał tylko numer domu

1 numer mieszkania. Jaki tu jeszcze blok był potrzebny?

Aby upewnić się, że wszystko dobrze zapamiętał, postawił na chodniku ciężką walizkę i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki wymiętą kopertę, w której znajdował się list od krewniaka i adres. Rzeczywiście, za numerem domu była jeszcze litera „B” i cyfra „3”, a potem dopiero numer mieszkania.

— Zdaje się, że trzeci. Blok trzy. Chyba tak?... Dziewczynki, obydwie naraz, spojrzały na jego papierek, i potwierdziły, że chodzi o blok numer trzy. Powiedziały, że wiedzą gdzie to jest.

— Tom mieszka zła Nelka; za piaskownicą pod grzybkiem — powiedziała ciemnowłosa dziewczynka z lodami.

— Pokażemy wara.

Skierował się za nimi, trochę zmieszany. Obeszli

róg domu, za którym, jak się okazało, było wielkie podwórko, a jeszcze dalej mnóstwo takich samych jak frontowy, pięciopiętrowych domów, pooddzielanych zielonymi trawnikami, drózkami i rzędami młodych, kilka lat temu posadzonych drzewek. Ławki przed bramami zajęte były przez staruszków i kobiety. Wszędzie hałasowały biegające dzieciaki. Spomiędzy budynków dobiegały odgłosy gry w siatkówkę. Asfaltowymi drózkami mknęli chłopcy na rowerach. Dziewczynki szły tuż obok i mniejsza z nich, patrząc w twarz przyjezdnego, zapytała:

— Wujku, a dlaczego macie tylko jedną rękę? Druga od razu przerwała jej ścisłym, głosem:

— Jakaś ty niemądra, Irka. Wujkowi rękę na wojnie oberwało. — Prawda, wujku?

— Prawda, prawda. Domyślna z ciebie dziewczynka.

— A na naszym podwórku jest wujek Kola, co na jednej nodze chodzi. Drugą mu Niemcy oderwali. On jeździ malutkim samochodziKiem. Malutki taki samochód, trochę większy od motocykla.

— A mojego dziadka faszyści zabili na wojnie — smutno wzdychając powiedziała mniejsza z dziewczynek.

— Oni chcieli wszystkich zniszczyć, ale nasi żołnierze im nie dali. Prawda, wujku?

— Prawda, praioda — powiedział, z przyjemnością słuchając dziecięcego szczebiotu o tym, co było bliskie i znajome. Mniejsza wyprzedziła go i odwróciła się, ciągle wymachując siatką z mlekiem w tekturowym pojemniczku.

— Wujku, a ile macie med,ali? Mój dziadek miał sześć. Widziałam na fotografii.

— Sześć to dużo — powiedział, uchylając się od odpowiedzi wptfbst na jej pytanie. — To znaczy, że twój dziadek był bohaterem.

12

— A wy? Wy także jesteście bohaterem? — dopytywała się mniejsza, zabawnie marszcząc w słońcu ciekawską, drobną twarzyczkę.

— Ja? Jaki tam ze mnie bohater! Nie jestem bohaterem. Tak...

— Tutaj jest ten dom — czarnulka wskazała stojący za zielonym, trawnikiem i rzędem młodych lipek, taki sam jak sąsiednie, pięciopiętrowy dom z szarej, silikatowej cegły.

— Blok numer trzy.

—..No to dziękuję wara dziewczynki. Bardzo dziękuję — powiedział, prawie rozczulony.

Dziewczynki ochoczym chórkim prześpiewały swoje „nie ma za co” i pobiegły dalej, a on, nagle mocno poruszony, zwolnił kroku. Znaczy, że to już blisko! Nie wiadomo dlaczego zapragnął odsunąć na jakieś nieokreślone później ten dom i spotkanie z tym, o którym myślał, którego wspominał i nie mógł zapomnieć przez całe trzydzieści lat. Otrząsnął się szybko z niemądrych obaw. Skoro przyjechał, to trzeba iść, aby popatrzeć przynajmniej jednym okiem, przywitać się i upewnić, że ten człowiek żyje; ten człowiek, który jeśli się zastanowić, znaczył dla niego tak dużo. Podszedł najpierw do narożnika domu i porównał numer z koperty z tmdniejącym na chropawej cegle. Dziewczynki go nie zwiódły; na ścianie czerwoną farbą z podciekami rzeczywiście wymalowano „B-3”. Schował list do kieszeni, starannie zapiął ją na guzik i podniósł swoją walizkę. Teraz trzeba było odszukać mieszkanie, co w takim ogromnym domu na sto lub więcej mieszkań też mogło być niełatwe.

Trochę niepewnie, rozglądając się na boki, skierował się do pierwszej bramy. Przed drzwiami przystanął na chwilę, zganiając szarego kota, który leniwie rozłożył się w- chłodku przed progiem. Zanim, otworzył drzwi obejrzał sobie to, co na nich wypisa-

13

r

no: numer kodu adresowego i przypomnienie, żeby przed wyjściem z domu wyłączyć urządzenia elektryczne. Przeczytał też wydrukowane na maszynie obwieszczenie: „W środę 26 czerwca, w świetlicy, odbędzie się ogólne zebranie mieszkańców, poświęcone sprawie uporządkowania terenu podwórka”. Wyżej, nad wejściem, przybito tabliczką z numerem klatki schodowej i numerami mieszkań od numeru 1 do 20. A więc poszukiwanego mieszkania tu nie było.

Przeszedł wzdłuż domu, minął drugie wejście i skręcił w stronę trzeciego. Na ławeczce przed drzwiami siedziały dwie stare babule opatulone ciepło mimo upału. Jedna miała nawet walonki na nogach; druga trzymała w rękach kijek. Przerwywając swoją cichą rozmowę, obrzuciły przybysza uważnymi, prawie podejrzliwymi spojrzeniami. Ale on o nic ich nie zapytał — wiedział już co i jak. Zerknął na tabliczką nad drzwiami: mieszkania od numeru 40 do numeru 60, a więc było tutaj i to, którego po-szukiwał. Poczul znowu, że drgnęło mu serce. Otworzył drzwi i wszedł na klatkę schodową.

Na parterze były mieszkania od numeru 40 do 44, toteż powoli zaczął wchodzić wyżej. Koło okna

wisiały przypominające plaster miodu skrzynki pocztowe, z których tu i ówdzie wystawały gazety. Spojrzał na numery skrzynek i ucieszył się. Mieszkanie 52 było tutaj, na trzecim piętrze. Na drugim podeście odpoczął trochę. Ze względu na niezwykłość sytuacji wzięła go taka zadyszka, jak gdyby przyniósł wiadro wody ze źródła. A do tego jeszcze nie mógł wyzbyć się uczucia dziwnej niezręczności, uczucia dokuczającego mu przez cały czas, jakby szedł z jakąś prośbą, albo był czemuś winien. Ano, żeby nie wiadomo co myśleć o tym wszystkim i nie wiadomo jak przemawiać sobie do

14

rozsądku, to jasne przecież, że spotkanie nie będzie łatwe. Lepiej by było urządzić to spotkanie kilka lat temu, ale czy to przedtem wiadomo było gdzie tamtego szukać? I tak trzeba dziękować krewniakowi, bo czyż inaczej odszukałby tamtego człowieka? Mieszkanie „52” znajdowało się po lewej stronie. Drzwi, malowane jak wszędzie szarą olejną farbą, akurata wycieraczka przed progiem i tabliczka z numerem.

Postawił koło nóg swoją walizeczkę, odpoczął i na siłę podejmując decyzję, cicho zastukał zgietym palcem. Odczekawszy trochę, zastukał znowu. Zdawało mu się, że słyszy jakieś głosy, ale po chwili zrozumiał, że to radio. Zastukał raz jeszcze i na ten stuk otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania.

— Lepiej zadzwoncie — powiedziała od progu kobieta, spieszenie wycierając fartuchem eaczerwie-nione ręce. Zanim zdążył obejrzeć drzwi i zastanowić się jakby tu zadzwonić, kobieta przestąpiła próg i nacisnęła ledwie zauważalny guzik dzwonka, przymocowany do futryny. W środku rozległ się przeraźliwy trzask, ale drzwi mieszkania „52” i tak się nie otworzyły.

— To znaczy, że ich nie ma — powiedziała kobieta. — Rano mała biegała tu w pobliżu, ale teraz jakoś jej nie widać. Pewnie gdzieś poszli do miasta.

Zrezygnowany oparł się o poręcz schodów. Nie wiedział co ma robić dalej. Jakoś nie pomyślał wcześniej, że może ich nie być w domu. Zresztą to zwyczajna sprawa. Przecież on też nie siedzi przez cały dzień w domu. Nawet teraz, kiedy jest na emeryturze.

Ale nie było tutaj już nic do roboty. Nie miał zamiaru czekać na nich na podeście schodów. Zaczął schodzić w dół. Sąsiadka krzyknęła za nim przed zamknięciem swoich drzwi:

15

Przecież dzisiaj jest mecz! Pewnie poszli na miejsc wystarcza. To nie to samo co na wn A on ałupi, spodziewał się, że oni przez trzydzieści lat się dają w domu i czekają »^*«Ł części rozmtjśłał co ma robić dalej. Tak było zaczekać. Nogi po długim ".u^r o odpoczynek, chciałoby się przysiąsc. Wgr-wórka ood ściana jakiejś murowanej komórki *o Zc^woLąwlew deniu i ruszył ku nie, powolnym krokiem strudzonego człowieka.

1

Najpierw postawił na ławce swoją wah*ec*kJ>K tem usiadł sam i wyciągnął zmęczone nop Żałował, j że posłuchał rad-żony i włożył nowe trzewk piej było pojechać w starych, roznoszonych. -^;* teraz zdnć buty ale kiedy się rozejrzał, ogarnął go ZyiZkofa^lno było ludzi. Niedaleko, obokta-

7^„5,,____,„,„,„« iak ten, murowanego garażu, dtwaj r_7- ^__».,,.,. ^r^n^Ł-rpranuTn mos/cwt-

czu. Dzieci hałasowały w piaskownicy pod dre nym grzybkiem-muchomorem. Bramę i dwie babcie siedzące na ławeczce dobrze było stąd trndac Zaczął uważnie przyglądać się przechodniom, fawało *%> że łatwo rozpozna tychx na których czekał -kiedy tylko pojawią sie. przed swoją klatką schodową. Postanowił nigdzie już nie odchodzić i zaczekać tu

taj. Przyjemnie było siedzieć w cieniu. Mógł się do woli napatrzeć na życie nowej miejskiej dzielnicy. Pierwszy raz widział taką dzielnicę i ciekawiło go tutaj mnóstwo rzeczy. Co prawda często wracał myślą do swojej dawnej przeszłości, wiążącej go już pewnie na wieki z człowiekiem,

którego szukał. Pamiętał wszystko tak, jakby zdarzyło się to wczoraj — trzy dziesiątki lat niczego nie zagłuszyły w jego pamięci, choćby dlatego, że było to najbardziej wyraziste, a może nawet najważniejsze przeżycie. Często rozmyślał o tym, wspominał i roztrząsał wszystko od nowa, za każdym razem w inny sposób odnosząc się do przeszłości. Czasem odczuwał coś w rodzaju wstydu za swoje nie całkiem odpowiednie uczynki, jeżeli mierzyć je miarą dzisiejszego rozumu. Czasem dziwił się, a czasem, z natury skromny, dumny był ze swojej żołnierskiej przeszłości, stanowiła ona treść wojskowego honoru. A wszystko to razem składało się na sens jego życia, z tym właśnie dożywał swoich dni.

Pamięta, że bardzo chciał mu się wtedy spać. Ledwie jednak zdążył się zdrzemnąć pod świerkiem, kiedy zawołał go ktoś, znajomy z głosu. Sen natychmiast odsunął się, gotów przepaść do reszty. Ale nie przepadł. Natrętny sen zawładnął z mordowanym przez trzy dni ciałem Lewczuka z taką siłą, że nie był on w stanie obudzić się zupełnie. Co prawda do sennej świadomości docierała już niespokojna leśna rzeczywistość: szum gałązek w zagajniku, czyjaś rozmowa w oddali i niegłęboka, chociaż niedaleka strzelanina, która zresztą nie cichła tutaj od pierwszego dnia blokady. Ale Lewczuk umyślnie udawał, że niczego nie

2 — Stado wilków

17

słyszy i spał, za nic na świecie nie chcąc się obudzić przed czasem. Musiał przespać chociaż kilka godzin. Zdawało się, że pierwszy raz w życiu miał takie prawo do snu. Oprócz Niemców nikt chyba nie mógł go tego prawa pozbawić. Ani sierżant, ani dowódca kompanii, ani nawet komendant oddziału. Lewczuk był ranny.

Zraniło go wieczorem na Długiej Grzędzie, wkrótce po tym, kiedy kompania odparła czwarty tego dnia atak i kiedy Niemcy i policaję ściągnąwszy z błota swoich rannych i zabitych, trochę się uspokoili. Na pewno czekali na jakiś rozkaz, a ich dowódcy zastanawiali się nad czymś. Zresztą mieli nad czym. Wiadomo, że dowódca wojska, którego cztery ataki nie dały wyniku, musi się trochę zastanowić zanim wyda rozkaz do piątego. Mając już trochę rozeznanie w tych wojennych sprawach, Lewczuk, siedząc w swoim niegłębokim, poprzerastanym korzeniami okopie wyczuł, że oddział pacyfikacyjny stracił siły i że dla kompanii nastąpi teraz także chwila odpoczynku. Zrozumiawszy to opuścił kolbę swojego dieg-tiara, którego przez cały dzień nie odejmował od ramienia. Wyciągnął z kieszeni kawałek suchego, pokruszonego chleba. Zżuł chleb, obrzucając czujnym spojrzeniem niezbyt rozległą przestrzeń porośniętą -osoką i krzakami i niegłębokie, częściowo zarośnięte mchem bagno. Nie można się było najeść takim małym kawałkiem chleba, ale Lewczuk trochę jednak oszukał głód i jak zwykle w takich przypadkach zachciało mu się palić. Jak na złość skończyła mu się machorka, toteż ponadśluchiwał trochę, a potem zawołał sąsiada, który siedział w pobliżu w takim samym, zamaskowanym choiną, piaszczystym okopie. W spokojnym,* wieczornym powietrzu nadlatywał stamtąd pachnący dymek samosiejki. — Kisiel! Zostaw popalić!

18

Kisiel nie zwlekając rzucił niedopałek, ale niezbyt zręcznie. Sosnowa gałązka z umocowanym w nadłamaniu kawałkiem skręta była za krótka i żeby sięgnąć po niedopałek Lewczuk musiał wysunąć z okopu ramiona. W tym momencie coś z impetem szczęknęło pod rękami, w twarz sypnęło piaskiem, liśćmi i suchym igliwem, a niedaleko, za bagnem huknął strzał. Odrzuciwszy przeklęty niedopałek, Lewczuk odskoczył do tyłu, do okopu, nie od razu czując, że przedramię zrobiło się mokre. Ze zdziwieniem zobaczył na rękawie marynarki małą dziurkę od kuli.

— A niech to cholera!

To, że go raniło i to jeszcze w taki głupi sposób było po prostu czymś niedorzecznym, dziwnym. Ale raniło go rzeczywiście, w dodatku chyba poważnie, bo krew zaczęła zaraz ściekać z rękawa po palcach i przelewać się przez dziurkę w marynarce. Ręka drętwiała powoli, jak odgnieciona, a w palcach zakłuło, jakby oblażyły je mrówki. Klnąc, Lewczuk usiadł w okopie i jakoś tam, lewą ręką okręcił ramię prawej trochę już zmiętą zapasową onucką, w którą przedtem zawinięty był chleb. Zacisnął zęby. Dopiero po chwili dotarł do jego świadomości niewesoły sens wszystkiego co się

stało. Wzięła go złość na samego siebie za nieostrożność, a jeszcze większa na tych za bagnem. Opanowując ból, schwycił erkaem i zamierzał porządną serią ciachnąć po krzakach, z których go wysłedzono i postrzelono w tak podstępny sposób, ale wydał tylko zdławiony jęk. Dotknięcie kolby karabinu maszynowego wywołało taki ból w ramieniu, że Lewczuk zrozumiał nagle: odtąd nie będzie już erllaemistą. Nie wychylając się z okopu, znowu krzyknął do Kisiela:

— Powiedz dowódcy kompanii: raniło! Raniło mnie, słyszysz?

Dobrze przynajmniej, że już zmierzchało. Słońce

1!)

po nie kończącym się, upalnym dniu spełzło za krzaki, bagno zaciągała rzadziutka muślinowa mgielka, przez którą niewiele można było zobaczyć. Niemcy nie zaczęli w końcu swojego piątego ataku, a kiedy się ściemniło, na pagórek przybiegł dowódca kompanii, Mieżewicz.

— Zraniło cię? — zapytał zalegając na igliwiu obok okopu Lewczuka i wpatrując się w zamglone bagienko. Z bagna ciągnęło zapachem prochu i chłodem.

— Tak, w ramię.

— W prawe?

— No.

Dowódca kompanii zaklął, pomyślał przez chwilę i powiedział:

— No cóż. Leć do Pajkina. Karabin maszynowy oddaj Kisielowi.

— Komu? Też mi z niego będzie erkaemista!

W rozkazie dowódcy kompanii Lewczuk wyczuł coś obraźliwego. Kisiel to zwykłe wiejskie chłopisko, nawet z karabinem dopiero niedawno się oswoił. Oddać mu swój sprawny, dobrze utrzymany erkaem to tyle samo co zrównać się z nim, we wszystkim. No, ale komu oddać wobec tego? Wićka Hałaszejew dobrze by sobie dawał radę z karabinem maszynowym, ale Wićkę dwa dni temu zabiła mina moździerzowa, a ze wszystkich pozostałych tacy byli erkaemiści jak z Lewczuka pilot. Nawet myśliwskiej dubeltówki me powinno się im powierzać, a co dopiero mówić o świetnie spisującym się w boju, przestrzelanym przez Lewczuka karabinie maszynowym. Zresztą diabli z tym, teraz to już nie jego kłopot, raniło go przecież.

Przemyślawszy to wszystko, z podkreślaną obojętnością odniósł erkaem i blaszaną skrzynką z dyskami pod sąsiednią sosnę do okopu Kisiela, a sam, bez żad-

nego obciążenia, co wydawało się rzeczą niezwykłą, poszedł w głąb lasu do strumienia, tam gdzie było coś w rodzaju tyłów tego otoczonego przez ekspedycję pacyfikacyjną uroczyska i gdzie rozlokowali się doktor Pajkin i Wierchowiec — oddziałowi „pomocnicy śmierci”, jak ich żartobliwie nazywali partyzanci. Coś w tym było, bo Pajkin pełnił przed wojną funkcję powiatowego dentysty, a co do Wierchowca to w ogóle nie wiadomo czy trzymał już kiedyś bandaż w rękach. Ale lepszych doktorów w oddziale nie było, więc ci dwaj leczyli i opatrywali rany,** a zdarzało się nawet, że odcinali ręce albo nogi, tak jak Kryckiemu, który dostał gangreny. No i nic, żyje podobno gdzieś w schowku w chutorze. Co prawda z jedną nogą, ale powoli dochodzi do zdrowia.

Nad strumieniem koło szafasu sanitarnego siedziało już kilku rannych. Lewczuk zaczekał na swoją kolejkę. Lekarz po ciemku, z grubsza obmył mu ramię wodą utlenioną, a potem ciasno owinął bandażem.

— Wsuń rękę za pazuchę i tak noś. To nic strasznego. Za tydzień będziesz mógł machać choćby młotem kowalskim.

Któż nie wie o tym, że dobre słowa doktora leczą czasem lepiej niż jego lekarstwa? Lewczuk poczuł od razu, że ból w ramieniu się zmniejszył. Pomyślał, że rano wróci na Długą Grzędę do kompanii, a na razie prześpi się trochę. Przede wszystkim chciał się wyspać — miał teraz do tego

pełne prawo.

Pq chwili niepokoju zdrzemnął się chyba pod świerkiem na twardych, powykręcanych korzeniach, ale znowu usłyszał bliski tupot nóg, ściszone okrzyki, skrzywienie kół wozu w krzakach i odgłosy jakiejś krzątanimy. Rozpoznał głosy Pajkina i nowego szefa u sztabu. Usłyszał też jeszcze jeden znajomy głos, ;il<%

nie rozbudziwszy się do końca, nie mógł zrozumieć do kogo ten głos należy.

— Nie pójdę. Nigdzie nie pójdę...

Przecież to Kława Szarochina, radiotelegrafistka! Jej dźwięczny, miły dla ucha głos rozpoznałby wśród setek innych głosów nawet z odległości kilometra, a teraz Kława była tuż obok, o dziesięć kroków od niego. Sen odpłynął pfawie natychmiast, chociaż Lewczuk nie mógł otworzyć oczu i tylko poruszył pod waciakiem bolącym ramieniem, wstrzymując oddech.

— Jak to nie pójdziesz? Jakże.to nie pójdziesz?

Czy mam tu dla ciebie otworzyć izbę porodową? — huczał znajomym, pełnym złości basem nowy szef sztabu, który był do niedawna dowódcą pierwszej kompanii. — Pajkin!

— Jestem tutaj, towarzyszu szefie.

— Odprawiajcie! Natychmiast odprawiajcie razem z Tichonowem! Do Jazminek jakoś dotrą, a tam niech przeczeka u Leskawca. W Brygadzie imienia Pierwszego Maja.

— Nie pójdę! — w ciemności znowu dał się słyszeć rozpaczliwie żalony, bezradny sprzeciw Kławy.

— Zrozumcie, Szarochina — łagodnie wmieszał się Pajkin. — Nie możecie tu zostać. Sami powiedzieliście, że już czas.

— No to co?

— Zabiją was przecież, do diabła! — szef sztabu rozżołościł się chyba nie na żarty. Będziemy się przecież wydostawać z okrażenia, trzeba będzie pełznąć na brzuchu! Rozumiesz to, czy nie?

— Niech zabijają!

— Niech zabijają — słyszeliście? My ją ratujemy, a ona chce, żeby ją Niemcy zabili!

Nastąpiła przykra pauza, słyszeć było jak cichutko pochlipuje Kława. W pobliżu woźnica chlasnął dwa

22

razy konia, burcząc: „A bodaj cię wilki zjadły!...” Zbierano się chyba do odjazdu, ale nieprzytomny jeszcze Lewczuk nie odganiał od siebie snu i nawet nie otworzył oczu — przeciwnie — wstrzymał oddech

i czekał.

—i1 Pajkin — spokojniejszym już tonem powiedział w ciemności szef sztabu. — Wsadzajcie na wóz i wyprawiajcie. Wyprawcie ich razem z Lewczukiem, on będzie miał oko na wszystko. Ale gdzie jest Lewczuk? Mówiłeś przecież, że tutaj.

—,'Był tutaj. Opatrywałem go.

„No, dali ci pospać” — desperacko pomyślał Lew-czu^, ale ciągle się jeszcze nie poruszał, jakby oczekując, że być może zamiast niego zawołają kogo in-negc).

—f Lewczuk! Hej, Lewczuk! Grybojed, gdzie jest Lewczuk?

— Spał gdzieś tutaj! Widziałem go — zasyczał zdradziecki głos Grybojeda, który pełnił funkcję woźnicy oddziału sanitarnego. Lewczuk zaklął w myślach: widział! Kto go prosił, żeby się przyglądał?

— Szukajcie Lewczuka! — zarządził szef sztabu. — Układajcie na wozie Tichonowa. I przez groble! Dopóki jeszcze nie zatkali tej dziurki. Lewczuk! — ze złością krzyknął szef sztabu.

— Jestem. A bo co? — także ze złością, której wcale nie miał zamiaru taić, odkrzyknął Lewczuk i nie spiesząc się wylazł spod zwisających do samej ziemi gałązek świerka.

W mroku leśnej nocy nic nie było widać, ale z niewyraźnych szmerów dookoła, ze ściszonych głosów rozlegających się tu i tam, i z trwoźnego nocnego ożywienia, Lewczuk odgadł, że tyły rychło będą zmieniać swoje miejsce postojy. Spod świerków wypychano wozy i woźnice, tupiąc w ciemności, zaprzęgali konie. Ktoś kręcił się w pobliżu. Po szeleście pa-

23

1

łatki i po rosłej postaci Lewczuk rozpoznał szefa sztabu.

#

— Lewczuk! Znasz Grząską Groblę? j

— No, niby znam. /

— Odwieszysz Tichonowa. Bo inaczej przepadnie chłopak. Odwieszysz go do Brygady imienia Pierwszego Maja. Przez groblę. Zwiadowcy wrócili,)mówią, że jest jeszcze dziurka. Można przeskoczyć.}

— Jeszcze czego! — z jawną wrogością powiedział Lewczuk. — Cóż to ja Brygady Pierwszego Maja nie widziałem? Wracam do kompanii. \

— Do jakiej kompanii? Do jakiej kompanii? Jesteś ranny? Pajkin, w co go raniło?

[

— W ramię. Rana od kuli. /

— No widzisz, od kuli! Musisz lecieć na groblę. Podwoda będzie pod twoim dowództwem. I tego... Kławe weźmiesz ze sobą. \

— Też do Pierwszomajowej? — nastroszył się Lewczuk.

— Kławę... — szef sztabu zająknął się. Sarn pewnie dobrze nie wiedział dokąd by tu najlepiej wyprawić Kławę. Z ciemności odezwał się Pajkin:

— Kławę lepiej by do jakiego chutoru... Do jakiegokolwiek baby. Byle tylko miała pojęcie o tym wszystkim...

— Do baby? Do baby! — niezadowolony Lewczuk zaczął przedrzeźniać lekarza. Odwrócił się i lewą ręką przesunął po pasie twardą niemiecką kaburę para-belki, która odgniotła mu udo. — Mało mi jeszcze...

Co do Kławy domyślił się w czym była rzecz, ale nawet we śnie nie mógłby siebie zobaczyć w takich tarapatach: wszyscy będą się przedzierać z okrażenia, a on ma odbijać nie wiadomo dokąd, aż do Brygady imienia Pierwszego Maja i to jeszcze w takiej kompanii: Grybojed, Kława i ten Tichonow, który ledwie zipie... Lewczuk przyszedł tutaj po ranienu na Dłu-

24

giej Grzędzie i od razu zauważył desantowca — Tichonow leżał koło szafasu sanitarnego, przykryty kawałkiem parcianki, a jego głowa, owinięta papierowym niemieckim bandażem, sterczała jak turban. Oczy były także zasłonięte. Tichonow nie jęczał, nie poruszał się i chyba nawet nie oddychał. Lewczuk przeszedł obok z niezrozumiałą obawą; pomyślał, że desantowca zupełnie opuściło szczęście. A teraz jeszcze ta Kławka... Był czas, kiedy Lewczuk czułby się wyróżniony mogąc z nią przejechać chociażby kilometr po lesie, ale nie teraz. Teraz Kławka go nie interesowała.

A to diabelskie ranienie, ile przyniosło mu kłopotów, a sądząc ze wszystkiego ile jeszcze kłopotów go czeka! Czy to blisko do tej Brygady imienia Pierwszego Maja? Spróbujcie się tam dostać przez faszystowskie okrażenie! Cóż z tego, że zwiadowcy powiedzieli: jest dziura. Jeszcze nie wiadomo, jaka ta dziura i gdzie się znajduje. Lepiej by było wcale się nie pojawiać w oddziale sanitarnym i nie oddawać Kisielowi swojego erkaemu.

Miał już zamiar pokłócić się i wracać do kompanii, bo dowódca nie wygoniłby go przecież i Lewczuk mógłby wojować razem ze wszystkimi, a nie zapychać nie wiadomo dokąd. Ale kiedy zdecydował się coś powiedzieć, nie miał już komu. Szef sztabu odszedł, zaszeleścił tylko w krzakach jego płaszcz-na-miot, a Pajkin zniknął w ciemnościach jeszcze wcześniej. Obok stał tylko chlastający ogonem po hoło-blach koń i dreptał w miejscu Gribojed, który poprawiał coś przy uprzęży. Cichutko pochlipując stała przy wozie zdesperowana, samotna Kława. Czekala pewnie teraz na rozkazy Lewczuka, ale on nie zwracając uwagi na nikogo, zaklął tylko:

—| Wrzepili mi, naczelniki! A bodaj to jasna cholera wytrzęsła!

25

Jechali przez las diabli wiedzą dokąd i diabli wiedzą jak: furmanka od czasu do czasu omal nie wywracała się w jakieś doły czy wykroty. Gałęzie bezlitośnie uderzały, drapały wóz i siedzących na wozie. Lewczuk zginał głowę, bojąc się, że gałązki wyklują mu oczy i chroniąc pod waciakiem zranione ramię, stracił już poczucie kierunku. Na szczęście Grybojed znał, jak się zdaje, te strony i

nie pytał, któredy mają jechać, a koń jakoś tam stapał, z niemałym wysiłkiem ciągnąc za sobą wóz. Zdawało się, że jada tam gdzie trzeba. Lewczuk, nie ochłonawszy jeszcze ze złości, nie odzywał się do nikogo, słuchał tylko jak huczy wokół, a zwłaszcza z tyłu. Niekiedy gdzieś nisko rozpalala się rakietka i jej jasne światło dziwnym, migotliwym odbłaskiem przemykało po wierzchołkach drzew, podświetlając i bez tego jasne, letnie niebo.

Jakoś tam przedarli się przez głuchy gąszcz i wydostali się wreszcie na leśną dróżkę. Furmanka ruszyła spokojniej, a Lewczuk usadowił się wygodniej — przesunął się trochę żeby nie przygniatać nieruchomego uda desantowca. Można było sądzić, że tamten śpi, albo stracił przytomność, toteż Lewczuk ostrożnie pociągnął za lufę automatu, który przeszkadzał i jemu i rannemu, a pewnie też i Kławie, która siedziała z tyłu furmanki. Kiedy jednak pociągnął trochę mocniej, Tichonow gwałtownie się ocknął, wyciągnął rękę i mocno ścisnął zwężenie kolby...

— Nie... nie ruszaj!...

„A to dziwak! — pomyślał zdumiony Lewczuk, udając, że automat go wcale nie interesuje. — Po cóż on go tak ściska?”

Prawdę mówiąc nie miałyby nic przeciwko temu,

26

żeby ten automat wpadł mu w ręce, bo on sam miał tylko parabellum z dwoma paczkami zapasowej amunicji, a za plecami Grybojeda sterczał karabin. Pewnie tam jeszcze Kława miała jakiś browning. W ogóle wszystkiego było o wiele za mało, żeby przejechać te dwadzieścia pięć kilometrów do Brygady imienia Pierwszego Maja, bo przecież za groblą na pewno siedzą Niemcy. Niemożliwe, żeby zamykając uroczysko pozostawili przejście na grobli. Mało to bają zwiadowcy?

Pomyślawszy o tym, Lewczuk szarpnął Grybojeda za łokieć:

— Stój!

Woźnica pociągnął za lejce i koń od razu się zatrzymał. Wszyscy zaczęli z niepokojem nadsłuchiwać. Dookoła zrobiło się cicho, ucichło zdaje się nawet po stronie Dubrowlan, gdzie przez cały wieczór i noc bez przerwy jazgotała strzelanina. Słychać było tylko dyszenie zmęczonego konia i szum wiatru w gałęziach.

— Daleko do grobli?

— Blisko już — powiedział Grybojed, nie odwracając głowy. — Przejedziemy wypalisko, a dalej so-śniak i grobla.

— Nie pojedziemy tamtędy — zdecydował nagle Lewczuk.

— No to jak? Któredy?

— Skręcaj gdzieś w bok.

— Jak to w bok — pomyślawszy chwilę sprzeciwił się Grybojed. Nadal siedział nieruchomo, tyłem do pozostałych. — Tam są bagna.

— Przejedziemy przez bagna.

Grybojed pomyślał jeszcze chwilę i z wyraźną niechęcią skręcił z drogi. Po bezdrożu, a już tym bardziej przez krzaki, koń wcale nie chciał iść, toteż woźnica, mruczając coś pod nosem, zlął z wozu i wzięł konia za uzdę. Lewczuk też zeskoczył na dół

27

i chroniąc prawą ręką, ruszył przodem przez zarośla.

"

Sam nie wiedział dlaczego, ale za nic nie pojechałby przez groblę, gdyby nawet o bezpieczeństwie tej drogi zapewniało go siedmiu zwiadowców — wszyscy razem i każdy z osobna — grobla nie mogła być opuszczona przez Niemców, czuł to całą swoją skórą. Nie znał innej drogi, wiedział, że niedaleko powinny zacząć się bagna. Nie miał pojęcia jak się przez nie przedrzeć z koniem i z furmanką, ale mówił sobie: później, tam się zobaczy. Dowiedział się aż nadto dobrze na wojnie, że wiele rzeczy staje się jasnymi w swoim czasie, na miejscu; że najlepszy nawet plan ma niewielkie znaczenie: co byś nie zamierzał, co byś tam nie wymyślił, Niemcy albo okoliczności i tak ci wszystko przeinaczą. Trzeba działać licząc się z konkretną sytuacją, a jeśli ktoś jak ślepy płotu trzyma się jakiegoś tam planu, ten szybko trafia do „mogilewskiej guberni” i w dodatku ciągnie innych za sobą.

Grybojed jednak sądził chyba inaczej i w czasie przedzierania się przez zarośla z wielkim niezadowoleniem burczał na konia, nazywając go starym złodziejem i życząc, żeby zjadły go wilki. Ciągnął konia za uzdę albo chlastał batem po bokach. Lewczuk miał już dość tej złośliwości i zamierzał właśnie krzyknąć na woźnicę, kiedy krzaki skończyły się, a zaczęła łąka. Pojaśniało dookoła, pojaśniało też niebo nad głową. Nad rosistą trawą ścieliła się zimna mgła, pachniało wodorostami i bagnem. Przed wozem było trzęsawisko.

Furmanka zatrzymała się, a Lewczuk ruszył przed siebie. Szedł po wysokiej trawie, dopóki nie zaczęło chlupać pod butami. Wtedy zaczął nadśluchować. Ale z przodu było cicho, we mgle drzemały kępki olszyn, a gdzieś tam w oddali, nocnymi, ściszonymi gło-

28

sami odzywały się chruściele; inne ptaki ciągle jeszcze spały. Przeszedł kawałek dalej: pod nogami już miękło, mech był coraz bujniejszy, a noga od czasu do czasu zapadała się po kostkę. Ale jechać tędy byłoby można, koń przeszedłby, a za nim przejechałby wóz. Lewczuk obejrzał się w szary, mglisty mrok za sobą i niegłośnie zawołał:

— Hej, jedź tędy!

Pomyślał, że Grybojed ruszy za nim, ale idąc jeszcze przez chwilę, nie mógł jakoś usłyszeć furmanki. Chyba ten woźnica za dużo chciał wziąć na siebie, jeżeli nie usłuchał starszego, którym był tu przecież Lewczuk. Odczekawszy trochę Lewczuk zawrócił i zastał furmankę tam, gdzie ją zostawił — na skraju bagna. Grybojed nie miał chyba nawet zamiaru ruszać i kuląc się w swoim kusym niemieckim mundurze, stał obok konia.

— Co jest z tobą?

— A którądy mam jechać?

— Jak to którądy? Za mną jedź! Tam gdzie idę!

— W bagno?

— Jakie bagno? Trzyma przecież.

— Tu jeszcze trzyma, a dalej trzęsawisko. Ja już wiem...

Lewczuk zeżlił się — on wie! Jeżeli nawet dalej jest bagno, to trzeba próbować przez bagno — nie można tu przecież siedzieć, aż się zrobi widno — czy ten człowiek pierwszy dzień jest na wojnie? Ale wiedział przecież, że Grybojed nie pierwszy dzień jest na wojnie i że być może dostał więcej nauczek niż inni. Toteż pohamował trochę swoją złość na woźnicę. Zdziwiło go jednak, że Grybojed coś tam jeszcze mruczy o grobli.

— Powiedzieli przecież, żeby przez groblę. Tak powiedzieli. A tutaj — bagno...

29

Lewczuk zmienił swój kierowniczy, niecierpliwy ton na ściszone, ironiczny:

— Na groblę, mówisz, co? Ile razy już cię mieli zastrzelić? Dwa razy? No to na grobli zastrzelą cię trzeci raz. Na dobre! — I równie zjadliwie dodał: — Myślisz, że Niemcy to są aż taqy durnie, żeby groblę

zostawić pustą?

Grybojed wysłuchał go uważnie i ciężko westchnął.

— No, co tam ja? Ja się nie spieram, ale jak jechać?

— Ruszaj za mną!

Furmanka powoli i prawie bez hałasu potoczyła się po trawie, ale wkrótce koń zaczął się zapadać: raz na przednią, raz na tylną nogę. Jeżeli noga wpadała głęboko, to aby ją wyciągnąć, trzeba było mocno zapierać się pozostałymi i wtedy tamte głęboko wpadały w bagno. Koń szarpał się przez cały czas, starając się wydostać na twardszy grunt, tyle że twardszego gruntu było tutaj oczywiście coraz mniej. Kła-wa także zsiadła z wozu i poszła za nim. Grybojed, często się zatrzymując, wiódł konia za uzdę dokładnie po śladach Lewczuka. Ale nadszedł w końcu czas, kiedy i Lewczuk przystanął — zaczynało się trzęsawisko, z kępkami osoki: nad błotnistą przestrzenią pełzły nisko kłaczki mgły, pomiędzy którymi, jak lustra, połyskiwały okienka stojącej wody.

— No tośmy wjechali! — wyrzucił z siebie Grybojed i znieruchomiał obok konia, z którego waliła para wraz z zapachem potu. Końskie boki chodziły, a tylne nogi już po kolana osiadały w bagnie.

— Nic nie szkodzi! Ano, poczekamy, aż koń odpocznie.

Lewczuk wrzucił waciak na wóz i chwytając lewą ręką za wątle łożyny ruszył przez bagno, skręcając trochę w bok — tam jeszcze można się było utrzymać. Nie szczędził już swoich nóg, które zmokły do kolan;

30

w butach chlupało i cmokało, przeszkadzała też zraniona ręka, toteż Lewczuk wsunął ją za pazuchę. Porządnie się zapadł — prawie po pas, ale wygramolił się jakoś pod drobne krzaczki olszyny. Tutaj chyba był pod nogami jaki taki, trochę twardszy grunt. Trzeba było się zorientować dokąd jechać dalej.

— Hej, podjedź tutaj!

Furmanka zachlupotała, wystraszony koń poruszył nogami i od razu zapadł się aż po brzuch. Lewczuk obejrzał się i pomyślał: wylezie. Ale koń nie wylazł. Szarpał się, rzucał z boku na bok, ale nie mógł się wydostać z błotnistej doły. Wówczas Lewczuk, chlupiąc butami po błocie, zawrócił i podczas gdy Grybojed ciągnął konia za uzdę, on zaparł się zdrowym ramieniem o tył furmanki, wyteżył, sam pograżył się prawie po pierś, aż wreszcie wóz jakoś tam, na skos wylazł z bagna. Z tyłu, milcząc, podtrzymując spódnicę nad białymi kolanami, wychodziła na such-sze miejsce Kława.

— O Boże!

— Masz tu swoje „O Boże” — z umyślną zjadli-wością skarcił ją Lewczuk. — Hartuj się, przyda ci się.

Znowu ruszył przodem, ale teraz wszędzie było głęboko i grząsko. Długo szedł przez trzęsawisko, pograżając się po pas. Szukał drogi zdatnej do przejazdu. Ale dogodnej drogi już nie było. Przeszedł ze sto kroków, a brzegu nigdzie nie znalazł — wszędzie było trzęsawisko, osoka, kępki traw. i szerokie okna wody, nad którymi dymiła mgła. Lewczuk zawrócił do furmanki i schwycił ręką za hołoblę.

— Ano, ruszajmy!

Grybojed pociągnął za uzdę, koń nieufnie stąpnął raz i drugi, wyteżając wszystkie siły. Wóz poruszył się z miejsca i stanął znowu.

— Ruszać! Ruszać!

1

We dwóch wprzęgli się do wozu razem z koniem: Lewczuk ciągnął za hołoblę, a Grybojed z drugiej strony za uzdę i za gązwę. Koń rzucał się, szarpał i coraz głębiej tonął w czarnym błocie, które mącił nogami. Starał się. Zdawało się, że śmiało idzie w najgłębszą toń, w którą prowadzi go woźnica. Po-nadkońskim wysiłkiem ciągnął za sobą wóz, już po samą skrzynię osiadający w trzęsawisku. Lewczuk i Grybojed pograżyli się w wodzie po pas, byli wy-pačkani błotem do cna. Po twarzy i plecach Lew-czuka lał się pot. Z tyłu furmankę popychała Kława. Pewnie do rana babrałyby się w tej głębinie, a nie zobaczyliby końca trzęsawiska. Aż wreszcie nadszedł czas, kiedy wszyscy zatrzymali się w milczeniu. Grzęznąć coraz bardziej, trzymali się hołobli i skrzyni wozu, a biedny ich koń wyciągał szyję, żeby móc jako tako oddychać. Zdawało się, że gdyby nie wóz z tyłu, koń byłby popłynął przez bagno. Tylko dokąd płynąć?

Natrętny robak poczucia winy i wyrzutów, sumienia pojawił się w duszy Lewczuka, który zdążył już pożałować, że wlaź w te mokradła. Chyba naprawdę lepiej było pojechać groblą — kto wie, może udałoby się przeskoczyć. A teraz ani naprzód, ani w tył, choćbyś tu czekał do świtania. Albo zostawiaj tutaj wóz i nieś na plecach desantowca. Dobrze jeszcze, że Kława nie narzekała. Znosiła wszystko w milczeniu i w miarę swoich sił popychała furmankę,

— A tośmy wleźli!

— Mówiłem przecież — podchwycił Grybojed — wleźliśmy jak durnie, a jak teraz wyleźć?

— Może z kilometr przejechaliśmy — odezwała się z tyłu Kława. — O Boże, ja już nie mogę...

— Trzeba wracać — powiedział woźnica. — Bo inaczej i konia utopimy i tego tam. No i sami. Tutaj są okna, że hej! Z głową i jeszcze zostanie.

32

Zmieszany Lewczuk wycierał rękawem czoło i mil-rzał. Sam nie wiedział co teraz robić. Posuwać

się do przodu czy do tyłu? Sił też już brakowało — i konio-A'i i ludziom, z mordowali się wszyscy jak się patrzy. Naprawdę, zamiast się tu pakować — myślał Lew-uik — lepiej było spróbować przez groblę.

— Poczekajcie! — powiedział odpocząwszy trochę. Ja zobaczę.

Znowu wlaź w bagno, starając się jak najmniej uzpluskiwać wodę, ale w jednym miejscu wpadł tak !lęboko, pewnie w okno, że omal nie skrył się ra-i'tn z głową. Udało mu się wygramolić na kępkę, i tóra jednak także zaczęła się coraz niżej zanurzać ||od wodę. Poczul, że długo się na niej nie utrzyma. Wówczas ostro skręcił w bok, przesuwając się, jak .-; .dził nie w poprzek bagna, ale wzdłuż, bo nie myślał już o tym jak najszybciej przejść trzęsawisko, ale jak by tu nie utopić konia i nie utopić się samemu. Tutaj rzeczywiście było najgłębsze miejsce, okienka wody stale się rozszerzały, było mniej trawy, .i krzaczki łoży i olszyny znikły zupełnie. Przydałaby ||ię łódka, a nie koń z wozem i Lewczuk któryś już raz z rzędu obsztorcował się za nieostrożność. Jak to głupio wszystko wyszło, chyba trzeba bę-il/.ie wracać...

Z tą nie do końca jeszcze sformułowaną myślą zawrócił w stronę furmanki cierpliwie oczekującej po-..ród bagna. Dwie posepne postacie majaczyły we mgle, Lewczuk powinien postanowić dokąd i jak ma-j;] iść, bo wkrótce przecież rozświta, a wówczas gołe bagno będzie dla nich złym miejscem. Ale nie doszedł jeszcze na dobre do furmanki i na nic się jeszcze nie zdecydował, kiedy niedaleko rozległ się w nocnym mroku i potoczył echem po lesie nagły strzał. Za sekundę odpowiedział mu drugi, zaterkotała seria karabinu maszynowego, a potem głu-

3 Stado -wilków

33

cho i ciężko stuknął mózdzierz. Mina, zawisając naj chwilą w najwyższym punkcie nieba, spadła i rozer- > wała się w lesie. I wtedy się zaczęło: załomotało, zaświstało i zagrucotało wszystko — aż dziw skąd się wzięły te dźwięki w sennej, mglistej nocy.

Wszyscy znieruchomieli tam gdzie stali. Lewczuk,] rozdziawiwszy usta, wsłuchiwał się i wpatrywali w noc, ale przez mglisty mrok niczego nie można by-1 ło zobaczyć. I nagle z ulgą powiedział:

J

— Na grobli, co?

— Na grobli — ponuro potwierdził Grybojed. Wszyscy znowu umilkli, znieruchomieli, uświada-j mając sobie ogrom nocnego nieszczęścia, które spad-j ło na innych, a mogło spaść na ich czworo. Wszyst-1 kich dręczyła teraz tylko jedna myśl: kto kogo? Ale" oczywiście nie było się nad czym zastanawiać: strzelali Niemcy, strzały dobiegały z niemieckiej strony. No i mózdzierze — w oddziale ich przecież nie było Korciło kogoś pewnie, żeby przeskoczyć przez groblę — zaufał zwiadowcom. A teraz właśnie za to płaci. Nie ma mu teraz czego zazdrościć.

Lewczuk, wstrząsany dreszczem z zimna, a może dlatego, że uświadomił sobie nieoczekiwaną wygraną, zaczął nagle robić złośliwe wyrzuty swoim towarzyszom:

— Ech, taka wasza mać! A wyście chcieli z powrotem! Ruszajmy naprzód! Z eałej siły naprzód! Ej

—

hop!

Wsłuchując się w strzelaninę znowu zaczęli popy chać furmankę, chłostać bezsilnego, mokrego koni! i pokrzykiwać na niego. Ale nie mieli już tyle sił c< na początku, a furmankę porządnie już chyba wes-sało. Pomęczywszy się na próżno ze dwadzieścia mi-l nut, Lewczuk wyprostował się. Strzelanina na grobli ciągle odbijała się echem w lesie. Lewczuk odpoczął chwilę i znowu wszedł we mgłę, kierując się te

w prawo, to w lewo i na wszystkie strony wymacując bagno nogami. Dobrze, że buty miał skórzane, a nie kirzowe: buty rozmiękły w wodzie, szczelnie oblepiły nogi i nie spadały — gdyby nie to, dawno już zostały na bosaka. Postanowił odszukać jaką taką drogę do brzegu, byle tylko samemu nie wpaść z głową w dziurę, a potem wyprowadzić tym szlakiem furmankę na brzeg. Nie zważał już teraz na głębokość, cały aż do ramion był mokry, chwycił ręką za kępki i raz idąc, raz płynąc, rozsuwał piersią gęstą, ciepłą maź. A pnzy tym jego słuch przez cały czas łowił odgłosy boju na grobli. Huk cichł, a potem zaczynał się od nowa. Kto tam brał górę trudno było zrozumieć. Być może, że oddziałowi udało się przerwać przez niemiecką obstawę, a być może obstawa wystrzelała partyzantów do reszty.

„Głupcy — myślał Lewczuk. — Po co było leżeć prosto na rożen, lepiej już tak, przez bagno. Jeżeli tylko tam, za 'mokrądem, też nie siedzą Niemcy...” Dziwne, ale bagno nie wydawało mu się teraz straszne, raczej odwrotnie: straszne było to co na drodze, na grobli, a bagno nie po raz pierwszy ukrywało go, ratowało, teraz po prostu kochał bagno. Aby tylko nie było bezdenne, no i, rzecz prosta, zupełnie bezbrzeżne.

Nieoczekiwanie zobaczył ponad mgłą wierzchołki krzaków i zrozumiał, że to brzeg. Rzeczywiście, po dwudziestu dalszych krokach, trzęsawisko nagle się skończyło, za niezbyt szerokim pasem osoki rosły krzaki olszyny i rozpościerała się łączka ze świeżą trawą, odrośniętą po sianokosach.

Lewczuk nie wychodził nawet na suchy brzeg, od razu skręcił z powrotem, w bagno, do swojej furmanki. Tym razem ledwie ją odnalazł, przeszedł we mgle obok i zawrócił dopiero wtedy, kiedy usłyszał z tyłu ciche pluskanie konia. Kława siedziała na do połowy zatopionym

35

34

wozie, chroniąc pewnie przed wodą desantowca. Gry-bojed kręcił się koło konia, nie pozwalając, aby bagno wessało go zupełnie.

Czekali w milczeniu, aż przewodnik podejdzie bliżej.

— Ot co! — powiedział Letyczuk, chwytając za ho- 7 łobę. — Trzeba oddzielnie. Wyprzęgaj konia, prze- j wieziemy Tichonowa, a potem może i furmankę. | Brzeg jest tutaj, niedaleko...

Zaczynało świtać, kiedy w białej, gęstej jak mleko mgle wydostali się wreszcie z bagna.

Nieprzytomnego desantowca wywieźli na koniu, usadziwszy go na mokrym końskim grzbiecie.

Tichonowa z boków podtrzymywali Grybojed i Kława, Lewczuk prowadził konia 7a uzdę. Woźnica włókł ze sobą duhę i podkładkę, których nie chciał pozostawić w bagnie, razem z zatopionym wozem. Jakiś wóz mieli zresztą nadzieję znaleźć, byle tylko mieć konia i uprzęż.

Na brzegu ledwie starczyło im sił, żeby zdjąć z konia omdlałe ciało desantowca. Ułożyli go w końcu na mokrej od mgły trawie. Sami poprzewracali się tuż obok. Lewczuk zadarł nogi, wylał z lewego buta wodę, a z prawego wyciekła ona sama, przez dziurę. Grybojed chodził w lecie po wsiowemu, na bosaka, nie miał więc z nogami wielkiego kłopotu. Wyjął za to zamek z karabinu i przedmuchiwał lufę zapchaną błotem. Obok cichutko leżała Kława, a nad wszystkimi, z mokrym chomątem na szyi, nisko zwiesiwszy głowę i poruszając zapadłymi bokami, stał ich koń. — No i widzicie! A wyście mówili! — z zadowoleniem, ale i niepewnością wyrzucił z siebie Lewczuk.

Jednym uchem łowił nieczęste już odgłosy strza-

36

łów dobiegające z grobli, a drugim przysłuchiwał się ciszy, panującej dookoła w jaśniejącej powoli przestrzeni. Teraz zaczynało się to, co najniebezpieczniejsze, bo tutaj przy każdym ich kroku mogli się pokazać Niemcy. Kierując wzrok to tu, to tam, starając się być gotowym na wszelkie niespodzianki, Lewczuk wyjął lewą ręką z rozmięklej skórzanej kabury swoje parabellum i wytarł je o trawę. Dwie tekturowe paczki z nabojami zupełnie rozmiękły w wodzie, toteż wyrzucił je, wsypując naboje do kieszeni. Potem podniósł z ziemi automat Tichonowa. Desantowiec, jak się wydawało, ciągle jeszcze był nieprzytomny i tylko mamrotał pod nosem, kiedy przeprawiali go przez bagno. Lewczuk pożałował, że do automatu jest tylko jeden dysk amunicji, zważył magazynek w ręce i stwierdził, że jest chyba pełen. Odpoczywali, po trochu wracały im siły. Ale odpoczynek niósł ze sobą nowe kłopoty: robiło się zimno. Mokra odzież ziębiła ciała, a wysuszyć się nie było na razie jak, trzeba było poczekać aż wszędzie słońce. Niebo nad lasem zupełnie już pojaśniało, ale do wschodu słońca pozostało jeszcze z pół godziny. Na wilgotnym, trawiastym podłożu zaczął poruszać się ranny.

— Pić... Dajcie pić...

— Co? Pić? Zaraz, zaraz, bratku. Zaraz cię napoimy — ze współczuciem odezwał się Lewczuk.

— Grybojed, pójdz i zobacz, może tu jest gdzieś strumień.

Grybojed włożył garnek do karabinu i ruszył powoli wzdłuż zamglonego brzegu. Lewczuk spojrział na Kławę" która drżała cicho, leżąc na trawie. Lew-czukowi zrobiło się jej żal. Zrzucił z ramion swój przemoczony waciak:

— Masz, okryj się. Bo...

Kława okryła się i znowu położyła się na boku. na skoszonej trawie.

37

— Pić — jeszcze raz zażądał ranny i poruszył się jakby przestraszył się czegoś. Kława uniosła się i podtrzymała go.

— Cicho, cicho! Zaraz przyniosą pić.

— Kława? — desantowiec rozpoznał dziewczynę po głosie. — Kława, gdzie my jesteśmy?

— Tutaj, za bagnem. Leż, leż...

— Przebiliśmy się?

— Prawie. Nie bój się.

— Gdzie jest doktor Pajkin?

— Pajkin?

— Po co ci Pajkin? — zapytał Lewczuk. — Pajkina tutaj nie ma.

Tichonow umilkł nagle, jak gdyby zaczął coś podejrzewać. Ze strachem zaczął macać trawę dookoła siebie.

— Automat! Gdzie jest mój automat?

— Tu jest twój automat. Gdzie się miał podziać? — powiedział Lewczuk.

Ale ranny z niecierpliwością wyciągnął rękę:

— Daj mi automat!

— Trzymaj, jeżeli już tak chcesz. Co masz zamiar z nim zrobić?

Mocno przycisnąwszy do siebie automat, desantowiec uspokoił się, ale było też napięcie w tym spokoju, tak jakby Tichonow szykował się do nowego zrywu. I rzeczywiście. Po chwili, bez żadnego związku z tym co było przedtem, zapytał:

— Ja umrę?

— Dlaczego miałbyś umrzeć? — naumyślnie szorstko powiedział Lewczuk. — Wyniesiemy cię i będziesz żyć.

— Dokąd... Dokąd wy mnie niesiecie?

— "W jedno dobre miejsce.

Tichonow pomilczał chwilę, pewnie o czymś rozmyślając. A potem zażądał:

38

— Zawołajcie doktora!

— Kogo?

—r Doktora! Zawołajcie Pajkina. Czyście ogłuchli?

Kława!

— Doktora tu nie ma. Poszedł gdzieś — znalazła odpowiedź Kława i łagodnie pogładziła desantowca po rękawie.

Tichonow przygryzł zaschnięte wargi i drżącym głosem powiedział:

— Jakże tak?... Muszę wiedzieć. Ślepy jestem... Dlaczego oślepiłem? Ja nie chcę żyć...

—! Cicho, cicho — powiedział Lewczuk. — Będziesz jeszcze widział. Pocierp trochę.

— Ja muszę... Ja muszę wiedzieć...

Ranny umilkł w pół słowa. Lewczuk i Kława spojrzeli po sobie — mało jeszcze było kłopotów!

Kława powiedziała cichym głosem:

— Nie poszczęściło się Tichonowowi.

— Jeszcze nie wiadomo — nie zgodził się z nią Lewczuk. — Wojna jeszcze się nie skończyła, skąd mamy wiedzieć komu się poszczęściło, a komu nie?

i Wkrótce Grybojed przyniósł w czapce wodę, ale desantowiec leżał nieruchomo i na propozycję, żeby się napił, nic nie odpowiedział. Woźnica podreptał niezdecydowanie, trzymając w rękach czapkę, z której ściekając po jego palcach wypływała woda. W końcu Grybojed wylał resztę wody na trawę.

— Menażki nie masz? — zapytał Lewczuk.

— Nie mam.

— Ech, ty dziadku-grzybojadku! Słabo się starasz!

— Taki ze mnie dziadek, jak z ciebie wnuczek. Mam wszystkiego czterdzieści pięć lat — powiedział obrażony woźnica.

— Ile? Czterdzieści pięć?

— No.

39

— Popatrzcie tylko! A ja myślałem, że sześćdziesiąt lat. Dlaczego jesteś taki stary?

— Dlatego — burkliwie uchylił się od odpowiedzi > Grybojed.

— Dobrze już — westchnął Lewczuk. — Trzeba] by się rozejrzeć, może tu jest jakaś wioska? !

— Niedaleko powinno być Załozie — urywanym j głosem, ciągle obrażony, odrzekł woźnica. — Tak.'! Powinno tu gdzieś być. Nie spalili go jeszcze.

— No to chodźmy.

— A jeżeli tego... A jeżeli tam są Niemcy? Pewnie są, znalazło ich tutaj jak karaluchów. Bodaj ich diabli wzięli!

Gdyby mieli tam być Niemcy, to iść oczywiście nie należało, lepiej byłoby zrobić rozeznanie samemu, a reszta niechby poczekała gdzieś w krzakach. \ Bo w razie czego z ich bagażem niełatwo byłoby się wykręcić. Ale czekanie tutaj, na tej mokrej łące, było męczeństwem. Pierwsza zaczęła się wiercić Kława. — Lewczuk, trzeba iść — powiedziała ze wstrzymywaniem, ale stanowczym żądaniem w głosie. — No widzisz! Trzeba iść.

Powoli, pojedynczo, zaczęli wstawać na nogi. Załadowali rannego na konia. Tichonow także i teraz nie wypuszczał automatu z ręki. Trzymając się uprzęży, spokojnie oparł się piersiami o śliską, wy-1 mazaną błotem końską grzywę i zwiesił na dół rudą! zabandażowaną głowę.

Przytrzymując rannego z obuj stron powiedli konia na skraj łączki, za którą chybał zaczynało się pole — krzaki rzedły. Z tyłu za koniem, niepewnie i ostrożnie szła Kława. I Wkrótce, poza olszynowymi i leszczynowymi! krzaczkami ukazał się skraj lasu i trzeba było skre^ cić w bok, żeby zanadto nie wychodzić na otwartą przestrzeń. Zgłodniały koń co chwila opuszczał głowę i w marszu chwycił spod nóg pęczki trawy.

40

Ranny w takich momentach omal nie spadał z końskiego grzbietu, ledwie go można było podtrzymać. Grybojed ze złością walił konia pięścią w bok.

— Ech ty, nie nażresz się tutaj! Prędzej cię wilki zeżrą!

— Coś ty? — Lewczukowi nie podobało się zachowanie Grybojeda. — On przecież też jest żywy, jeść mu się chce.

Rozwidniło się. Tutaj, nieco dalej od bagna, prawie nie było już mgły, z boku, nad lasem, purpurowym pożarem zapłonął skraj nieba, za chwilę powinno ukazać się słońce. W gęstym porannym cieniu zmokniętych ludzi przejmowała okrutna wilgoć i trzęsły dreszcze. W mokrej odzieży trudno było iść. Nogi chlupotały w rozmiękłych butach. Do tego jeszcze Lewczuka bolało ramię. Starając się poruszać tym ramieniem jak najmniej, lewą ręką podtrzymywał pod pachę desantowca, a sam bez przerwy obszu-kiwał spojrzeniem okolicę, czekając kiedy wreszcie pokaże się to Załozie.

Ale sądząc ze wszystkiego okolica była lesista i nawet trochę dzika, chyba daleko jeszcze było stąd do wsi. Toteż powoli szli i szli, po zwariowanej nocy na bagnie ciężko przestawiając nogi i z wielkim trudem odganiając sen. Lewczuk, zrzucając z siebie cały ten kłopot z bagnem, uspokoił się trochę i zastanawiał się tylko co też tam zaszło na grobli. Czy oddziałowi udało się przebić, czy też nie? Jeżeli nie, to dzisiaj będzie kiepsko z partyzantami, bo ta ekspedycja pa-cyfikacyjna to cała ćma ludzi, a w oddziale od dawna już brakowało naboju i pewnie w ogóle nie było już granatów.

Dowódca zdecydował prawidłowo, że trzeba się przebijać, ale kogo też puścić na groblę: czy aby nie tyły, z oddziałem sanitarnym? Bo z tych oczywiście wszyscy polegliby na pewno. To się nazywa wierzyć w rozpoznanie!

\
Kiedyś Lewczuk także był zwiadowcą i wiedział co są warte niektóre raporty. Idą tacy na zwiad, a czy wiele udaje im się dowiedzieć o przeciwniku? Noc ciemna, a dowództwo żąda jasnego meldunku. No i wiadomo, wiele zależy od fantazji tychże zwiadowców. Lewczuk nagle przypomniał sobie, jak to wczesną wiosną, będąc właśnie zwiadowcą, jeździł do Brygady Kirowskiej po pierwszą w oddziale radiostację, którą specjalnie dla nich przysłano z Moskwy. Lewczuk pamiętał, że nowina o łączności radiowej przyniosła wielką radość w oddziale — to nie żarty mieć bezpośrednią łączność z głównym partyzanckim sztabem w Moskwie. Wzruszeni dowódcy przeprowadzili nawet z tej okazji wiec; występowało kilku partyzantów i komisarz Iliaszewicz — podejmowali zobowiązania, przysięgali. Na spotkanie radiotelegrafistów, w nie taką znowu bliską drogę, wysłano trzech najlepszych zwiadowców na czele z Lewczukiem, który wtedy rzeczywiście był niezły — nie to co teraz. Wieczorem przed wyjazdem dowódca i szef sztabu długo ich instruowali: jak jechać, co ze sobą wziąć, jak się zachowywać wobec gości, co wolno mówić, a czego nie. Ani przedtem, ani potem taki instruktaż się nie odbywał — Lewczuk w każdym razie nie pamiętał takiego. Odprawiono ich jak na niezwykle ważne zadanie — a oni denerwowali się bardziej nawet niż wtedy, kiedy szli w przebraniu do Garnizonu Szablowskiego aby przekabacić policjantów na swoją stronę.

Był marzec, koniec zimy, zaczynało się przedwiośnie. W dzień porządnie roztajało, ale w nocy i nad ranem drogi były jak szkło, sanki leciały dźwięcznie, tupot kopyt na lodzie słyhać było chyba na trzy kilometry. W ciągu jednej nocy odmachali sześćdziesiąt kilometrów i zjawili się w sztabie Brygady Kirowskiej, gdzie spotkali się ze swoimi radiotelegrafistami, których przelożonym był plutonowy Leszczow — niemłody, cherlawy człowiek z niezdrową twarzą i żółtymi od tytoniu zębami. Leszczow im się nie spodobał: nazbyt już szczegółowo zaczął wypytywać gdzie są Niemcy, jak się pojedzie, a czy sanie w porządku, a czy konie nakarmione, i czy jest się czym nakryć, bo on ma cienkie buty i onuce. Wykombinowali dla niego derkę i owinęli mu w saniach nogi słomą, ale on i tak marzył i narzekał na wilgoć, klimat i specyfikę partyzanckich warunków, do których nie był przyzwyczajony. Za to radiotelegrafistka oczarowała wszystkich od pierwszego wejrzenia, taka była ładna w swoim nowiutkim białym kożuszku i małych walonkach, przyjemnie skrzypiących na porannym mrozie. Nauszniki jej ładnej, barankowej czapki były kokieteryjnie zawiązane z tyłu głowy, na czoło wysypywała się psotna grzywka, a na małe ręce nasadzone były ładne, futrzane rękawice z białym sznureczkiem założonym za kołnierz kożuszka. Odwrotnie niż plutonowemu wszystko jej się tutaj podobało i bez końca śmiała się i wypytywała, zachwycając się lasem, brzoźami, dzięciołem na sośnie. A kiedy po drodze zobaczyła wiewiórkę, przeskakującą z gałązki na gałązkę, to aż sama zeskoczyła z sań i biegła za wiewiórką, dopóki nie przemoczyła walonek. Jej policzki z zabawnymi dołeczkami zaróżowiły się jak u dziecka, a z miłych, pełnych wdzięku <=>czu była taka radość, że Lewczuk zapomniał nie tylko o całym wczorajszym instruktażu, ale i o własnym języku w gębie. Z męką poszukiwał w myślach odpowiedniego zdania, które można by było wypowiedzieć przy tej dziewczynie i nie mógł znaleźć ani jednego. Pozostali również oniemieli, porażeni jej dziewczęcym powabem i jadąc przez puszcę, bez przerwy tylko kurzyli machorkę. Wcześniej czy później radiotelegrafistka musiała zauważyć to niena-

42

turalne onieśmienie. Udając, że nie rozumie w czym rzecz, zapytała:

— Chłopcy, czemu milczycie? Całkiem jak nie Rosjanie...

Tutaj, prawdę mówiąc, trafiła w sedno. Z całej trójki, ani jeden nie był Rosjaninem — Zielonko był Ukraińcem, a Lewczuk i Miężewicz Białorusinami. Zielonko, który nie mógł ani słowa wymówić w żadnym języku — oprócz swojego własnego, nedorzecznie zażartował: — A myśmy — Niemcy! No i czy trzeba było, żeby Lewczuk, wtórując Zielonce, zażartował jeszcze głupiej? Do

dzisiaj przykro wspomina ten żart, ale kto mógł wtedy wiedzieć, co się zdarzy? Siedząc z tyłu sań, przy słowach Zielonki rozpiął swój kożuch, pod którym zimą, dla ochrony przed chłodem nosił sukieny, niemiecki mundur z jakimiś galonami i naszywkami. Krzyknął: — Hande hoch!

Nie zdążyli nawet mrugnąć, kiedy ich nowy radiotelegrafista wykoziłkował z sań i zaszył się w młodych świerczkach za rowem. Zmieszany Zielonko wstrzymał konia i wszyscy milcząc, uniósłszy się w saniach, zaczęli wpatrywać się w świerczki, z których sterczała już, wycelowana w sanie lufa

pepeszy.

— Stać! Nie ruszać się! — rozległ się z krzaków odrętwiwały głos wystraszonego człowieka, który w takim stanie mógłby zrobić nie wiadomo co. I w tym samym momencie usłyszeli ze zdziwieniem wybuch perlistego, niepohamowanego w swej wesołości śmiechu. Radiotelegrafistka przewróciła się ze śmiechu na wyłożone słomą dno sań, chichotała nie krócej chyba niż minutę. Czapka spadła jej z głowy w śnieg,

a na kołnierz kożuszka wysypały się jasne, starannie przystrzyżone włosy.

— Oj, nie mogę!... Oj, umrę chyba!... Uśmiechając się także, spoglądali równocześnie 7, obawą za rów, w choinki, z których nie od razu, zważając na każdy swój ruch, wylazł radiotelegrafista. Nie opuszczając automatu stanął na drodze, jak gdyby nie wiedział co ma robić dalej, jak się zachować wobec tego wszystkiego, a przede' wszystkim wobec dźwięcznego śmiechu swojej partnerki.

Naśmiawszy się do woli, dziewczyna podniosła z drogi czapkę i wsunęła pod nią jasne włosy.

— Dobrze już Leszczow, wystarczy! Rozśmiesziliście partyzantów...

Leszczow powoli opuścił automat, podszedł do sań i usiadł w nich bokiem, na samym tyle, jak gdyby ciągle jeszcze nie wierzył, że na próżno wystraszył się sam i wystraszył innych. Zapanowało niezręczne milczenie, tylko radiotelegrafistka, po ataku swawolnego śmiechu długo jeszcze nie mogła się uspokoić.

A następnego dnia płakała.

Jakiś oddział wdał się na ich drodze w walkę /, policjantami. Trzeba było objeżdżać niebezpieczne miejsce, przez to spóźnili się i zanocowali w znanej wsi u łącznika. Chłop dobrze ich przyjął, napalił w chacie i rozścielił na podłodze wiązkę słomy, na której mężczyźni ułożyli się do snu. Radiotelegrafistka poprosiła, aby pozwolono jej spać na piecu. Powiedziała, że nigdy w życiu nie spała w ten sposób. Piec był dla niej czymś niezwykłym, ciekawym i nowym. Długo dopytywała się gospodyni jak i co się tam nagrzewa, któredy idzie dym, jakie i po co zioła utknięte są nad belką i co jest w woreczkach na zapiecku. Przedtem, zanim ułożono się spać, rozdzie-

45

44

łono godziny wart przy drzwiach, chociaż chłop powiedział, że w swoim domu może ochraniać ich sam. Lewczuk nie chciał jednak polegać wyłącznie na I gospodarzu. Żeby nikt nie był pokrzywdzony, zwy- j czajem zwiadowców wyciągano losy. Wszyscy wy- | ciągnęli z czapki Lewczuka kartki z wypisanymi na nich godzinami warty — wypadło po dwie godziny w ciągu nocy na każdego. Radiotelegrafistka chciała też stać na warcie na równi ze wszystkimi i wy- J ciągnęła kartkę czwartej zmiany — od trzeciej do i piątej — najgorsze, najbardziej senne godziny nocy. I Lewczuk zaproponował, aby się z nim zamieniła, on^ miał stać do trzeciej, ale dziewczyna za nic nie! chciała się zgodzić, chciała na równi ze wszystkimi; wykonywać partyzanckie obowiązki. Lewczuk nie i upierał się, starał się dogodzić jej we wszystkim." Skończywszy swoją nocną zmianę, zdrętwiwały z zim- na, wszedł do chaty. Na przypiecku ćmiła się przy- j słońięta lampa naftowa, a chłopcy chrapali na słomie. I Lewczuk, nie czując zmarzniętych stóp, po cichu podreptał za piec i zawołał dziewczynę. Radiotelegra- fistka nie odezwała się, a inaczej Lewczuk budzić jej nie mógł, po prostu nie odważył się dotknąć jej wystającego spod koldry spiczastego ramienia. Zawołał ponownie, ale dziewczyna spała tak słodko, że trzeci raz już nie wołał, pogrzezał przy piecu ręce i wyszedł. Odstał kolejne dwie godziny — za nią — a potem

obudził już chłopców i wszyscy zaczęli zbierać się do drogi.

Wtedy właśnie radiotelegrafistka rozplakała się.

Plakała z urazy do siebie, że przespała swoje pierwszą w życiu bojową służbę i że oni tak niedorzecznie ulitowali się nad nią. Przez resztę dróg była przygnębiona i milcząca. Lewczuk łajał się z powodu niezdecydowanie i za głupią nieśmiałość, ale chciał

46

przecież jak najlepiej — mierzył wszystko własną, partyzancką miarą i skąd miał wiedzieć, że ta ino-skwanika myśli inaczej niż on?

Porośnięty krzakami skraj lasu skręcał w bok, przed nim było kartoflisko, a Załozia ciągle nie było widać. Uciekinierzy zatrzymali na chwilę konia, rozejrzeli się, ale wieś, jeżeli w ogóle była tu w pobliżu, mogła być tylko przed nimi. W dole pod nogami pojawiły się świeże, chyba kilka dni temu oko-pane bruzdy i soczyste pędy z fioletowymi plamkami kwiatków. Weszli w kartoflisko. Szeroką bruzdą prowadzili konia, a sami szli obok.

Niska nać kartofli nie przeszkadzała w marszu. W oddali widać było rząd jakichś drzewek czy krzewów, potem znowu był parów, a za nim ciemniał sosnowy las; gdzie natomiast podziela się wieś nie sposób było odgadnąć.

Szli w milczeniu, kilka razy poprawiali na koniu Tichonowa, który zsuwał się na jedną stronę. Ranny cicho jęczał, zgrzytał zębami, a ręce zaciskał na przywiązany do chomąta automat.

— Długo jeszcze? — wycedził przez zęby.

— Co — długo? — Lewczuk nie rozumiał.

— Czy długo jeszcze będę się męczył? — Niedługo, niedługo. Pocierp trochę.

— Gdzie są Niemcy?

— Nie ma Niemców. Czego się boisz?

— Nie boję się. Nie chcę się męczyć na próżno.

W słowach desantowca wyraźnie dźwięczały cierpienie i wysiłek, zrozumiałe ze względu na stan rannego. Lewczuk nie zamierzał przekonywać Tichonowa, że nie jest źle. Zdawał sobie sprawę, że słowa desantowca brzmią prawdziwie, przyznawał nawet ran-

47

nemu pewne prawo do narzekania. Zdążył się już napatrzeć na ciężko rannych i wiedział, że niektórzy z nich są jak kapryśne i obraźliwe dzieci, i że trzeba z nimi po dobremu, łagodnie. Co prawda trzeba też czasem, być surowym, surowość rozumieją wszyscy. Tylko nie zawsze sumienie pozwala na surowość, niektórych jest po prostu żal.

Niedaleko jeszcze odeszli kartofliskiem od skraju lasu, kiedy z tyłu rozległ się nagle krzyk wystraszo-

nej Kławy:

— Lewczuk, Lewczuk, spójrz!

Lewczuk obejrzał się na nią — dziewczyna przysiadła w bruzdzie i wciągając głowę w ramiona patrzyła w bok. On również spojrzał w tamtą stronę — mniej więcej o kilometr od nich, w rzadkich krzaczkach, stało kilka krytych brezentem samochodów, pomiędzy którymi snuły się jakieś postacie w czapkach z daszkami. Niemcy, oczywiście.

Lewczuk spojrzał tylko raz i jak gdyby coś oberwało mu się w środku od przerażającej myśli — wpadliśmy! Wpadliśmy na dobre, pośrodku pola, z koniem. Co teraz robić?...

Grybojed leżał już wyciągnięty w bruzdzie, nieźle przykryty przez nać kartoflaną. Lewczuk ściągnął na siebie ciężkie ciało desantowca. Jedną ręką trudno mu było utrzymać rannego, toteż obydwaj upadli w kartoflisko obok konia. Tichonow stęknął, zajęczał, ale jakoś tak od razu ucichł, a pozostawiony bez opieki koń zatrzymał się i nic nie rozumiejąc, odwróciwszy głowę, zapatrzył się w dal.

— Jak wpaść, to wpaść! To nie to samo co bagna — burknął w swojej bruzdzie Grybojed. Obok leżał skurczony Tichonow. Lewczuk podczołgał się do konia, żeby ściągnąć z chomąta automat, ale automatu już tam nie było, pewnie przewracając się, zerwał go desantowiec. Lewczuk

ostrożnie wyjrzał

48

.-. kartofli: samochody stały sobie, zasłaniane przez Krzaki; z jednego ktoś chyba wysiadł, bo niezbyt gło-no trzasnęły drzwiczki. Za krzakami przebiegała pewnie droga i Niemcy zatrzymali się na niej po coś tam. Niemcy chyba ich jeszcze nie zauważyli.

A może zaraz odjadą?

Partyzanci leżeli w wilgotnym jeszcze od nocnej rosy kartoflisku. Słońce weszło nad las i szeroko rozwiesiło nad polem swoje poranne, jasne promienie. Słońce trochę chyba oślepiało Niemców, bo z tej od-! logłości powinni już ich zobaczyć na polu.

Upłynęło trochę czasu, a cała czwórka ciągle leżała, mając nadzieję nie wiadomo na co, nie wiadomo na co czekając.

Tichonow zachowywał się spokojnie, nie wiercił się i milczał, chociaż, jak się wydawało Lewczukowi, wszystko słyszał i rozumiał co zaszło. Lewczuk co chwila spoglądał jednym okiem ponad kartoflami i nagle zobaczył, że ktoś stanął na drodze twarzą i stronę pola, patrząc w ich stronę. Grybojed zauważył chyba to samo, bo zaraz złym burczeniem za-pzął odganiać konia:

— Poszedł! Poszedł precz! Precz ty, cholero!...

Stało się jasne: Niemcy zauważyli samotnego ko-ia z chomątem na szyi i to ich zaciekało.

Wkrótce pi pierwszego podszedł drugi — wysoki Niemiec wiadrzem w ręku. Rozmawiali o czymś przez chwilę,

fioglądając w stronę pola. Lewczuk upewnił się, że icmcy ich nie widzą — widzą tylko konia. . A co będzie, jeśli pójdą po niego? , Myśl ta nie na żarty wystraszyła Lewczuka, toteż jon zaczął syczeć na biednego, nie wyschniętego je-ly.c po nocy konika:

- Precz! Precz stąd! Poszedł! Pódziesz! Hiedne kónisko powstało, porozglądało się na wszy-k1 strony i nie zwracając najmniejszej uwagi na

\tnrlo wilków

49

niezrozumiałe, ściszone okrzyki, zaczęło spokojniej skubać łętowinę. Bezradnemu Lewczukowi chciało się wyc ze złości, ale nie mógł się podnieść, żeby ode-' gnać konia. Nie mógł nawet zamachnąć się na niego

jak należy.

— Grybojed! Grybojed! Odgoń go! Odgoń go cc prędzej!

— Poszedł do cholery! Precz! Precz! — Grybojec wysiłał się na głośny szept, ale wszystko na próżn — koń ustawił się w poprzek bruzd i szczypał sobi liście kartofli.

[

— Bodajżeś zdechł! Bodaj cię wilki zjadły... Byłoby szczęściem dla partyzantów, gdyby koi. teraz zdechł, ale on wcale nie zamierzał zdychać, za mierzal trochę się popaść, chociaż przeszkadzało nn chomąto na szyi. Lewczuk i Grybojed spochmurnieli skurczyli się i tylko od czasu do czasu ostrożnie wy glądali zza kartofli.

— Czy Niemcy są daleko? — ocknął się nagli rannyr podrzucając swoją rudą, obandażowaną gtc'

wę.

— Cicho! Leż! — krzyknął na niego Lewczuk.

— Niemcy daleko?

— Cicho! Jakie tam daleko... Tutaj, na drodze.

---Idą po nas?

— Jeszcze nie. Leż!...

— Jak to nie — syknął z boku Grybojed, któn wyjrzawszy, placnął, obok w bruzdę. — Już idą. Lewczuk tylko na ułamek sekundy wysunął gło wę z kartofli, ale wystarczyło to, żeby zobaczyć jal dwaj Niemcy, wolno przestępując bruzdy, kieruj się w stronę konia. Nie było żadnej wątpliwość; Lewczuk dokładnie określił, dokąd idą Niemcy. Al koń, skubiąc nać, odszedł już może o jakieś dziesięć kroków, być może wkrótce odszedłby jeszcze dale;

Ta szczęśliwa okoliczność dawała maleńką nadzieję — innej nadziei nie było.

— Gdzie są Niemcy? — ocknął się znowu Tichonow.

— Cicho! Nie ruszaj się!

— Gdzie są Niemcy? Idą?

— Idą. Ci...

— Po nas idą? Nie, mnie już nie wezmą, gady!...

Ostatnie słowa, które Tichonow prawie wykrzyknął, zatrwożyły Lewczuka. Rzucił się całym ciałem poprzez nać w stronę rannego, ale nagle, prawie spod jego rąk, wyleciała siekąc po kartoflisku grzmiąca seria.

Tracąc panowanie nad sobą Lewczuk szarpnął automat, myśląc, że to desantowiec strzelił do Niemców. Ale w tym samym momencie zobaczył rozmota-ny, zakrwawiony bandaż na opadłej w bruzdę głowie Tichonowa, z której wsiąkając w piasek między kartoflami ściekała krew. Lewczuk wszystko zrozumiał, uniósł się i Obrywając rzemień, mocnym szarpnięciem wyciągnął automat spod martwego ciała. Puścił z kolana króciutką serię w tych dwóch, którzy najpierw przystanęli, a później popędzili z powrotem cło drogi. Obok głośno huknął strzał z karabinu Grybojeda. Lewczuk krzyknął: „Uciekajmy!” i pochyleni co sił w nogach pobiegli na przełaj w stronę lasu.

Biegąc Lewczuk ze złością przeklinał: nie spodziewał się czegoś takiego po Tichonowie. Szybko dogonił potykającą się w biegu Kławę. Uciekając, oglądali się co chwila na samochody, do których ci dwaj Niemcy zdążyli już dobiec. Huknęło tam kilka karabinów, a kilka kul z głośnym świstem przeleciało nad głowami. Ale od drogi do skraju lasu nie było daleko i po chwili podniesiony na duchu Lewczuk zrozumiał, że uda im się uciec. Krzaki były już tylko

50

o kilka kroków, a w krzakach strzały z daleka niko- m uł S°L scze, potem dopiero schował sg

^o^pŚ^p^ _ Lewczuk nie

sie uspokoić. - Tyleśmy się z. nim nf

Wkrótce zaszyli się w krzakach .1 nać, starali się jak mogli ^^ ^^ niebezpiecznego miejsca.

Grybojed dogomł ka i trzymał się blisko niego, ze strachem igą Je sS na boki I oglądając do tyłu.

Zagajmk me by gesty rosły w nim brzoźki i młode świerki cc gę fcTejsze miejsca doświadczony

Lewczuk obchodzd bokiem. Mógłby biec prędeej, gdyby nie Kł^TM*L^TM pozostawała z tyłu.

Lewczuk co chwł* ^TMgggL_ trzyrnywać się i czekać na dziewczynę. Radiotelegra sSa^ogoniała ich

z niemalym wysiłkiem azotem znowu zwalniała kroku i żeby me upasc jedną a^o obydwoma

rękami chwytala za gałęzie drzew. wyraźniej czuła się źle, ale zatrzymywać się nie mogli, trzeba

było jak najdalej odejść od diogi. Toteż Lewczuk uparcie szedł naprzód.

Po pewnym czasie wyszli z krzaków na mokia łąkę zrzadkfmi kępami łożyny. Lewczuk zatrzyma

się tutaj na chwilę, żeby odpocząć 1 fc^k^TMTME^ą Niemcy chyba ich ni* gonili, ale Lewczuk ciągle

się S wspominając niedorzeczność tego co się y-

się po łączce, żeby znowu nie

się na Niemców, Lewczuk ni stąd ni zowąd pomyślał: a może on ich uratował? Rzeczywiście,

gdyby nie strzelił wtedy i z daleka nie wypłoszył Niemców, to ci, rzecz jasna, podszliby bliżej i

pewnie odkryli ich w kartoflisku. A wtedy jeszcze nie wiadomo komu by się poszczęściło i kto

pozostałby przy życiu, mogłoby się zdarzyć, że po prostu zginęliby wszyscy.

A takie to niby ładaco!

Lewczuk zmieszał się. Sam już nie wiedział co ma myśleć o Tichonowie i o jego uczynku.

Wydawało się, że desantowiec rzeczywiście ich uratował. Wyzwolił ich od siebie — to już na

pewno. Choćby tylko za to należało mu dziękować — jakżeby inaczej uciekli z rannym, bez konia.

Wojna dała już Lewczukowi wiele przekonywających lekcji, Lewczuk dużo widział i zdawało mu

się, że nic go już zadziwić nie zdoła. A okazało się, że niespodziankom nie ma końca i nie wiadomo

nawet czy wystarczy życia, żeby poznać wszystkie.

A choćby i taka Kława.

Z męczeńskim wyrazem niezdrowej twarzy, z rudymi plamami koło ust i na czole, dogoniła

mężczyzn i ciężko upadła kolanami na trawę.

— Nie mogę... Już nie mogę...

— Jeszcze i ona! — szorstko odezwał się Lewczuk. — No i co zrobimy? Odeszliśmy najwyżej kilometr...

— Dwa kilometry — poprawił Grybojed.

— No, niechby nawet i dwa! Dla nich to dwie minuty. Widzieliście samochody?

Nikt mu nie zaprzeczył, wszyscy troje zamilkli.

Kława, pozostając w poprzedniej pozycji, opierała się rękami o trawę i ciężko oddychała. Starła się pokonać zmęczenie. Gotowa była w każdej chwili rozplakać się, a oni we dwóch stali nad nią i nie wiedzieli co mają robić. Nachmurzony Grybojed spo-

52

r

[utaj /ostać. To nie mogli ich tutaj do-

j. Jut, wstawaj! Przejdźmy łączkę.,

rSSla op^^g łąką, przeszli TMP^ffi o^k z rzadko irosną-

brzeg strumienia. Dale^bLłaPw| znowU zaniemogła, cymi sosenkami i tam *± Obydwaj mężczyźni upadła na suche gałązki wrzосу uoy J coną

kiego co się o^

Lewczuk „ważnie popatrzy):

mundurze, ozdobionym Szeni. Grybojed z trudem

Sy: s

L ilsHon , ^man*, Nie damy rady PO chwili namysłu powiedz.al Grybo

Mieliśmy furmankę.

54

Grybojed nie zwlekał, zerknął jeszcze raz na Kława i bezszelestnym krokiem zszedł z pagórka.

Wkrótce zasłoniły go sosenki.

— I nie zatrzymuj się, słyszysz? — krzyknął w ślad za nim Lewczuk.

Kława znieruchomiała na trawie, a Lewczuk rozejrzał się ze szczytu pagórka. Za sosnowym zagajnikiem było chyba nie zaorane pole, a potem znowu zaczynał się las. Nie było żadnych oznak wskazujących na bliskość ludzkich siedzib. Panowała poranna cisza, tylko małe ptaszki kręciły się w wierzchołkach sosen, strzałów ani głosów ludzkich nigdzie nie było słuchać. Lewczuk wrócił do Kławy i usiadł obok niej, ciągle nasłuchując. Ściągnął buty i rozłożył onuce na trawie. Zaczął się suszyć. Wszystko było na nim mokre.

Kława leżała na boku i wielkimi, smutnymi oczami patrzyła na sosenki.

— Narobiłam wam kłopotów. Wybacz mi, Lewczuk.

— Co tu wybaczać? Po wojnie się policzymy.

- Och, jak tu dożyć tego „po wojnie”? Ja nie do-

- Powinnaś dożyć. On nie dożył, a ty powinnaś, eba się starać.

- A czy ja się nie staram?...

napłakała nagle, cicho i żałośnie, a Lewczuk sie-i/aał obok wyciągając do słońca zaczerwienione sto-y i milczał. Nie pocieszał dziewczyny, bo nie umiał Dcńeszać nikogo, a poza tym uważał, że Kława sani jest winna temu, co się z nią stało.

Kława długo płakała, cichutko pochlipując i.Lew-.: czuk w końcu nie wytrzymał. |

r

— No już — powiedział, udobruchany. — Jakoś to będzie. Pocięrp trochę.

— Oj, ja już tak cierpię, ale przecież... Wiesz sam

— Najważniejsze, żeby dotrzeć do jakiegoś domostwa. Tylko że nic nie ma. Wszystko popalone.

— A jeżeli nie spalone, to pełno Niemców — powiedziała Kława z narastającą rozpaczą. Przez całą drogę myślała chyba tylko o tym.

— Pełno Niemców — zgodził się Lewczuk. Starał się być obojętnym wobec Kławy, podkreślał nawet tę obojętność, ale wewnątrz oburzał się i przeklinał — nie oczekiwał takiego obrotu spraw. Jeszcze wczoraj siedział sobie na Długiej Grzędzie i zastanawiał się tylko nad

tym, czy uda się odeprzeć nowy atak Niemców z ekspedycji pacyficyzacyjnej, czy też nie, a jeżeli nie, to gdzie by tu uciekać. I nagle to niedorzeczne ranienie, której wszystko tak gwałtownie odmieniło, zważyło na niego nowe obowiązki, kłopot z tym całym Tichonowem i z tą całą Kławą: a co on ma robić, jeżeli nagle ją przypili? Zaczął się mawet bac, żeby „to” nie zda rzyło się tutaj i dlatego spoglądał co chwila z ukosa: na dziewczynę, nie przestając wsłuchiwać się w odgłosy okolicy i popatrując również w dół — w niecierpliwym oczekiwaniu Grybcojeda. Ale Kława po leżała trochę i pewnie odpoczęła. Usiadła równo na waciaku i tak jak poprzednio oparła się o ziemię rękami. Jej uszyte na zamówienie, zgrabne skórzanym buciki z białymi, powycieranymi o trawę noskami były mokre, spódniczka także zamokła od dołu. Lech powiedział:

— Zdejmij buty. Niech wyschną.

56

— Ale...

— Zdejmij, zdejmij! — i zobaczywszy, że Kiuwie trudno jest się schylić, wstał. — No, daj! Posługując się jedną ręką, ściągnął Kluwca. No-gi najpierw jeden but, a potem drugi. Kiuwo najpierw krępowała się, ale poczuła chyba ulgę i trochę już spokojniejsza podniosła na niego umęczony wzrok:

— „A jak twoje ramię? Może ci zmienić opatrunek?”

— E, głupstwo. Nie trzeba.

Przyzwyczaił się już do swojej rany. Żałował nawet, że poszedł do Pajkina, lepiej było zostać w kompanii. Przebijaliby się razem ze wszystkimi za groblę i być może byłby już teraz daleko stąd. Przynajmniej nie miałby tych kłopotów, które teraz spadły mu na głowę.

— Ten Tichonow, nie spodziewałem się po nim czegoś podobnego. Nie wiem nawet co o tym myśleć — powiedział, siadając koło Kławy, trochę niżej od niej.

— Wystraszył się. A może...

— Wystraszył się, to fakt. Ale co byśmy robili, gdyby on się nie wystraszył?

— Może on tak ze względu na nas? — powiedziała Kława.

— Kto go tam wie? Czy ktoś teraz cokolwiek zrozumie? W cudzą duszę nie zajrzysz.

— Czasem przecież trochę widać. Dobry człowiek jest widoczny z daleka.

— Tak? A myślisz, że dranie nie potrafią się mas- i kować? Uduwać dobrych? Choćby ten gad! Taki był i niby sympatyczny...

— O kim mówisz?

— Zawsze o tym samym!

— Co tu teraz o tym mówić? — odezwała się Kława.

57

4

wa po chwili milczenia. — Po szkodzie każdy jest mądry.

— W samej rzeczy — po szkodzie. Mądry i surowy. A na początku wszyscy tacy dobrzy. Ponadstawiali uszu, a ten — nożem w plecy.

— Płatonow wtedy też mówił, że jest podejrzenie.

Ale nie było dowodów.

— Czekał na dowody! No i doczekał się!... Zamilkli na chwilę. Lewczuk, gryząc trawkę, obrzucał sośniakiem spojrzeniem. Kława, pokonując coś w sobie powiedziała:

— Oczywiście, możemy teraz różnie myśleć o Płatonowie. Osądzać go. Ale co on miał zrobić? Pamiętam, że mi mówił: coś tu nie jest tak, ale jak się w tym wszystkim rozeznąć? Potrzebny jest czas.

— Trzeba było ich stuknąć obydwu. I tyle — czując ulgę w sercu powiedział Lewczuk. — A bo co? Jeżeli są wątpliwości, to obydwu. Żeby się wątpliwości skończyły. Powiadają, że na dwoje babka wróżyła: może porządny człowiek, a może agent.

— Nie, tak nie można — cicho powiedziała Kława. — Wszyscyście zczerstwieli na tej wojnie. To zrozumiałe, ale tak nie można. Płatonow nie był taki. Był ludzki, dobry... Może i dlatego tak nam to

wszystko wyszło. On rozumiał innych ludzi jak siebie samego.

— O to-to-to. Właśnie — podchwycił Lewczuk i usiadł równo. — Dobry! A przecież przez tę jego dobroć nie wiadomo jeszcze co się z tobą stanie. No i z nami...

— Cóż, może być kiepsko. Ale i tak on — był dobry. A dobro nie może stać się złem...

— Co ty powiesz? — ironicznie zdziwił się Lewczuk i wstał. — Nie moi! Popatrz tylko. Będę dobry i szybciotko zostawię cię w jakiegokolwiek wsi. Najbliższej. Chcesz przecież zatrzymać się jak najprędzej. Nieprawda? Żeby się uspokoić. No to jakoś się wszystko urządzi, a Niemcy zaraz cię złapią. Ale nie, ja nie jestem dobry: szarpie cię, ciągnę, a ty mnie przeklinasz. Nieprawda? I w końcu może cię zaciągnę w jakieś spokojniejsze miejsce. Gdzie urodzisz po ludzku. I gdzie znajdzie się ktoś do opieki.

Wypowiedział to jednym tchem, zanadto może zapalczywie. Kława umilkła nie przecząc, ale Lewczukowi niepotrzebna była ani jej zgoda, ani jej sprzeciw, dobrze wiedział co mówi. Wojował już od dawna i upewnił się, że na wojnie prawda może być tylko taka. Jakaś tam dobroć do wojny nie pasuje. Może w swoim czasie jest miejsce na dobroć, może czasem jest ona w sam raz, ale na pewno nie wtedy, kiedy w każdym momencie może cię trafić kula.

Kława umilkła, pograżywszy się w swoich niewie-Hych myślach, a on obszedł na bosaka porośnięty i łającą trawą pagórek i spojrzał przez sosenki w dół, na łąkę. Wydawało się, że nie ma tutaj ani dróg, ani wiosek, nie słycać było żadnych dźwięków i nie było żadnych oznak obecności wroga. Udało im się chyba nieźle ukryć w głuszy. Gdyby tylko znalazła się w pobliżu jakaś ludzka siedziba. Potrzebna im była jakakolwiek wieś, chutor, albo leśniczówka / ludźmi — bez ich pomocy Kława nie mogła się obejść. Choćby Lewczuk i Grybojed traktowali ją jak najlepiej.

Lewczuk po cichu przeszedł pomiędzy młodymi so-ionkami, ponadśluchiwał i ostrożnie stąpając wrócił do Kławy. Radiotelegrafistka leżała z zamkniętymi oczami i Lewczuk z pewnym zdziwieniem uświadomił sobie, że ona ciągle jeszcze usprawiedliwia Płanowa, który zgotował jej taki los.

Płanow jest z martwy, ale ciągle jeszcze coś dla niej znaczy — k to jednak bywa, kiedy na serio kogoś się pokona!

58

Usiadł trochę wyżej niż Kława i przysunął do siebie automat. Bardzo chciał się wyciągnąć, ale bał się położyć, aby przypadkowo nie zasnąć. Uspokoiwszy się trochę, zaczął myśleć o ich położeniu, o nieboraku Tichonowie i o tym, gdzie tam teraz błądzi Grybojed. No i oczywiście o Kławie.

:

Miała chybli rację jeśli chodzi o Płanow; był to rzeczywiście człowiek zadziwiająco zrównoważony, życzliwy dla innych i nie po wojskowemu spokojny. Lewczuk znał go jeszcze przed wojną, od czasu, kiedy (razem służyli w Grodnie. On był wtedy dowódcą drużyny łączności, a kapitan Płanow pomocnikiem szefa sztabu pułku — bezpośrednio podlegał mu zwiad. Po rozgromieniu pułku i przedarciu się z okrażenia Lewczuk przesiedział pierwszą zimę u ojca, a na wiosnę, kiedy ich grupa połączyła się z grupą Udarcewa, znowu spotkał Płanow. Dziwna rzecz, ale walka, rozgromienie pułku, leśne życie pełne jawnych i tajnych niebezpieczeństw — wszystko to nie zmieniło charakteru kapitana, który jak dawniej był spokojny, życzliwy ludziom i jednakowy dla wszystkich — przełożonych i podwładnych. Nie goi raczkował się, postępował zawsze w sposób przemyślny, trzeźwy i sprawiedliwy. Taki też starał się być w tej niewesołej historii z dwoma jeńcami, którzy pod koniec maja zjawili się nagle w ich oddziale. Przybiegli ze stacji, na której przeladowywali drewno z wąskotorówki na kolej szerokotorową. Na stacji zawsze pracowała jakaś grupa jeńców wojennych. Do oddziału przyprowadziła uciekinierów Zojka, łączniczka z koszar kolejowych. Powiedziała, że jeńcy najpierw zjawili się u niej i na wszystko w świecie błagali, aby pomóc im w nawiązaniu kontaktu z par^ tyzantami. No i Zojka pomogła. W oddziale i przede wszystkim było wielu byłych jeńców i żołnierzy, którzy wydostali się z okrażenia, toteż pojawienie się

60

szyście dwóch nowych nie wywołało większego zdziwienia. Zdziwienie i popłoch zaczęły się później, kiedy do nowych zabrała się sekcja specjalna.

Jako pierwszego wezwano tam Szewcowa, wysokiego, wychudłego człowieka w waciaku, który według jego własnych słów przed powołaniem do wojska pracował jako inżynier w Kiemierowie, do niewoli dostał się pod Białymstokiem i jak twierdził przez rok szukał możliwości ucieczki. Pragnął odnaleźć partyzantów. Czuł się szczęśliwy, że nadarzyła się okazja i prosił, aby dać mu broń, bo chciałby bić tych, którzy przyczynili mu tylu cierpień i hańby.

Wszystko było proste i zwyczajne. Szewców dostał

I przydzielono do drugiej kompanii i został wyprawiony za strumień do kompanijnego szałas.

Drugiego byłego jeńca zawołano trochę później, wieczorem, bo naczelnik sekcji specjalnej Zienowicz musiał dokądś jechać i czekano już na niego koło ziemianki z osiodłanym koniem. Zienowicz wrócił dopiero pod wieczór, kiedy partyzanci szli do kuchni. Towarzysz Szewcowa, nazwiskiem Kudriawcew, własnej woli czekał przed ziemianką oddziału specjalnego i to przynajmniej z godzinę.

Kudriawcew był młodym jeszcze, przystojnym chłopcem z nad- podziw przyjemnym i otwartym uśmiechem na miłą, dobrze wygolonej twarzy, fyszysko o sobie opowiedział. O tym jak wojował, i tym jak trafiono jego cięg i jak towarzysze wyciągnęli go z płomieni. Pokazał nawet na łopacie ślad po ludzkiej ranie. Po zranieniu, nieprzytomny, ocknął się niewoli. Pochodził z Leningradu, przed wojną pracował w znanej fabryce. Kocha ojczyznę, nienawidzi Niemców, gotów jest walczyć z nimi pełniąc wódcę partyzantów jakąkolwiek funkcję, chociaż na jhasem mówiąc posiada kwalifikacje radiotelegrafisty. Pragnie też wyjawić w sekrecie, że jego towarzy-

61

sz, Szewcowa, tuż przed ich ucieczką kilkakrotnie wzywał do siebie szef SD, prawdopodobnie chcąc go zwerbować na agenta, chociaż Kudriawcew może się mylić, bo rzecz prosta, nie był przy rozmowach szefa, SD z Szewcowem. Zienowicz z udawanym spokojem: powiedział, że wie o tych rozmowach w SD, chociaż słyszał o nich pierwszy raz. Zwolnił Kudriawcewa, posłał dyżurnego po Szewcowa, którego przyprowadzono jednak nie tak prędko, bo jak się okazało, już spał. Kiedy usłyszał o werbowaniu do SD, bardzo się zdziwił. Albo przynajmniej udął, że się dziwi.

Twierdził, że szef SD nie wzywał go ani razu i że nic nie słyszał o werbunku. Nigdy nie brał na siebie żadnych obowiązków przed Niemcami. O Kudriawcewie nie mógł powiedzieć niczego złego — rad zem pracowali, razem marzli w baraku, aż wybrał odpowiedni moment i uciekli — było to wtedy, kiedy wysłano ich do noszenia starych podkładów kolejowych.

Zienowicz zameldował o wszystkim dowódcy oddziału, komisarzowi i szefowi sztabu. Po naradzie postanowiono obszukać Szewcowa i kiedy chłopcy rozpruli jego spodnie, znaleźli pod paskiem kawałek perkaliczki z liczbami wypisanymi wodoodporną farbą. Szewców nie umiał wytłumaczyć co one oznaczają, ale wszyscy zrozumieli, że to niemiecki szyfr. Takie sztuczki były już znane partyzantom, toteż na drugi dzień, w wąwozie, Szewcowa rozstrzelano.

A Kudriawcew zyskał sobie od tej chwili ogólną popularność. Rzeczywiście, uratował oddział przed niemieckim agentem, a nietrudno sobie wyobrazić co by się stało z oddziałem, gdyby pozostał w nim Szewców. A w ogóle to nowy partyzant był bardzo sympatycznym chłopcem, świetnym strzelcem, umiał reperować zegarki i w dodatku grał jeszcze na

62

harmonii. Co prawda harmonię mieli bardzo starą, do szczętu rozstrojoną, z podartymi miechami i zapadającymi się bez przerwy klawiszami. Ale w zręcznych rękach Kudriawcewa harmonia grała tak dobrze, że można się było zasłuchać. Jeżeli tylko trafiała się jakaś wolna chwila, Kudriawcew siadał na pieńku koło szałas pierwszej kompanii i zaczynał po cichutku grać tęskne rosyjskie pieśni albo „Skromną błękitną chusteczkę”. Koło szałas od razu zbierali się chłopcy, słuchając i patrząc, jak zgrabnie biegają po klawiszach palce harmonisty. Kudriawcew miło się uśmiechał, też pewnie zadowolony ze swojej mistrzowskiej gry.

Po pewnym czasie, nie od razu, zaczęła do szałas pierwszej kompanii przychodzić także Kława. Przychodziła sama, trochę wstydliwie, a nawet z ukrywaną bojaźnią przystawała przy brzódkach, trzymając się w pewnym oddaleniu od hałaśliwej grupki chłopaków z harmonistą w

środku. Ale oni od razu ją zauważyli i wołali, starali się nawet przyciągnąć bliżej. Kudriawcew ze szczególną żwawością odzywał się na jej przyjęcie i grał dalej, uśmiechając się już tylko do niej. Dziewczyna widziała to oczywiście i była skrępowana jeszcze bardziej, ale stała i słuchała nadal, uprzejmie, ale też bez trudu opędzając się od nadmiernej uwagi co bardziej natrętnych chłopców. Zresztą szczególnych natrętów nie było wielu, w oddziale wiedzano już wszystko o niej i o szefie sztabu, Płatonowie. Lewczuk przychodził w pobliże szalasu pierwszej kompanii, aby załatwić jakieś drobne sprawy i za każdym razem zauważał Kławe jeżeli zjawiała się koło harmonisty. Ani jeden jej krok, uśmiech czy spojrzenie nie uchodziły uwagi Lewczuka. Od razu spostrzegł, że jest coś szczególnego w stosunku Kudriawcewa do Kławy i to go zaniepokoiło.

Lewczuk sam pewnie nie wiedział czy kocha się w radiotelegrafistce, czy też nie. Być może po prostu podobała mu się, jak to dziewczyna, w każdym razie nie uczynił ani jednej próby, aby się do niej zbliżyć — nie chciał stawać na drodze Płatonowa. Jeszcze wtedy, kiedy przywiózł Kławę z Brygady Ki-rowskiej, odgadł z pierwszej wymiany spojrzeń pomiędzy dziewczyną i ówczesnym szefem sztabu, że tak zwyczajnie nie może się to wszystko potoczyć — zanadto tych dwoje, młodych i urodziwych, pasowało do siebie. I Lewczuk odsunął się, ale tylko ze względu na Płatonowa, nikomu innemu ustępować nie miał zamiaru. Nawet gdyby ten ktoś był piękny jak anioł i grał na organach, a nie na takiej podziurawionej harmonii. Po cichu, ale z całą upartą siłą młodości zniechęcił nowego partyzanta, przystojniaka i u-lubieńca wszystkich. Pewnego razu postanowił nawet porozmawiać o Kudriawcewie z Płatonowem i spotkawszy szefa sztabu na ścieżce zatrzymał go, ale kapitana zawołano nagle z ziemianki sztabowej i Lewczuk odczekał chwilę, poszedł swoją drogą-

A szkoda, że dał wtedy spokój Płatonowowi. Kto

wie, może ta rozmowa pozwoliłaby uniknąć wielkiego nieszczęścia, które wkrótce zdarzyło się w ich oddziale.

Kława zaczęła mieć jakieś kłopoty z radiostacją, raz nawet przepuściła seans łączności, bo nie mogła dać sobie rady ze swoim „Siewierem”. Leszczowa nie było już wtedy w oddziale, odkomenderowano go do grupy Cieśluka i nikt nie mógł pomóc dziewczynie. I wtedy w sztabie przypomniano sobie Kudriawcewa. Ten z ochotą zgłosił swoją pomoc, coś tam podregulował i radiostacja rzeczywiście zaczęła działać. Kudriawcew powiedział jednak, że radiostacja długo nie pociągnie i że trzeba wymienić jakiś tam

64

trybik. Ale skąd wziąć w lesie taki trybik? Kudriawcew powiedział po namyśle, że taką część można byłoby dostać na stacji kolejowej i że zna tam pewnego człowieka, który może jednak zaufać tylko jemu i nikomu więcej. Płatonow pomyślał, narodził się z Kławą i w końcu postanowiono, że trzeba spróbować. Tyle że Kudriawcewa trzeba wysłać nie samego, ale z grupą. Dowódcą tej grupy miał być Lewczuk, który nieraz już chodził na stację i też miał tam znajomych. Lewczuk nie przywiązywał szczególnej wagi do tego zadania, wykonywał już dużo ważniejsze i trudniejsze i wszystko jakoś tam wychodziło.

Na stację miał iść w niedzielę, a w sobotę, wracając z Klesiec, wstąpił z dwoma innymi zwiadowcami do chutoru, w którym mieszkał ich znajomy. Ten przyjął ich należytym poczęstunkiem. Kiedy po powrocie zameldowali o wykonaniu zadania, dowódca oddziału niewiele myśląc rozkazał, aby pod strażą wsadzić Lewczuka do dołu, w którym znajdował się areszt. Lewczuk rozwścieczył się, nagadał dowódcy diabli wiedzą czego, ale w końcu musiał oddać automat i pod konwojem ordynansa dowódcy udać się do aresztu. Wrzucił do dołka swój waciak, a potem wskoczył sam i natychmiast ułożył się do snu.

Myślał, że raniem go wypuszczą, ale nie wypuszczono go ani rano, ani nawet wieczorem, przesiedział w dole do poniedziałku, kiedy to w oddziale rozniosły się słuchy, że na stacji wpadł w zasadzkę i zginął szef sztabu, Płatonow.

Słyszac _ to, Lewczuk dłużej siedzieć nie mógł. Nic zważając na okrzyki warty wyskoczył z dołu i pobiegł do ziemianki sztabowej, koło której miotła się Kława i gdzie szalał dowódca odd./i;!u Inne szarże chodziły z opuszczonymi głow • |<. i w milczeniu wzdychały.

Tak iak to

ł, był również winny _ tej

wyprawiła się na stację. Dwóch z tej piąttasledaa-S teraz w ziemiance dowódcy i opowiadało jak się rzeń

aSew 7zLTm^brZe i nic nień O zmierzchu dotarli pod ogrodzenie stacji i u

było bardzo długo, myśleli^ że coś si ier. ,

cewowi nieu4aJe,to^Pła1^^w^rłCi«_]

zdążył

Kudriaw^ewar^Tego, tego łapcie, w kubance!" W kubance był Płatonow.

Nadeszła potem wiadomość, że szefaj sztami, z przestrzeloną piersią, zaciągnięto na bad^a, |le on nie odzyskując przytomności, skonał następnego dnia Potem Kudriawcew znikł gdzieś ze stacji. Przełożeni wysłali go chyba w jakieś inne miejsce, w Kto-rym dolra gra na harmonii też pewnie była w cenie YKława rwała włosy z głowy, a Lewczuk zgrzytał zębami. Po dwóch dniach przeniesiono go z P«"on« zliadu do trzeciej kompanii, w której służył odtąd jako zwykły erkaemista.

66

Grybojed wrócił dopiero po jakichś trzech godzi-ach.

Lewczuk px*zeniósł się już ze słońca w cień, bo zrosiło się gorąco. Onuce wyschły i wyglądały tak, jak-oy zrobiono je z łyka, buty podeschły także i Lew-zuk wciągnął je na nogi. Starał się uspokoić Kławe, która nagle dostała dreszczy. Nakrył ją swoim waciakiem i namawiał, żeby zasnęła. Myślał, że we śnie ,to" się jeszcze nie zacznie. Jego również zaczęło morzyć — po bezsennej nocy drzemka byłaby w sam .raz. Ale zdrzemnąć się nie miał prawa. Żeby odpędzić >en postanowił zaj^ć się czymkolwiek — odłączył magazynek automatu i zdjął wieczko. Dysk był pra-*ie pełen. Policzył naboje i okazało się, że jest ich czterdzieści trzy — na cztery porządne serie. Złożył pepeszę, przymocował do niej oderwany rzemień i zaczął z coraz większą niecierpliwością rozglądać się za Grybojedem. Sądził, że nadejdzie on z 'ej .samej strony, w której zniknął, ale stary nieocze-wanie wylazł zza pleców Lewczuka. Z tamtej stro-

l sosny rosły gęściej i Grybojed zaczął w milczeniu

rzepywać czapkę z igieł.

— No i co? — nie wytrzymał Lewczuk, nie mogąc | czego pewnego wyczytać z twarzy Grybojeda.

Stary podszedł bliżej, w milczeniu położył na zie-: karabin i nie wkładając czapki, ciężko usiadł.

Wi-ć było jego białe, zupełnie nie opalone, pomarsz-| >ne czoło. Golił się ostatni raz pewnie z tydzień nu i cała twarz zarosła mu szaroburą szczeciną.

— Jakby tu powiedzieć? Jest jedna wioska, ale ilana.

— Co nam z niej przyjdzie, jeżeli spalona? — rozżłościł się Lewczuk. — Potrzebna nam wioska r ludźmi.

67

— Spalona, tak — nie zwracając uwagi na Lew-; czuka powiedział Grybojed. — Tylko jedno gumno-zostało. Z brzegu. Myślałem, że puste, ale patrzę jeszcze raz, a tam jakaś baba kręci się koło żyta.

— Baba?

— Baba, no.

— Mówiłeś z nią?

— Nie. Spojrzałem i z powrotem. Spieszyłem się.

— Ano, to dobrze — Lewczuk podniósł się. —; Chodźmy, Kława. Wstawaj. Daleko to?

— Nie bardzo. Za sośniaczkim jest wąwóz i strumień. Potem poręba i żyto... — Grybojed zaczął sobie przypominać wszystko po kolei.

— Ile będzie razem? Kilometr, dwa, trzy?

— Ze dwa. A może trzy.

— No to chodźmy!

Kława z wysiłkiem wstała i zachwiała się. Z trudem utrzymywała się na nogach. Po niej podniósł siei zmęczony Grybojed. Nogi miał zdrętwiałe i odpoczy-j nek na pewno by mu nie zaszkodził.

Lewczuk ehciafli jednak jak najprędzej dotrzeć do ludzi, znaleźć sięl w jakiejś określonej sytuacji.

Ciągle już trwał w nim| i stale narastał strach o Kławę.

Umyślnie wolno, żeby nie pozostawić z tyłu radio-telegrafistki, zeszli z porośniętego sosekami pagórka, obeszlili rów i wyszukali leśną dróżkę. Przed wejściem na nią Lewczuk rozejrzał się na prawo i lewo, przyjrzał się też śladom. Ale ślady były tutaj starał — rozmyte przez deszcz koleiny, nieświeże odciski kopyt i kół — pewnie już od dawna tędy nie jeżdżono. Lewczuk przesunął jednak automat lufą naprzód, chcąc go mieć pod ręką i idąc, wpatrywał się w każdą dy zakręt drogi.

1

— Nikogo tu nie ma, po co patrzeć — zauważyłszy niepokój Lewczuka powiedział Grybojed. — Szedłem przecież tędy.

68

— Patrzcie go jaki odważny. Szedł! — ze złością sdezwał się Lewczuk. — A jakby tak Niemcy?

— A, diabli z nimi! Widocznie już taki los, co na to poradzisz?

— Też coś!... To ty możesz sobie tak myśleć. A nam się jeszcze chce trochę pożyć. Nieprawda, Kława?

Wlokąc się z tyłu, Kława nie zaprzeczyła. Najwyraźniej nie miała ochoty na żarty. Ledwie już mogła wytrzymać, gryzła zaschnięte wargi. Lewczuk martwił się — żeby chociaż dojść do tego zamieszkanego miejsca, o którym mówił Grybojed, bo jeśli przypili dziewczynę w lesie, to co oni z nią zrobią? Pokorne słowa Grybojeda na temat losu nie spodobały się Lewczukowi, który w ogóle nie znosił uległości, a już tym bardziej na wojnie. Chociaż nie mógł też nie rozumieć starego, który porządnie oberwał w swoim życiu.

— A mnie, widzisz, nie za bardzo chce się żyć. Można powiedzieć, że wcale mi się nie chce — człapiąc na bosaka po suchym piasku powiedział Grybojed. — Po co mi to życie, jeśli nikogo z moich już nie ma?

i Ani baby, ani dzieciaków. Wojna się skończy, a ja [co? Komu będę potrzebny?

— Dziwak z ciebie — powiedział Lewczuk. — Jak się wojna skończy, to cię szanować będą. Przecież jesteś bardzo zasłużony. Od pierwszej wiosny w partyzantce.

— Od pierwszej, no.

— Order dostaniesz i będziesz człowiekiem. Chociaż furmanic to za mało jak na order.

— A tam, po co mi twój order! Gdyby mi tak Wo-todżkę mojego wrócili. Wszystkich bym oddał — i córki i babę. Byle tylko mieć jednego Wołodżkę...

— Wołodżkę wtedy właśnie zabili, co? — zapytał Lewczuk.

— Ano. Prawie na moich rękach. Rozrywająca kula, w bok. 1 kiszki wylazły. Cieniutkie, jak ptasie. Łapałem, zbierałem, ale gdzie tam! Rozrywająca.

— To okropne — pokiwał głową Lewczuk.

Dużo było okrucieństwa na tej wojnie, ale historia Grybojeda była szczególnie przerażająca. Nie wiadomo czy istniały jakieś przyczyny, czy po prostu był to fatalny zbieg okoliczności — doprawdy, taki już los — ale przeżył stary tyle, że trudno byłoby życzyć wrogowi. Trochę to przez jego dobi"oć, myślał Lewczuk, który nasłuchiwał się już w oddziale o nieszczęściach tego człowieka.

Grybojed mieszkał z dużą rodziną we wsi Wysiel-ki, z dala od głównych dróg, na samym skraju puszczy. Zagroda Grybojeda była w dodatku na skraju wsi, tuż za domem zaczynały się krzaki. W pierwsze; wojenne lato front szybko przetoczył się przez okolicę. Ludzie ciągle jeszcze zajmowali się tym, czym zajmowali się także sto lat temu, kopali właśnie kartofle. Kopał je również Kalistrat Grybojed z żoną i starą matką, pomagały mu starsze dzieci: Hałd i Wołodżka; młodsze córki, Szura i Manieczka gJ ły się na miedzy przy ognisku, w którym piekły &ię kartofle. Zostało jeszcze z pięć bruzd, kiedy Grybo-i jed, prostując krzyż, zobaczył na skraju olszyno* w yeh zarośli jakiegoś człowieka, który w milczeniu machał ręką — przywoływał Grybojeda.

Kalistrat wrzucił kartofle do koszyka i obejrzał się na żonę, która z przejściem grzebała w ziemi i nic nie zauważyła. Grybojed powoli stawiając nogi przeszedł przez rolę do zagajnika.

Nieznajomy czekał na niego, kurcząc się za młodu sosenką. Był brodatym, chociaż niestarym jeszcze człowiekiem w wojskowej kurtce i z niemieckim automatem w rękach. Zapytał o Niemców i policjanów i poprosił o pomoc — niedaleko, za bagien'

kiem pozostali jego towarzysze, dwaj z inrh by ranni i nie mogli chodzić, trzeba było gdzieś ic ukryć na jakiś czas. Grybojed wszystko zrozumit i nic nie mówiąc nieznanemu wrócił na pole, zu przągl kobyłkę i wjechał ścieżką w olszyny, w któ rych na wózek wsiadł ten wojskowy z niemiecki" automatem.

Odjechali niedaleko, wojskowy wskazał miejsce v gąszczu przy drodze, w którym czekali towarzysze,' Było ich trzech — dwóch ciężko rannych, nie mogą-c eych chodzić o własnych siłach, i młodziutki żołnierz z zadartym nosem i białawym puszkim na policz-? kach, imieniem Wienka. Rannych ułożono na fur-V mance i kiedy się ściemniło, pojechali wszyscy do za-J grody Grybojeda.

Ranni — pułkownik czołgista i politruk — trzy tygodnie przeleżeli w izbie, a baby doglądały ich, jak umiały. Pewnego razu Grybojed przywiózł z miasteczka znajomego felczera, dobrze mu zapłaciwszy. Felczer zostawił jakieś lekarstwa i kazał przykładać je do ran. Od tego lekarstwa rany nieźle się goiły, ale nie tak szybko, jak by chcieli pułkownik i politruk, którzy musieli dużo przebywać w samotności. Ich zdrowa towarzysze, Tierechow i Wienia, często znikali z zagrody i przez kilka nocy z rzędu nie wracali do chałupy Nic nie mówili gospodarzowi, ale on i tak wiedział, że szukają partyzantów.

Wszystko z grubsza rzecz biorąc szło nieźle, pułkownik zaczął po trochu wstawać z łóżka i chodzić po izbie, politruk na razie próbował dopiero siadać na łóżku. I wtedy zjawili się w Wysielkach policaje. Co prawda Grybojed zauważył ich w porę i można było jako tako ukryć rannych na zapiecku, przykrywając ich starymi szmatami. Dwóch policjantów przyszło do chaty, ale obcych nie udało im się zobaczyć. Żeby nie rozglądali się zanadto, Grybojed w.ści-

71

bił im butelkę samogonu, a żona wyciągnęła z faski kawałek słoniny. Zadowoleni policjanci pobiegli co prędzej wypić sobie i w ten sposób pierwsze niebezpieczeństwo obeszło zagrodę bokiem. W tym samym czasie niektórym mieszkańcom wioski poszczęściło się mniej: odjeżdżając do miasteczka policaje zabrali ze sobą trzech nieznanomych i gospodarzy, którzy ukrywali ich w Wysielkach... Wieczorem, kiedy do domu wrócili Tierechow i Wienia, wojskowi po krótkiej naradzie postanowili przenieść się do lasu.

Za olszynami, niedaleko od zagrody Grybojeda : wykopali ziemiankę i tak ją zamaskowali mchem i gałęziami, że z odległości dziesięciu kroków nie można było odgadnąć gdzie ona jest. W środku ustawili sklepany z blachy piecyk, dobrze w nim napalili i którejs nocy przed Świętem Rewolucji przenieśli się do ziemianki. Ale oczywiście nie niożna było wysiedzieć w środku bez wyłączenia, bo potrzebne było jedzenie i odzież — toteż po nocach wojskowi przychodzili do Grybojeda, a i on nierzadko ich odwiedzał. Dopóki nie spadł śnieg, niczego nie można było zauważyć, ale potem zaczęły zostawać coraz wyraźniejsze ślady, widać było nawet wydeptaną w śniegu ścieżkę, prowadzącą z zagrody do olszynowego zagajnika. Grybojed ukrywał wszystko jak umiał przed policją, sąsiadami i w ogóle przed spojrzeniem z boku, ale i tak znaleźli się źli ludzie, którzy coś tam zauważyli i donieśli Niemcom.

Grybojeda uratował przypadek, albo jak on to nazywał — los. Innym poszczęściło się mniej. Tuż przed Nowym Rokiem skończyły się drwa, których trzeba było teraz dwa razy więcej niż poprzednio, bo w ziemiance palono długo i często — było przecież zimno, zwłaszcza rannym. Ale porządnego drewna od dawna już brakowało w pobliżu Wy-

72

sielek. Mieszkańcy wsi jeździli po dziesięć kilometrów w głąb puszczy. Któregoś ranka, jeszcze przed świtem, Grybojed obudził Wołodżkę i zaprzągl kobyłkę do sań. Pojechali na znaną Grybojedowi działkę rębnią, gdzie już kilka lat temu ułożono w sagi drewno, przeznaczone na stemple górnicze. Wojna przeszkodziła w wywiezieniu tego drewna do Donbasu. Poręba była daleko, ale Grybojed miał nadzieję, że przed nocą sprawi się ze wszystkim i za jednym zamachem, po ciemku, podrzuci trochę drzewa do ziemianki. Śnieg, który prószył od rana, powinien pozasypywać ślady.

Zdarzyło się jednak coś nieoczekiwanego. Kiedy /, załadowanymi saniami przejeżdżali przez Krzywy Ruczaj, złamały się dwie podpórki, podtrzymujące kadłub sań. Bierwiona osiadły, a ich końce zaczęły się wlec po śniegu; kobyłka starała się jak mogła, ale nie dawała rady wciągnąć ciężaru pod górę. Trzeba było rozładowywać samie i wywozić drewno z jaru trzy razy, dlatego porządnie się spóźnili i dopiero o północy dojeżdżali do Wysiełek. Grybojed szedł obok kobyły, a zmęczony Wołodźka siedział na drwach; nie wyspał się z rana i drzemał, ojciec spo-: glądał co chwila do tyłu, w obawie, aby senny chło-I piec nie spadł z sań pod płożę.

Pozostały jeszcze ze dwa kilometry do ziemianki, kiedy Grybojed usłyszał strzały.

Było ich niewiele — kilka razy huknęły karabiny, potrzęszał trochę i umilkł automat. Doleciał także krzyk — a może tylko tak się wydawało — a polom wszystko ucichło. Wystraszony Grybojed, z niedobrym przeczuciem, sprowadził sanie z drogi i zostawiwszy je w świerkach razem z Wołodźką, poleciał na przełaj przez las do ziemianki.

Nie podchodził blisko, ale i z daleka, w półmroku nocy zobaczył, że zdarzyło się nieszczęście.

Drz.wi

7:1

ziemianki były wyważone, na śniegu poniewierały ,!| się sienniki i jakieś galgany należące do rannych, a dookoła pełno było obcych śladów. Tutaj właśnie doszło do strzelaniny, kilka podniesionych przez Gry-bojeda łusek śmierdziało jeszcze prochem.

Grybojed pobiegł na przełaj przez głęboki śnieg i wprost przez strumień do swojej zagrody, ale z daleka jeszcze usłyszał jak się tam panoszą policaje. Dolatywały stamtąd czyjeś donośne, władcze okrzyki, płacz żony i nieznamy głosy. Rabowano zagro-, dę; okazało się potem, że policaje zabrali rodzinę i całe mienie,

Grybojed ukrywał się w krzakach aż do chwili,! kiedy zobaczył trójkę sań odjeżdżającą gościńcem! |do miasteczka. Ruszył wtedy ku swojej ograbionej! zagrodzie, ale z daleka jeszcze zobaczył żalosa! chałupkę z drzwiami otwartymi na oścież i zrozu-j miał, że wszystko przepadło. Nie odważył się wejść na podwórko, myśląc, że zastawiono na niego jakf* pułapkę.

Wrócił do wystrzonego Wołodzki, powiedział mu, że zostali już tylko we dwóch, pozrzucal drewno i skierował sanie w najgłębszą puszcę. Zrobili sobie szałas pod świerkiem i drząc z zimna, przesiedzieli w nim dwa dni i dwie noce, dojadając resztkę chleba zabranego na porębę.

Zacząli głodować. P< dwóch następnych dniach głód i troska o los rodziny znowu pogoniły Grybojeda do zagrody. Zasadzki już nie było. Grybojed pochodził trochę poj wychłodzonej, dziwnie milczącej chacie, znalazł co? tam z odzieży i nabrał z dołu kartofli do wiadra •— więcej nic nie zostało. Te skromne resztki mieniaJ a także kartofle, uratowały ich w pierwszych dniach! w puszczy, nie pozwalając zamarznąć albo umrzeć! z głodu. Potem zaczęli się powoli urządzać. Zbudo-| wali małą ziemiankę w gąszczy i zmajstrowali pie-

74

cyk, który co prawda straszliwie dymił, ale dawał trochę ciepła.

Ojciec i syn postanowili dożyć w ten sposób do wiosny i może by jakoś dożyli, gdyby nie ich żrebna, młoda kobyłka, która też musiała coś jeść. Zimą siana nie było w puszczy, było za to w stodole, toteż Grybojed, żalując bydłatka, dwa razy jeździł do Wysiełek. Wszystko poszło dobrze, nikogo nie spotkał, a nie sposób było go odnaleźć, bo Grybojed wybierał odpowiednią porę, przed zawieją, żeby na śniegu nie zostawały ślady.

Za trzecim razem Wołodźka też chciał pojechać po siano. W czasie leśnego życia milcząca samotność bez ludzi wyraźnie zmęczyła chłopca. Przestał się uśmiechać i widać było, że tęskni za siostrzyczkami i za matką. Z początku Grybojed nie zwracał na to specjalnej uwagi, ale potem zaczął się nawet bać, żeby z chłopcem nie stało się coś złego — nieszczęście, które go spotkało było całkiem nie na jego wiek. I kiedy syn zaczął prosić, aby zabrać go ze sobą w tę niedaleką przecież nocną drogę, Grybojed zgodził się z ciężkim sercem.

Po prawdzie to nie chciał ze sobą zabierać syna, męczyły go jakieś niedobre przeczucia, ale nie mógł sobie poradzić z litością dla jedyne go już teraz dziecka i nie wygonił Wołodzki do ziemianki, kiedy ten usadowił się w przodku sań.

Noc była niepogodna, głośno szumiały sosny w puszczy, miotalo śniegiem nad ziemią i kobyłka

prawdę przez cały czas szła stępa, odwracając głowę od wiatru. Do północy przejechali las i skręcili na ledwie zauważalną w kopnym śniegu drogę do Wysiełek. Ich podwórko było już blisko. Grybojed starał się zobaczyć co się na nim dzieje, wpatrując się z wysiłkiem w wietrzny mrok. Myślał sobie człowieczy-sko, pełen nowych nadziei: a może błysnie znie-

75

W

ka znajome światelko W oknie? Może odnajdą sę żona i jego dziewczynki, które nagle wypuszczono bo za co w końcu je trzymać? Jeżeli już trzymać kogoś, t0Meknif sadzone byłc> Grybojedowi, żeby zobaczył kogokolwiek ze swoich- Nie wiedział, *e *onę żaka-towano już dawno, jes^e w pierwszych dmachp0 aresztowaniu, a dzieci gdzieś wywieziono. Nie wie H7iał też że ieeo star^ matka nie wytrzymała cier-pńS' konŁfw P?wnfcy na policji, i że w zagrodzie policjanci już od trzech dni czekają na mego w za-SaNiceo tym wszystka nie wiedząc, Kalistrat Gry-bofed gorTwilTopniał kobyłkę, i obydwaj wraz z 3syJm zbliżali "sifi <*o własnego nieszczęścia W półmroku było ju? widać krzywą wierzbę koło wrót studnią z żura^ i rozwalony przez cudze konie płot przy chlewu I wtedy kobyłka me wm-domo dlaczego zatrzymała się sama i po- ^hutku, trwożnie chrłpnęła. Grybojed znał już te jej dosłownie psie, a nie koński obyczaje i pociągnął za lejce. Ze wszystkich sił wpatrywał się w ciemne podwórko

ale niczego nie zauW- Cos tam lf™\ m^fla*° być - niezauważałAego jeszcze, ale na pewno straszego. Wołodzka, który także przeraził się nie na żarty, zaczął po cichu prosie ojca: '„Tato, me jedź! Nie jedź, tato!...”

' I Grybojed zaczął sawracac kobyłkę.

Lecz nie zdążyła cna wygrzebać się z głębokiego śniegu i wyciągnąć ra drogę sañ kiedy z podwórka donióśł się zły okrz5k: „Stój!” Grybojed zaciął kobyłę batem i w tym samym momencie huknął karabinowy strzał. Wołoska od razu upadł na dno san i wyjąkał coś słabyfi gł°sem> ale °Jciec> nie zWff a~ ino na niego uwaei klęknął w saniach i zaczął ba-em z cafej sTlyg ganiać kobyłę. Kobyła, jakby 76-

wyczuwając ludzkie nieszczęście, puściła się galopem, w. okamgnieniu przeskoczyli nieosłonięty kawałek drogi i uciekając przed gęstą str/.clunmq» wpadli do lasu. Grybojed przejechał leśną drogą jt-szcze z kilometr. Dopiero wtedy zatrzymał sanifl i złapał Wołodzkę za ramiona.

Wołodzka leżał na boku i obydwoma rękami zaciskał na brzuchu poły kapotki. Ojciec z trudem odsunął jego zdrętwiałe ręce, rozpiął kapotkę syna i przeraził się. Z krwawiącej rany wylazły jak żywe, wydymające się pod dotykiem rąk Grybojedca, cieniutkie, dziecięce kiszki. Chłopczyk, cicho jęcząc, machinalnie wpychał je pod zgrzebną koszulę i płakał z bólu i nieszczęścia, na które nie było już rady...

Grybojed przywiózł go do ziemianki jeszcze żywego. Wołodzka coś jeszcze mówił, przywoływał mamę, a potem ucichł i leżał do rana milcząc, od czasu do czasu poruszając tylko ręką albo nogą. O świecie znieruchomiał zupełnie...

8

Wąską ścieżką przeszli cypelek boru, minęli starą, zarośniętą drobnymi sosenkami porębę i skręcili w lewo. Wkrótce Grybojed wyprowadził ich nr skraj polany porośniętej żytem. Na podzielonych niskimi, niedbale oboranyimi bruzdami niwach wybujalo wcale niezłe żytko. Pomiedzy dojrzewającymi kłosami połyskiwały rozsiane wszędzie chabry, białe głowy rumianków. Grybojed wszedł na najszerszi) miedzę, Lewczuk i Kława, zaczepiając nogami o szorstkie źdźbła trawy, ruszyli za przewodnikiem. ,

Lewczuk spodziewał się, że zobaczy jakieś Inni ki, albo przynajmniej kominy na słomianych : t r

chach — zwykle oznaki bliskości osiedla, ale z trudem tylko rozpoznał ślady, świadczące o tytn, że kiedyś mieszkali tutaj ludzie. Za żytem rosło kilka starych, wysokich drzew. Wioski nie było. Podchodząc bliżej zobaczyli za stojącymi w chwastach płotami poczerńiałe resztki pieców,

gdzieniegdzie zwęglone, nie spalone do końca belki narożne, a na zarośniętych trawą podwórkach porozrzucane bierwiona. Po wielu budynkach pozostały tylko kamienne podmurówki. Mnóstwo drzew w pobliżu pogorzelska stało zeschniętych, z czarnymi, bezlisfonymi gałęziami. Wysoka lipa koło studni niedorzecznie zieleniała jedną swoją stroną — druga była spalona i sterczały z niej wyciągające się daleko, poczerniałe gałęzie. W wydeptanych ogrodach poniewierały się kije, porozwalane dzieże, zbutwiałe szare szmaty. Wieś spalono pewnie na wiosnę, kiedy niczego jeszcze nie wysiewano w ogrodach, ozimina rosła na polu sama, a jarego nigdzie nie było. Pole za warzywnikami stało odłogiem, rosły tam gęsto oset i perz.

— Dokądżeś nas przyprowadził? — Lewczuk zatrzymał się. — Gdzie tu kto mieszka?

— Poczekaj, poczekaj! Chodź tędy!

Grybojed nie tracąc cierpliwości skierował się dokądś skrajem wioski. Zeszli do płytkiego, zarośniętego krzakami rowka, a wyłaząc z niego zobaczyli od razu na pagórku za olszynami ocalałą stodołę i jeszcze jakiś budynek.

— No! Widzieliście? Ona tam coś zbierała. Jakies zioła czy co.

— Tak, cicho. Posiedźcie tu trochę. — Lewczuk odsunął starego i szybkim krokiem ruszył w stronę

-gumna.

Przez olszyny przebiegała kiedyś pewnie błotnista, a teraz pieźle podeschnięta dróżka. Nie dochodząc do stodoły skręcała w stronę wsi, ale i tak nie spodobała się Lewczukowi, toteż zanim na nią wkroczył, przystanął, oglądając wszystko dokoła. Z dwóch budynków gumna bliżej drogi znajdowała się wiata, z tyłu też mała szopa z resztkami żytniej słomy pod ikapem. Z tyłu dopiero było właściwe gumno, stare pochylone na bok, przykryte rozsypującą się strzeliną. Przez dziury wystawały krokwie, sterczące jak zebra jakiegoś chudziny. Lewczuk okrążył kupę ka-aieni leżących w pobliżu węgla stodoły i zarośla gęstego maliniaka przy ścianie. Znalazł się z tej strony trumna, z której były drzwi. Drzwi były przymknięte, w pobliżu nikogo nie było widać. Tylko na wierzchołku dzikiej jabłoni, rosnącej na skraju żyta, huśtał się bezszelestnie stary, wielki kruk. Przekrzywiwszy głowę, z uwagą przyglądał się Lewczukowi. Lewczuk zamachnął się na niego, ale ptaszysko nawet nie mrugnęło okiem. Dopiero wtedy, kiedy zerwał z ramienia automat, kruk leniwie poruszył skrzydłami i niechętnie odleciał w stronę wsi.

Nie widząc nigdzie nikogo Lewczuk uchylił drzwi. W gumnie było mroczno, pachniało zgniłą słomą i kurzem; przez drzwi, nad głową przeleciały z cichym piskiem dwie jaskółki. Jedna za drugą, miały pewnie gniazdo pod strzechą. Lewczuk otworzył wrota szerzej i przestąpił próg. Grybojed nie pomylił się, opowiadając o kobiecie — rzeczywiście, ktoś mieszkał w tym gumnie. Niedaleko od drzwi, pod ścianą, na wiązce zleżalej słomy rozesłano starą koldrę. Pod ścianą leżały też jakieś szmaty i stał cebrzyk z wodą. Nad nim, na ścianie, wisiał kożuszek. Lewczuk obejrzał sobie czysto podmiecione klepisko, na którego skraju ustawił ktoś równo stare chodaki — znoszone skórzane buty z obciętymi cholewami. Jaśniały szczeliny pomiędzy bierwionami ścian. Na lewo od wejścia były

79

jeszcze jedno, niziutkie drzwiczki, pewnie do suszarni; tam też, oparta ukosem o ścianę, stała drabina, i Lewczuk postać chwilę, rozmyślając, i zawołał ści-i szonym głosem:

— Hej! Jest tam kto?

Nikt mu nie odpowiedział, w gumnie nikogo chyba nie było. Ale wcześniej czy później ktoś tu powinien; przecież zawitać, jeżeli tu mieszka — pomyślał Lewczuk: wyszedł na podwórko.

Grybojed i Kława w na» pięciu wyglądali zza krzaków.

— Chodźcie tutaj! — Lewczuk machnął zdrows ręką. Kiedy podeszli bliżej, szerzej otworzył drzwil proszę bardzo! Kława chwiejnym krokiem, trzyf mając się skrzydła wrót, jako pierwsza weszła do sto* doły. Najpierw rozejrzała się bojaźliwie po tyi mrocznym ludzkim przytułku, a potem, zobaczywszj koldrę, ruszyła ku niej i bezsilnie, z rozpaczą prawie! opuściła się na słomę.

' 1

— Właśnie! — powiedział Lewczuk. — Stąd jua nigdzie nie pójdziemy. Tylko gdzie jest gospodyni?

Grybojed, nie wchodząc do stodoły, obszedł jej obrośnięte malinami i pokrzywą węgły i postać chwilę:] rozglądając się na wszystkie strony. Ale w pobliżu nie było nikogo. Było cicho. Tylko w świeżych powiewach porannego wiatru szeleściła rosnąca nieda* leko jabłonka i z cichym szumem kołysały się żdzbla żyta.

Lewczuk szperał w tym czasie po kątach bu'i dynku. Wszedł na drabinę i zajrzał do suszarni. PO; myślał, że być może mieszkający tu ludzie gdzieś si pochowali. Ale na górcie w suszarni było zupełn pusto, na ziemnej podsypce leżały nietknięte lud; ką nogą okruchy słomy i odchody jaskółek. Z mału kiego szarego gniazdka pod krokwią wyglądały ci< kawskie główki piskląt, słyhać było ich pełen ni< pokoju pisk. Nie zwracając uwagi na pisklęta LeTi

80

czuk zszedł z drabiny i otworzył niskie drzwiczki prowadzące do dolnej części suszarni. Tam również nie było nikogo. Z malutkiego, zasnutego pajęczyną okienka padało trochę światła na kamienny piec, od którego ciągnęło stęchłym, przeraźliwym zapachem czadu.

— No cóż, poczekamy. Jak tam z tobą, Kława, wytrzymasz jeszcze trochę? — zapytał Lewczuk i nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: — Żeby tak było coś do zjedzenia!

Nieźle, byłoby coś zjeść, ale nie mieli nawet kawałka chleba, a ich kuchnia zoistała nie wiadomo gdzie i teraz trzeba było'samemu martwić się o żywność. Ciagle jeszcze dziwiąc się trochę nieobecności gospodarzy, Lewczuk wyszedł na podwórko. Jeszcze raz obszedł budynek i przyjrzał się rosnącym niedaleko olszynkom. Ale gospodarze wybrali się chyba w jakąś daleką drogę, bo w pobliżu nie było nikogo. Lewczuk powolutku poszedł przez żyto w stronę zarośli, a potem za nimi, górą, wyszedł na drogę. Postać chwilę, chcąc się upewnić, że dookoła jest spokojnie i wszedł w olszyny.

Krzaki były niewysokie. Okazało się, że za nimi rozpościerała się szeroka leśna polanka czy też skrawek roli; dalej dopiero ciemniały świerki. Poletko podzielono na kawałki, część obsiana była jęczmieniem, a na drugiej zieleniała wysoka nać kartofli. Ziemniaki były niczego sobie, trochę już podkopywane: na skrajnych bruzdach leżały zeschnięte liście i łodygi Lewczuk pomyślał, że może to nawet jakiś wczesny gatunek, i że dobrze by było ugotować trochę tych kartofli. Szybkiem krokiem ruszył do stodoły, aby poszukać kosza albo wiadra.

— Hej, dziadku! Daj no jakieś naczynie! Kartofle są! — krzyknął i otworzył wrota gumna. Ale Grybojed nie odpowiedział. Znieruchomiały sied/iał

— Stado wilków

11!

I

w kucki koło dziewczyny przykrytej pstrokatym dy-wanikiem i dziwnie tak jakoś wyginającej się na słomie. Lewczuk poczuł, że coś mu się zapada w środku — czy to się już zaczęło? Po cichu przestąpił próg, ale Grybojed, słysząc go, machnął ręką i Lewczuk w milczeniu wyszedł ze stodoły. Przypiliło chyba dziewczynę, a żadna baba się nie zjawiała. A może jednak Grybojed da sobie jakoś radę?

Postać przez chwilę przy drzwiach, nasłuchując. Myślał, że stary powie coś być może, ale Grybojed milczał. Lewczuk przypomniał sobie, że w podobnych okolicznościach zawsze chyba szykowano ciepłą wodę, a więc trzeba pewnie rozpałić ognisko. Pobiegał | tu i tam, znalazł pod okapem trochę suchych pa- ' tyków, połamał je obcasem i tutaj, na podwórku, posługując się tylko lewą ręką rozpałił ogień. Jeszcze gorzej było z naczyniem na wodę, ale poszukawszy trochę w maliniaku, znalazł stary, dziurawy saganek. Dziurę w przetartym dnie zatkał kawałkiem drewna i przyniósł wody ze strumienia. Przez cały czas wsłuchiwał się w dźwięki dobiegające ze stodoły i chociaż niczego właściwie nie mógł usłyszeć, do środka nie wchodził. Zaczął się krzątać koło ogniska, które na wietrze płonęło coraz lepiej. Woda w saganuku powoli się zagrzała.

— O, dobrze — powiedział Grybojed, który nagle wyskoczył z gumna. — Domyślny jesteś.

— No i jak tam? — zapytał Lewczuk.

— Niczego sobie. Wszystko dobrze.

— A ty tego... Znasz się na tym trochę?

— No, jakoś tam... cokolwiek... — wymijająco odrzekł Grybojed. Ściągnął z opartej o ścianę brony jakieś rozwieszono do suszenia szmatki i znowu zniknął w gumnie. Tym lepiej — pomyślał Lewczuk — z Gryboje-dem jakoś to może wszystko będzie, gorzej by było,

I

gdyby przyszło jemu zostać z Kławą sam na sam. Nie wiedział co się działo w stodole, ale nadśluchował uważniej jeszcze niż przedtem i minio woli denerwował się — a co zrobić, jeżeli coś tam będzie nie tak?

Ale wszystko chyba poszło jak należy, bo po chwili Grybojed znowu wybiegł ze stodoły i zdjął z ogniska saganek, chwytając go przez wyszmelco-waną połę swojego munduru.

— Go, już?

— Już, już...

Trochę się zdziwił; myślał, że usłyszy najpierw dziecięcy płacz, albo przynajmniej jęk matki, a tu ani płaczu, ani jęków, a ta stara „akuszerka” mówi, że już po wszystkim.

— Zaraz, zaraz! — głośno, zwracając się chyba do Lewczuka, zawołał Grybojed ze stodoły. — Zaraz!

Lewczuk stał za drzwiami i denerwował się, jak gdyby sam był ojcem. A prawdziwemu ojcu nie było dane, aby denerwować się w podobnych okolicznościach. Ojcowskie obowiązki przypadły w udziale jego towarzyszom broni, toteż wiele z tego co Lewczuk odczuwał teraz w stosunku do Kławy określono było przez* jego poprzedni stosunek do Płatonowa. W każdym razie czuł się zobowiązany nie tyle wobec samej Kławy, co wobec pamięci jej ukochanego.

— No i kto tam? — zawołał niecierpliwie. — Chłopiec czy dziewczynka?

— Chłop! — obco brzmiącym, rozczulonym, nieznanym do tej pory głosem powiedział Grybojed.

— Ładne dziecko. Chodź tutaj!

Z niewiarygodną, niezwykłą jak na niego ciekawością Lewczuk przekroczył próg gumna i spojrzał na zawinięty w spadochronowy jedwab pakuneczok w rękach Grybojeda. W półmroku, z cudzego, alo-

83

mianego legowiska, prawie ze strachem w umęczonych oczach patrzyła na nich Kława.

— Popatrz! Wykapany Płatonow...

Malutka, pomarszczona twarzyczka i zamknięte oczka — widać, że to żywa istota i nic więcej. Ale żeby dodać matce otuchy, a zarazem zrobić przyjemność „akuszerce”, Lewczuk powiedział:

— Niczego sobie, niczego...

— Teraz znowu jest nas trzech chłopów jak się patrzy — zwykłym już swoim głosem powiedział Grybojed. — Tylko co będziemy jeść?

Lewczuk ocknął się. Czując się do tej chwili prawie zbędnym, zrozumiał na czym polegają jego nowe obowiązki; schwycił saganek i wyskoczył z gumna. Przelazł przez gęstwinę olszyn i zaczął lewą ręką szarpać nać ziemniaków. Wraz z korzeniami wyłaziły od czasu do czasu z ziemi drobne kartofle, wielkości gołębih jajek. Lewczuk nie oszczędzał ani bruzd, ani liści i łodyg, wrywał pędy i odrzucał na bok, rozgrzebując ręką ziemię w poszukiwaniach co roślejszych bulw. Przepeniało go nowe, nie odczuwane do tej pory, a być może zapomniane uczucie uczestnictwa w zwyczajnym ludzkim życiu, które nie ma nic wspólnego z tą całą ich wojną. Jego stosunek do Kławy w okamgnieniu zmienił się z lekceważącego na pełen poszanowania. To już nie była ta sama figlarna Kławka, którą kiedyś przywiózł do oddziału, nie była to też partyzancka dziewczyna, której ich szef sztabu (co prawda bardzo poważany) zmajstrował dzieciaka. Była to teraz przede wszystkim. kobieta-matka i opieka nad nią należała do ich najważniejszych obowiązków. Poza tym przeczuwał, I że niemało jeszcze dostanie się Kławie w tym jej nieoczekiwanym leśnym macierzyństwie i przynajmniej na początku chciałby ulżyć jej trudnemu, partyzanckiemu losowi. Dziwne, ale dopiero teraz, pier-

wszy raz od dawien dawna, poczuł się nie żołnierzem--partyzantem, nie zwiadowcą i nie erkaemistą, ale przede wszystkim człowiekiem. Było w tym coś nowego i nadzwyczaj przyjemnego. Tak jakby wojna już się skończyła.

• Powiesił automat za plecami i zajął się przygotowywaniem jedzenia. Przemysł kartofle w strumyku, nabrał wody, rozdmuchał od nowa ognisko i ustawił na nim saganek.

— Mam trochę soli — powiedział Grybojed, który wyjrzał akurat ze stodoły.

— Tak? A może masz też kawałek chleba? — ironicznie zapytał Lewezuik.

— Nie, chleba nie mam. Ale posolić będzie można.

Grybojed uklękł przy ognisku, wyciągnął z kieszeni na piersiach czerwone zawiniątko, odgarnął szmatkę i papierek, po czym wziął w dwa palce szczyptę soli.

— Weź więcej! Co to znaczy taka odrobina? — powiedział Lewczuk.

Grybojed wziął trochę więcej, ale rozmyślił się, odsypał z powrotem i trzema palcami wrzucił kilka ziarenek soli do saganka.

— Trzeba oszczędzać. Skąd potem weźmiesz sól?

— No a jak tam Kława? — zapytał Lewczuk.

— Zasnęła. Niech sobie pośpi — potrzebne jej to teraz.

— A mały?

— Mały też śpi. Possał cycka i śpi. Co mu tam...

— No to dobrze. Usiądź, pobądź tu ze mną.

— Nie, pójdę lepiej w cień. Boję się, że mi się głowa spiecze.

Na podwórku rzeczywiście zrobiło się gorąco, słońce wznosiło się coraz wyżej i porządnie przypiekało; trudno było nawet uwierzyć, że niedawno męczył ich chłód. Ale co tam upał czy zimno, najważniejsze,

84

że uciekli przed Niemcami, zaszyli się w leśnej głuszy, w której nikogo nie było — ani Niemców, ani partyzantów. Ważne też, że w saganku na ogniu do-gotowywały się młode kartofelki, obiecujące zgłodniałym jaki taki posiłek. Ominęło ich to co najgorsze i gdyby nie ten nieborak Tichonow, Lewczuk byłby zadowolony z tego co na dzisiaj zgotował mu los.

Co prawda niepokoiła go teochę nieobecność gospodarzy tej niewymyślnej ludzkiej siedziby, przydałoby się przecież, żeby pojawił się gospodarz, albo jeszcze lepiej gospodyni, która zechciałaby wziąć na siebie dalszą opiekę nad Kławą. Dobrze by też było wypytać gospodarzy o to i owo, a może nawet poprosić o furmankę, skoro już swojej Lewczuk i jego towarzysze nie ustrzegli.

Ale były to kłopoty ogólnej można je było nawet odłożyć na później, za to główna troska. — o Kławę — sama się jakoś rozwiązała; być może ułoży się również wszystko pozostałe.

Kartofle kipiały i żeby sprawdzić, czy są już miękkie, Lewczuk co chwila wtykał do saganka wycior wyciągnięty z kolby automatu Tichonowa. Wycior ledwie jednak dawał się wetknąć, trzeba było jeszcze pogotować ziemniaki, toteż Lewczuk podrzucał do ognia co tylko w pobliżu udało mu się znaleźć — kawałki zbutwiałych kijów, deskę, cienką żerdź wyłamaną z płotu. Grybojed, wyraźnie zmęczony, siedział na bronie pod okapem i w zakłopotaniu spoglądał na ogień.

— Dziadku, czemuś taki markotny? — zapytał go Lewczuk. — Przecież już wszystko w porządku.

— W porządku, ale nie wszystko — westchnął Grybojed.

— No a co? Tichonow?

— A choćby i Tichonow. Młody był jeszcze... Chyba mu się żyć nie chciało...

86

— Życ się wszystkim chce. Tylko nie wszystkim się udaje.

— O tym też myślę. A jeszcze to małe...

Mały pojawił się nie w porę, naiwet bardzo nie w porę — pomyślał Lewczuk. Gdyby chociaż o jakiś tydzień wcześniej, kiedy nie było tej blokady, a teraz, doprawdy, jakże się ułoży życie Kławy z dzieckiem u obcych ludzi, których nie wiadomo jeszcze czy uda się znaleźć w tym zrujnowanym, wypalonym kraju.

—• Trzeba chyba poszukać jeszcze kogoś — powiedział Lewczuk. — Bo to diabli wiedzą, może i nie ma tutaj nikogo.

Grybojed siedział milcząc i w skupieniu patrzył w ogień. Lewczuk, któremu z głodu burczało już w brzuchu, machnął zdrową ręką:

— Dobra. Najpierw zjemy sobie kartofelków, a potem się zobaczy...

...Przesiedział na podwórku z godzinę, na pewno nie raniej. Słońce schowało się za dachem sąsiedniego domu i podwórko zatoneło w szerokim, rozległym na półtora hektara cieniu. Nikt nie podchodził do Lew-czuka i nikt go nie niepokoił na wygodnej, zbitej z desek ławce. Podwórko żyło swoim własnym życiem; dzieci zabawiały się — każde na swój sposób — a dorośli spieszyli się gdzieś, albo zajęci byli pracą, związaną z gospodarstwem domowym. W peivnej odległości od domu trzepano wyniesione z mieszkań chodniki i podmiatano ścieżki, a naprzeciwko ławki Lewczuka, koło płotu, czyszczono ciężkie, kolorowe dywany. Potężne uderzenia trzepaczek odbijały się w dali głośnym echem. Babiny -przy znajomej bramie

87

posiedziały jeszcze przez chwilą po zniknięciu słońca i poszły do siebie. Mężczyźni koło pobliskiego garażu ciągle jeszcze grzebali w środku rozebranego moskwicza. Kręciło się przy nich kilku ciekawskich chłopaczkówj.

Lewczuk zdążył już dobrze poznać to podwórko, wszystkie jego kocty i zakątki. W ogóle to podobało mu się tutaj — było czysto, gospodarskie ręce pozostawiły wszędzie widoczne ślady i tylko trochę za dużo było ludzi i hałasu, jak na kiermaszu w świąteczny dzień. Co prawda do wszystkiego przecież trzeba się przyzwyczaić. W ciągu sioojego życia, Lewczuk przywykł do wiejskiej ciszy, z rzadka tylko naruszanej przez hałas, czyniony przez ludzi, częściej już przez głosy zwierząt i kur, albo przez dalekie trajkotanie ciągnika na polu. A tutaj i ludzki gwar, i łoskot, i potrzaskiwanie — toszystko naraz.

Wspominając to, co wótočas mu się przytrafiło, Lewczuk nie mógł się wyzwolić od myśli, od chęci zapytania — a kimże teraz jest tamten? I jaki jest? Niekiedy wyraźnie widział jego wysoką postać i wyobrażał sobie uważne, spokojne spojrzenie jego rozumnych oczu; życzliwość dla ludzi, gotowość odezwania się do każdego, znajomego i nieznanego. Lewczuk nie lubił ludzi pochmurnych i milczących, chociaż sam był nie za bardzo rozmowny. No, ale to on sam. Tamten natomiast powinien być pod każdym względem lepszy. Może jest inżynierem, specjalistą od maszyn albo jakichś mechanizmów, których pełno teraz wszędzie. Może nawet sam robi maszyny, na przykład automobile. Samochody Lewczuk považał od dawna, kiedyś nawet marzył o tym, żeby zostać szoferem, ale przeszkodziła mu ręka. Z jedną ręką nie za bardzo można kimś zostać. Trzy lata temu przyjeżdżał z miasta do ich kołchozu inżynier z trzema technikami — urządzali kuchnię paszową na fer-

88

tnie i Lewczuk trochę z nimi pogadał — bardzo mu się podobali. Pomyślał nawet: a może tamten też jest specjalistą wyższej klasy. I w ogóle, było Lewczu-kowi przyjemnie.

A może tamten jest doktorem w jakimś wielkim szpitalu, robi operacje i leczy ludzi? Lewczuk wiedział, jakie to ważne — umiejętnie leczyć ludzi —; savi po wojnie często przebywał w szpitalach, był naioet w sanatorium inwalidów wojennych na Krymie. Tam też zdarzył mu się przykry konflikt z lekarką, która go obraziła. Zresztą może to nie była zniewaga, tylko nieporozumienie, ale pomyślał wówczas, że gdyby na miejscu lekarki był doktor — mężczyzna, to do żadnego sporu by nie doszło. Potem śniło mu się nawet kilka razy, że leczy go tamten, choć go nie poznaje. Lewczuk nie mógł mu opowiedzieć o sobie, bo czy tamten by uwierzył? Rzeczywiście: czy poza Lewczukową pamięcią, są jeszcze jakieś dowody?

Jasne, że tamten mógł zostać kim chciał — nawet w głowie się nie mieści, kim. mógł zostać, jeżeli tylko się udał i wyuczył, mając olej w głowie. To że się wyuczył — to już niewątpliwe. Skończył uniwersytet i coś jeszcze, może nawet jest kandydatem nauk, czy jak oni się tam nazywają, ci co wyuczeni. Pewna dziewczyna z Lewczukowej wsi wyszła za mąż za takiego bardzo uczonego i któregoś razu latem przyjechała razem z nim do matki. Inaczej nie nazywała swojego męża, jak tylko mój kandydat. A matka jak to matka, ciemna kobieta; wszystko jej się pomieszało i raz c-zy dwa razy nazwała zięcia deputatem. Ale on się nie obraził.

Na pewno jest też gospodarny, liczy się z kopiej -karni i nie za bardzo pociąga z kieliszka — wśród młodych mężczyzn zapanował teraz taki brzydki "Im/ czaj. Co prawda Lewczuk też kiedyś nie był bez </> •

Uri

I

chu, ule już od dawna pije tylko w święta albo przy jakiejś okazji, kiedy na przykład pojawią się goście. Poza tym życie Lewczuka to żaden przykład dla tamtego, który pod każdym względem powinien być lepszy.

No i nie przeklina — w żadnym wypadku. Nie to, żeby nigdy nie wypowiedział mocniejszego słowa, ale już na pewno nie lak jak to robią teraz niektórzy — co dwa słowa, to przekleństwo.

Takich Lewczuk nigdy nie szanował, chociażby byli nawet uczonymi kierownikami. To w czasie wojny, pośród krwi, głodu i śmierci ludzie kłócili się i przeklinali, a teraz czemu mieliby czynić tak samo? Czegóż teraz brakuje w życiu?

Ale kimkolwiek tamten był z zawodu i jakiegokolwiek zajmowałby stanowiska, to przede wszystkim powinien być człowiekiem. Lewczuk nie nadawał temu pojęciu jakiegoś złożonego filozoficznego sensu, wszystko sformułowane było zwyczajnie: żeby był dobry i rozumny, i żeby wszystko mu się u-dawalo, ale nie kosztem innych. Lewczuk napatrzył się już w życiu na różnych spryciarzy, którzy budowali sobie dobrobyt kosztem bliźnich i ze wszystkiego umieli wyciągnąć największą korzyść dla siebie. Można ich było znienawidzić tak samo, jak na wojnie tych, którzy usiłowali wyżyć za cenę zguby innych. Sam Lewczuk niezdolny był do chytrności, nikogo nigdy nie oszukał z korzyścią dla siebie, wszelka mała czy wielka ludzka chytrność wydawała mu się czymś ohydny.

Zresztą wszystko było tylko marzeniem, ułożonym w myślach w ciągu trzydziestu lat, stanowiących dokładnie połowę Lewczukowego życia. Lewczuk wiedział, że w rzeczywistości może się okazać, że wszystko jest nie tak. Ale nie chciał, żeby było nie tak — pragnął, aby było tak jak powinno być, tak jak

90

by chciał, żeby było z jego synem, którego Bóg rra* nie dał. Zamiast syna urodziły się trzy podobne do matki córki, ze wszystkimi matczynymi przywarami,, z jej charakterem i powierzchownością. Po ojcu niczego nie odziedziczyły. A tamten oczywiście nie jest jego synem, ale ile go z nim łączy! Wszystko co działo się potem z Lewczukiem do końca wojny, chociaż także było nieelkie, to jednak już nie to samo. Wtedy przecież wydobył z siebie wszystkie siły, może nawet przeszedł samego siebie, innym razem po-prostu nie wystarczyłoby mu prochu...

10

Wycior, kolejnym razem wetknięty do saganka,, doszedł do dna. Lewczuk poprosił Grybojeda, żeby odcedził kartofle — było mu trudno zrobić to samemu. Grybojed przykrył saganek połą wełnianego,, kiedyś na pewno eleganckiego i często prasowanego munduru i odwrócił naczynie nad trawą. Wody było. w saganku mało, Grybojed zaczekał aż ściekną na trawę ostatnie krople i znowu postawił naczynie na ogniu.

— Niech'ziemniaki podeschną.

— Nie ma tam co schnąć! Nieś do. stodoły, będziemy jedli!

Grybojed znowu schwycił saganek przez połą munduru. Z kartofli waliła gorąca para. Lewczuk otworzył staremu drzwi. Kława, która zapadła w krótką. drzernkę, przytuliwszy do siebie białe, jedwabne zawiniątko z małym, oprzytomniała teraz i jak się wydawało Lewczukowi słabo się uśmiechnęła samymi tylko wargami.

— Będziemy jeść! Młode kartofelki! Na pewno jeszcze nie jadłaś takich w tym roku!

ni

Kława spróbowała się podnieść. Pomógł jej, podkładając pod plecy kozuszek i trochę słomy.

Dziewczyna usadowiła się jako tako. Ciągłe nie wypuszczając z rąk małego poprawiła sobie włosy na czole.

— Śpi? — zapytał Grybojed, stawiając saganek koło radiotelegraf istki.

— Spi. Ciągłe tylko śpi i śpi — powiedziała Kła-|wa, z niepokojem w głosie.

— Nie szkodzi. Niech sobie śpi. Znaczy, że będzie spokojny, jak ojciec.

— Dziękuję ci dziadku — pokornie powiedziała Kława.

— Nie ma za co. Jakaś tam baba na pewno spisałaby się lepiej:

— A i ty spisałeś się nieźle — powiedział Lew-|czuk,-przysiadając obok. — Ani krzyku, ani

płaczu.

— To przecież nie ja. Wszystko ona sama... Obydwaj, parząc sobie palce, zaczęli wyciągać z saganka gorące kartofle. Kława siedziała opierając się o ścianę, z małym na ręce: Lewczuk spojrział na dziewczynę.

— Jedz. Co ci się stało?

— Miałam tam łyżkę w torbie — powiedziała, jak gdyby przepraszając za coś i Lewczuk, zrozumiałwszy, wyciągnął spod wezgłowia płaską niemiecką torbę, mieszczącą w sobie niebogatę mienię Kławy.

— Tu jest łyżka, masz!

— I manierka tam była. Wyciągnij ją, skoro już mamy takie wydarzenie.

— Manierka?! O-ho-ho! — ucieszył się Lewczuk i rzeczywiście wyciągnął z torby białą, aluminiową manierkę, w której chlupało coś cichutko. — To samogon?

— Trochę spirytusu. Trzymałam na specjalną okazję.

— Zuch z ciebie! — z przejęciem powiedział Lew-

czuk. — Niech ci Pan Bóg da zdrowie i twojemu małemu także. Grybojed, gulniemy sobie?

— Jeżeli już się tak złożyło — zmieszany Grybojed wykrzywił twarz, ale jego oczy zaświeciły się, miękko tak jakoś i dobrotliwie.

Mroczne wnętrza gumna upstrzone było smużkami światła, wpadającego przez szczeliny. Lewczuk i Grybojed z ochotą i nawet z pewnym namaszczeniem napili się z manierki rozcieńzonego spirytusu. Lewczuk łyknął, chuchnął, zrobił małą pauzę i przekąsił kartoflem. Grybojed, który przejął ma-, nierkę, najpierw zmarszczył się, a potem wypił troszeczkę i zmarszczył się jeszcze bardziej — całą swoją wysuszoną, porośniętą, szczecinę, przedwcześnie postarzałą twarzą.

— A niech go! Bimber już lepszy!

— Też mi porównanie! To przecież czysty, fabryczny. A samogon, to samogon.

— No to co, że fabryczny? Mówię, że bimber jest miększy, przyjemniejszy.

— A ty się napijesz? — Lewczuk podniósł oczy na Kławę.

— Oj, mnie chyba nie wolno — dziewczyna zawahała się.

— Dlaczego? — zapytał Grybojed. — Wypij sobie. Moja, jak karmiła, to bywało, że też czasem wypija. Na święta. Dziecko potem dobrze spało.

— No to ja tylko troszeczkę.

Podniosła manierkę do ust i łyknęła trochę, jak gdyby miała zamiar tylko skosztować. Lewczuk mruknął coś z zadowoleniem — cudzą przyjemność gotów był przeżywać jak swoją własną.

— No i dobra. Teraz będziemy jeść. Kartofle bardzo smaczne, chociaż nie obierane. Prawda?

— Smaczne, rzeczywiście. Nigdy chyba takich nie jadłam.

— Jak grzyby! Żeby jeszcze trochę więcej soli, co, Grybojed? — Lewczuk przymawiając się, popatrzył na starego, ale ten pokręcił głową:**

— Nie, nie dam. Malutko już zostało. A jeszcze się przyda.

— Oj, nie wiedziałem, nie wiedziałem, żeś ty taki skąpy.

— No i co, że skąpy? Żebym miał trochę więcej! A tak... Na jedno liźnięcie językiem.

Kława zjadła kilka kartofli i opadła plecami na kożuszek.

— Oj, jak mi się w głowie zakręciło — powiedziała.

— To nic, to ci przejdzie — uspokajał ją Lewczuk. — Mnie to tak się wesoło zrobiło, jakby orkiestra grała.

Grybojed spojrział na niego z niechęcią. Zmarszczki na twarzy woźnicy pogłębiły się; w jego zmęczonych i pokornych zwykle oczach charakterystycznie błysnął gniew.

— Nie ma się co cieszyć. Zobacz jak wysoko jest słońce!

— No i co z tego?

— A to. Do wieczora jeszcze daleko.

Lewczuk jadł kartofle z większym chyba apetytem niż pozostali. Zmęczył się oczywiście, zgłodniał, a teraz trochę zakręciło mu się w głowie. Nie wiadomo skąd spłynęło jednak na niego poczucie pewności siebie i siły. Wiedział przecież, że wszystko może się zdarzyć, ale miał automat i jedną silną, zdrową rękę, a i drugą, opanowując ból, nauczył się już trochę pomagać tej nie

zranionej. W ciągu wojny bywał już w dziesiątkach najrozmaitszych tarapatów, z których uchodził z życiem i to nieraz w nieprawdopodobnych okolicznościach. Toteż nie mógł po prostu uwierzyć, że mogłoby mu się zdarzyć coś złego. Najgorzej ze wszystkiego byłoby zginąć, ale śmierć nie budziła w nim wielkiej obawy, zdążył się już oswoić ze śmiercią, albo przynajmniej dowiedzieć się ze wszystkimi szczegółami, jaka też anoże być.

Towarzysze Lewczuka zachowywali się trochę inaczej.

Grybojed coraz wyraźniej zapadał w ciężką męską zadumę: zaczął chyba coś wspominać. Żując kartofle, od czasu do czasu ni z tego ni z owego przestawał poruszać szczękami i nieruchomieć.

Kława robiła wszystko naraz: jadła i co chwila nerwowo spoglądała na swojego małego, i wsłuchiwała się w jakieś dźwięki, które słyszała wyłącznie ona. Lewczuk zauważył jej niepokój.

Dojadając ziemniak, zapytał:

— O co ci chodzi? Czemu strzyżesz uszami?

— Ja? Wydaje mi się, że coś słyhać. Jakby głosy...

Wszyscy zaczęli nadśluchować. Lewczuk nie oczekiwał żadnego niebezpieczeństwa, ale żeby upewnić się ostatecznie, wziął za szyjkę automat i wyszedł z gumna.

Zbliżało się południe, słońce przypiekało coraz bardziej, a jabłonka i kłosa żyta leciutko szumiały na wietrze. Nigdzie nikogo nie było. Nad omdlewającą w spiekocie krainą panowała senna cisza.

Lewczuk obszedł podwórko i wrócił do stodoły.

— Zdawało ci się, Kława. Nigdzie nikogo nie ma.

— Może rzeczywiście mi się wydawało — powiedziała, uspokajając się, radiotelegrafistka. — To mi się zdarza. W dzieciństwie byłam okropnie tchórzliwa. Bałam się zostawać sama w domu. A już wieczorem — to za żadne skarby. Mieszkaliśmy w Moskwie, na Solanej. Dom był stary, a myszy w nim było co niemiara. Ojciec często wyjeżdżał, a jeżeli mama su spóźniała, to włożyłam w kąt za kredensem i płakałam. Bałam się myszy.

— Myszy? — zdziwił się Grybojed.

— Myszy, właśnie.

— Czemuż to bać się myszy? Czy to one gryzą?

— Myszy nie wilki. Wilki to dopiero coś. Wilków to i ja się bałam. Wystraszyły mnie pewnego razu — powiedział Lewczuk i wyciągnął się na twardym klepisku. — Teraz warto by było z godzinkę przedrzeć-mać. Co o tym myślisz, Grybojed?

— Sam wiesz najlepiej. Tyś tu dowódca. Grybojed bez wielkiego apetytu dojadł z garnka kartofle. Lewczuk ziewnął raz i drugi, zastanawiając się co by tu zrobić, żeby Grybojed posiedział na straży, a on rzeczywiście trochę by się przespał. Spać chciało mu się okropnie, zwłaszcza teraz, kiedy z grubsza zaspokoił głód, a do tego jeszcze łyknął spirytusu. Ale nie zdążył jeszcze niczego odpowiedzieć Grybojedowi, gdy nagle Kława zaszciochała, wstrząsana płynącym z głębi, niepohamowanym płaczem. Lewczuk poderwał się z klepiska.

— Co się stało? Co ci jest? No i czego? Przecież już wszystko dobrze, Kława!

Dziewczyna ciągle szlochała, kryjąc twarz w dłoniach. Lewczuk nie mógł zrozumieć co się stało i próbował ją uspokoić. A Grybojed siedział na swoim miejscu, podciągnąwszy pod siebie bosc nogi i ze smutkiem patrzył na obydwójce.

— No i dobrze. Czego od niej chcesz? — zwrócił się do Lewczuka. — No i co tam! Niech sobie popłacze. Każdy ma coś takiego nad czym chce mu się płakać. A ona ma swoje. Niech tam!

Lewczuk usiadł, a Kława, chlipnąwszy jeszcze dwa czy trzy razy, wytarła oczy rękawem bluzy.

— Wybaczcie. Nie wytrzymałam. Więcej już nie będę.

96

— Daj sobie spokój z takimi żartami — poważnie powiedział Lewczuk. — Bo wiesz... My też możemy zapłakać, jak popatrzymy na ciebie.

Jej wargi znowu się wykrzywiły, jak gdyby nie mogła powstrzymać jakiejś urazy. Grybojed pospieszył ze swoimi zapewnieniami:

— No, już dobrze, wszystko przecież dobrze. Najważniejsze, że dziecko już jest. Ładny taki chłopczyk. Wyrośnie. Skończy się ta przekłeta wojna i wszystko się ułoży. Młodym wszystko

szybko się układa. To dla starych już koniec, a młodzi wszystko mają przed sobą. Nie trzeba się martwić. Komu teraz lekko? Myślisz, że mnie lekko? Gdybym tak mógł się zamienić z wami na nieszczęścia...

— Tak — po chwili milczenia powiedział Lewczuk. — Pogadajmy o czymś weselszym... Mogę wam opowiedzieć jak to przed wojną o mało co się nie ożeniłem...

Ale Grybojed, zajęty swoimi myślami, nie odpowiedział na jego żartobliwą propozycję i siedział, w dalszym ciągu spoglądając przed siebie ze smutkiem.

— Do śmierci sobie nie daruję: po co go wtedy wziąłem do Wysielek? Czemu go nie zbiłem i nie wygoniłem do ziemianki?

— O kim mówisz? O synu?

— No. O Wołodźce. Do śmierci sobie nie daruję...

— A ja też sobie nie wybaczę — ożywił się nagle Lewczuk i usiadł prosto — że nie posłuchałem ojca. Przecież przyleciałem do domu w czterdziestym pierwszym roku, no i dobra, od Kobrynia do Starobina niedaleka była droga. Pod Starobinem moja wieś, Kuraczki. Kiedy Niemcy rozbebeszyli nasz pułk, to każdy z nas ocknął się gdzie indziej: jeden w oflagu, drugi uciekł na wschód, a jeszcze inny do lasu. A ja do ojca do domu. Przyleciałem, mundur

1 — Stado wilków

97

z siebie zrzuciłem, włożyłem cywilne łachy, pomagam ojcu, no i nic, żyje mi się jakoś. Ojciec mówił: lepiej się schowaj, a ja gdzie tam! Bohater! Kogo tu się bać? Niemcy daleko, jeden policjant na całą wioskę — mieliśmy takiego — Koźluk się nazywał, zdechłak niedorobiony, ale chodził z opaską i nosił dragonkę na ramieniu. Czy to jego miałem się bać? Sam przecież schowałem sobie w letniej kuchni pod strzechą samopowtarzalny karabin i jakby co, to zaraz mogłem stuknąć tego Koźluka. No i rzeczywiście, nie zaczepiał mnie, miał trochę pietra. Ale wiosną zaczęli wzywać takich jak ja do rejonu na rejestrację. Niektórzy poszli, przestraszyli się i zaraz: tui-tui-tui! Zabrali ich. Jak tak, to ja za swój karabin i do lasu. A wtedy właśnie Koźluk zrobił się śmielszy. Przyjechał z całą watahą do ojca. „Gdzie jest syn?” — „Nie wiem”. — „Aha, nie wiesz, za to my wiemy!” I zabrali ojca. I tui-tui-tui, tatko. Przeze mnie, bohatera. Bardzo odważnego. A gdybym tak się schował?... Ale gdzie tam, ojca miałem posłuchać? On przecież na piecu siedział, a ja już sobie powojowałem...

Mały zaczął się z niezadowoleniem wiercić na rękach matki. Poruszył się w swoim jedwabnym zawiniątku i wydał cichutki, płaczliwy głos. Kława uniosła go niezręcznie, chociaż bardzo ostrożnie, i zaczęła coś szeptać — powtarzać jakieś pieszczotliwe słowa. Grybojed powiedział ze zrozumieniem:

— No właśnie, widzisz. Jeść mu się chce. A ty się odwróć, nie wiesz o co chodzi, czy jak? Lewczuk odwrócił się i Kława przystawiła dziecko do piersi, z lekka przykrywając je derką.

— No i dobrze! Słowo daję, że dobrze — powiedział Lewczuk, ponownie wyciągając się na klepisku. — Jakby nie wojna to bym był żonaty. Miałem jedną laskę na oku, nazywała się Hanka. Ale

98

gdzie tam — ani mojej żonki, ani żadnej Hanki. Wojna!

— O Boże — przejmującym, nabrzmiałym bólem głosem powiedziała Kława. — Czy ja wiedziałam, co to takiego wojna? Przecież poszłam sama, sama prosiłam, żeby mnie przyjęli. Nikt nie chciał, po protekcji przyjęto mnie do szkoły radiotelegrafistek. Myślałam, że... A tutaj! O Boże, ile tu nieszczęść, ile krwi i śmierci! Jak mogą tu wytrwać ludzie, ci, którzy stąd pochodzą? Zrozumiałe jeszcze, że mężczyźni, ale kobiety, dziewczęta, dzieci? Za co te biedactwa biją, szcują psami, palą? Z takim okrucieństwem, z taką nienawiścią!

— Dlatego ich właśnie biją, że bezbronni. — Grybojed wypowiedział te słowa ciągle patrząc gdzieś w dal, przed siebie. — Partyzantów mocno się nie pobije — mogą oddać. A tutaj przyjdą, okrażą, zagonią wszystkich do klubu albo do obory, że niby to dokumenty będą sprawdzać. Wszyscy wiedzą, że to nie o to chodzi, ale idą. Mają nadzieję. Już ich nawet zamykają, a oni ciągle jeszcze mają nadzieję — a może to tylko tak dla strachu? I kiedy zaczynają strzelać, to też jeszcze

jest nadzieja — a może nie wszystkich zabiją? I, tak do samej śmierci ludzie mają nadzieję na lepsze. A bodaj przepadła cała ta nadzieja!

— No, jeśli jeszcze biją Niemcy. A jeżeli nasi? Swoi? Jakże im się ręce podnoszą?

— Podnoszą się! — powiedział Lewczuk i usiadł równo. — Jeżeli już poszli na to, włożyli mundury i wzięli karabiny, to muszą robić co im każą. Nie da rady się wykręcić.

— Ale jak się mogli zgodzić na coś takiego? — Kława nadał nie rozumiała.

— Wzięła górę złość na Sowiety. Przypomnieli sobie wszystkie urazy i poszli do Niemców.

A H

! i *»

z początku dobrzy tacy byli — „ja, ja” — zaczęli współczuć i dali karabiny do ręki. A potem rozkaz: ruszaj i puf-puf! Wszystko zaczyna się od małych rzeczy.

— Dobrze jeszcze, jeżeli pod przymusem — po chwili zastanowienia powiedział Grybojed. — Jeżeli pod przymusem, to widać od razu. Zarudzice kiedyś palili, a jeden Niemiec zobaczył za piecem wyrostka i kolbę go, kolbę, wepchnął do samego kąta — siedź tutaj! No i ten chłopiec ocalał. Wszystkich wytlukli, popalili — a tamten ocalał. Niemiec go uratował. A niektórzy to jak zwierzęta. Od krwi, jak od samogonu, dostają szału. Im więcej przelewają, tym więcej im się chce.

— Ó Boże mój, Boże — powiedziała Kława. — Dotąd tylko o samą siebie się bałam, a teraz muszę bać się dwa razy bardziej. O niego przecież! Taki malutki!... Złotko ty moje gorzkie, nieszczęsny mój chłopczyku, jakże mam cię uchronić? Czemuż to dola nasza taka?...

Lewczuk z przykrością wstał; nie znosił lamentowania, zwłaszcza kobiecego, nie zdążył po prostu przywyknąć w swoim życiu do skarg.

— Wystarczy tego płaczu! Odchowamy go jakoś. Trzeba znaleźć dobre miejsce. Tutaj chyba na nikogo się nie doczekamy.

— Za wcześnie jeszcze, żeby ją szarpać. Musi po-leżeć — zauważył Grybojed.

— Niech leży. I ty z nią tu pobędziesz. A ja pójdę. Trzeba poszukać ludzi. Gdzieś przecież powinni być. Nie wybili ich przecież wszystkich co do nogi. Może gdzieś trochę zostało.

— Trzeba pójść do Kruhlanki. Niedawno jeszcze była nie spalona. To chyba dziesięć kilometrów stąd.

— No cóż, można i do Kruhlanki. Mieszkał tam jeden mój znajomy. W maju ganialiśmy razem policjantów.

— Albo do Szypszynowicz. Tylko że nie wiadomo, czy jeszcze ocalały. Szypszynowicze są pod lasem.

— Pod lasem? Chyba nie... Daj no saganek, to pójdę po wodę. Jakoś mi się pić chce.

Grybojed sięgnął po garnek, żeby go podać Lewczukowi, ale Kława znowu drgnęła i nad słuchując zastygła w napięciu.

— O co chodzi? — nie zrozumiał Lewczuk.

— Słyszycie? Słyszycie?...

— Co? — Lewczuk chciał krzyknąć na dziewczynę, ale opamiętał się. W wietrznej, południowej ciszy dobiegły z dworu cichutkie dźwięki harmonijki ustnej. Lewczuk w milczeniu schwytał automat i rzucił się ku drzwiom.

11

Troszeczkę tylko uchylił drzwi i zaraz zamknął je znowu — przez wąską szczelinę pomiędzy skrzydłami wrót i tak doskonale było widać, że drogą od spalonej wsi toczą się dwie furmanki, i że w furmankach siedzą czarne postacie. Jadący, w czarnych furażerkach, trzymali karabiny w rękach, albo też mieli je przerzucone przez plecy. Słysząc było gwar, śmiech i cichutkie brzęczenie organków.

Lewczuk zaklął ze złością i rozpaczą.

— Coś tam zobaczył? Co tam jest? — zaczęła się dopytywać wystraszona Kława. — Niemcy, co? Niemcy?

— Niemcy! — powiedział Lewczuk i gwałtownie odskoczył od drzwi. — Grybojed! — do tego kąta! A ty nakryj się! — krzyknął do Kławy i wyciągnął jej spod głowy kożuszek. — I leż! Tylko cicho! Oni

100

101

przejadą obok — nie bardzo wierząc w to co mówi, starał się uspokoić przyjaciół.

Grybojed przesunął się do kąta, znalazł tam szeroką szczelinę i zaczął patrzeć na drogę. Lewczuk przypadł do szpary w drzwiach i nie odrywał wzroku od dwóch furmanek, które szybko potoczyły się do strumienia, przejechały go i już trochę wolniej ruszyły pod górkę. Lewczuk policzył jadących — w pierwszej furmance siedziało ich czterech, a w drugiej trzech. Ważne było teraz czy zatrzymają się przy gumnie, czy też pojadą dalej.

Nie, nie pojechali dalej, na tym brzegu strumienia furmanki zatrzymały się. Ktoś tam coś krzyknął po niemiecku, ktoś inny zeskoczył na drogę i nagle wszyscy pozeskakiwali z furmanek. Lewczuk poczuł przykre pieczenie w piersi — z tej biedy niełatwo się będzie wykaraskać.

— Grybojed, poczekaj! Cicho!

Ale w stodole i tak było cicho. Kława zamiast nakrywać się, uklękła na słomie i przygarnawszy do siebie małego, z napięciem wpatrywała się w Lew-czuka. Grybojed skurczył się przy swojej szczelinie.

„Co oni mają zamiar robić? Co też będą robić?” — Lewczuk bezgłośnie powtarzał to natrętne pytanie. Zobaczył, że Niemcy wzięli broń, coś taśm jeszcze, porozkładali po kieszeniach naboje, zostawili furmanki na drodze i ruszyli ścieżką w stronę gumna. Prawie od razu podzielili się na dwie grupy. Jedna skierowała się tutaj, na podwórko, na które wychodziły wrota stodoły, podczas gdy druga grupa, mniejsza, zaczęła obchodzić gumno od ślepej ściany, od strony olszynek.

Wszystko byłoby zrozumiałe i bardzo zwyczajne, gdyby nie to, że faszyci zachowywali się jakoś tak bardzo spokojnie — niespiesznie, bez żadnej obawy, nie kryjąc się szli ścieżką. Ten ich brak poczucia niebezpieczeństwa i równo-

102

czenie brak pewności co do ich zamiarów dawały Lewczukowi pewną nadzieję. A może wcale nie idą po nich? Może chcą pójść gdzieś dalej i przejadą obok gumna? W napięciu, owładnięty niepokojem i czujny, Lewczuk przywarł do drzwi. Odbezpieczył automat i wielkim palcem wymacał przełącznik ognia, aby upewnić się, że jest nastawiony na strzelanie seriami. Ci czterej ze ścieżki, jeden po drugim, szybko podchodzili do gumna. Nietrudno byłoby ich teraz skosić jedną trafną serią, ale ta sama co i przedtem niepewność co do ich zamiarów ciągle nie pozwalała na podjęcie decyzji. A nuż pójdą dalej — choćby do .miedzy w życie, w jakichś tam swoich sprawach, bo skąd niby mają wiedzieć, że w tej stodole siedzą partyzanci?

— Lewczuk, co się dzieje? Co? Gdzie oni są? — rozpaczliwym szeptem domagała się odpowiedzi Kława, ale on potrząsnął tylko głową.

— Cicho!

Niemcy zniknęli na pewien czas za węglem stodoły. Lewczuk przycisnął czoło do chropawego drewna, ale nic nie mógł zobaczyć. Po dziesięciu sekundach Niemcy jednak zjawili się znowu, już prawie pod ścianą, za maliniakiem. Na przedzie szedł wysoki chłopak w sukienym mundurze, z obwisłym na brzuchu pasem, obciążonym ładownicami. W jednej ręce trzymał niemiecki karabin, a w drugiej papierosa. Zatrzymał się na chwilę i przed odrzuceniem niedopałka kilka razy szybko się zaciągnął.

Był już na środku podwórka, ale w Lewczuku ciągle jeszcze płonąła słabiutka nadzieja — a może jednak pójdzie sobie dalej? W napięciu wpatrywał się przez szczelinę w twarz faszysty, chcąc odgadnąć jego zamiary. Spojrzenie tamtego prześliznęło się najpierw wzdłuż ściany stodoły, zatrzymało się; na chwilę przy jej rogu, obmacując zapewne gęsty wkruj

103

maliniaka, aby nagle przenieść się na ziemię, na resztki ogniska, od których szedł jeszcze słaby, ledwie zauważalny dymek. Lewczuk przeklął w myślach swoją nieostrożność, ale było już za późno. Policjant podszedł do drzwi, które cichutko skrzypnęły.

Lewczuk przywarł plecami do .ściany i podrzucił automat, ale nie strzelał, nie mógł się jeszcze rozstać z ostatnią iskierką nadziei. Wiedział, że z podwórka niewiele można zobaczyć w ciemnym wnętrzu stodoły. Ale policjant nie zdążył jeszcze rozewrzeć drzwi, kiedy naprzeciwno

mignęła postać Kławy i w naprężonej ciszy huknął strzał, a za nim drugi i trzeci. Policjant wypuścił z rąk karabin i nagle jakby przełamał się na dwoje: albo upadł, albo dał nura w maliny. Lewczuk puścił za nim króciutką serię przez deski drzwi i czując, że zaraz zaczną strzelać także z zewnątrz, rozciągnął się na klepisku. Przed oczami miał Kławe, która ukryta za snopkiem słomy pod ścianą nerwowo drżała z pistoletem w ręce.

— Padnij! Padnij! — zdążył dwukrotnie krzyknąć Lewczuk, zanim pierwsza kula z podwórka, z impetem przebijając ścianę, odłupała od belki spory kawałek suchego drewna. Strzały bachnęły z obydwu stron gumna, kule raz po raz, z głuchym, ciężkim stukiem zaczęły dziurawić stare bierwiona ścian, obsypując twarde gliniane klepisko próchnem i kurzem.

Lewczuk poleżał chwilę pod drzwiami, przeczołgał się do ściany naprzeciwko i wyjrzał przez szparę tuż nad ziemią. Karabiny waliły nie wiadomo skąd, kule przelatywały ze świstem we wszystkich kierunkach, ale kamienna podmurówka dawała niezłą osłonę. Co prawda rosnące na dworze maliny w niektórych miejscach dokładnie pozatykały szpary i Lewczuk bał się, żeby ci dranie nie podeszli blisko.

Z bliska mogliby wdrzeć się przez drzwi i zarzucić stodołę granatami, albo rozstrzelać wszystkich w środku seryjnym ogniem z automatów. Trzeba ich koniecznie trzymać na odległość, jak najdalej od gumna. Z daleka mogą sobie strzelać. Teraz, kiedy bój już się zaczął, wszystko stało się jasne i zwyczajne, nie było już żadnej niepewności, bo nie było już głupiej dziecięcej nadziei, że a nuż... Lewczuk rozumiał, że wpadli teraz na całego i zaciął się, skoncentrował na jednym — nie wolno się dać!

Miotał się po klepisku od ściany do ściany, wyglądając przez szpary, ale Niemcy zalegli chyba również i dopóki z kąta nie zaczął walić z karabinu Grybojed nie sposób było zrozumieć, gdzie właściwie podzieli się faszyści. Ale skoro Grybojed strzelał, to znaczy, że coś widział od swojej strony. Kława leżała pod ścianą i ciągle przygarniając do piersi małego nie odrywała wzroku od drzwi. Lewczuk tylko raz spojrział w jej zaokrąglone z rozpaczy oczy i zrozumiał, że rafliotelegrafistka do końca nie miała szczęścia. Wszyscy wpadli na całego, ale los dziewczyny zapowiadał się najgorzej. Lewczuk chciał jej jakoś dodać otuchy, ale nie znalazł odpowiednich słów, toteż zaklął tylko w myślach i rzucił się w stronę suszarni. Ta część gumna nie była ubezpieczona przez nikogo, więc musiał ją ubezpieczyć on sam.

W przesiąkniętej dymem i sadzą suszarni było ciemniej aniżeli w stodole, a co najgorsze w suszarni nie było szczelin ani otworów, poza wąskim okienkiem w ścianie. Lewczuk uderzył w szybę lufą automatu i natychmiast padł plackiem na wyłożoną żerdziami podłogę — równocześnie huknął strzał i o ścianę naprzeciwko okienka chlasnęła kula, pozostawiając na czarnym drewnie świecąca białą plnm-kę. „To znaczy, że ta strona gumna jest już też pod

104

r

obstrzałem, w żyto się nie wyskoczy" — posepnie pomyślał Lewczuk.

Poleżawszy chwilę, ostrożnie się uniósł i spojrzął przez okienko w kierunku olszynek. Nad łanem żyta czerniały dwie postacie ukryte w zbożu po pierś — pilnowały gumna od strony suszarni.

Lewczuk, nie wysuwając automatu, puścił na ukos przez okno króciutką serię. Niech wiedzą, że i tutaj ma kto strzelać. Niech sobie nie myślą! Potem, pochyłony, przeskoczył przez wysoki próg i znalazł się w stodole. Upadł pod ścianę koło Grybojeda, który przez cały czas pilnie wyglądał przez swoją szczelinę. Kława leżała za snopkiem słomy, starannie przykrywając ciałem bielutkie zawiniątko z niemowlęciem. Huknął pojedynczy strzał, kula świsnęła pod belką, a potem strzelanina dookoła nie wiadomo dlaczego ucichła.

— Grybojed, dużo masz naboji?

Grybojed odwrócił się na bok, nie odrywając wzroku od szczeliny obmacał kieszenie munduru i wyciągnął kilka łódek nabojoych.

— Mam cztery łódki.

— i to wszystko?

— No.

— A ty, Kława?

— Miałam osiem sztuk.

— Trzy wystrzeliłaś, zastało jeszcze pięć. Ta-ak... Długo wojować nie będziemy!

Położenie było w ogóle okropne, jeżeli nie beznadziejne. Otoczono ich ze wszystkich stron i trzymano pod stałym ostrzałem. Oczywiście, tamci mieli pod dostatkiem amunicji, a tutaj aż śmiesznie było pomyśleć o długiej obronie z pięcioma dziesiątkami naboju. No, ale co zrobić? Trzeba było mieć na coś nadzieję, albo na coś się zdecydować, tyle że Lewczuk nie mógł wymyślić niczego mądrego. Odpoczął, leżąc przez chwilę koło Grybojeda i przestawił przełącznik ognia w automacie na strzelanie pojedynczymi. Postanowił, że odtąd będzie strzelał dokładnie celując i nie zużywając więcej niż po jednym naboju za każdym razem.

— LewozUik, co mamy robić? O mój Boże, co też mamy robić? — z cichą rozpaczą lamentowała Kława.

— Cicho! Leż! Pilnuj, drzwi. Ty pilnuj drzwi. Jakby ktoś, to wał mu prosto iw łeb! — odezwał się Lewczuk i popatrzył na te diabelskie wrota — wielkie, zrobione z cienkich, nie heblowanych desek i otwierane na zewnątrz; od środka nie można ich było ani zamknąć na dobre, ani podeprzeć. Wystarczy, żeby tamci dranie rzucili granatem i wrota się rozlecą, a wtedy nic tylko wdierać się do środka i rozstrzeliwać wszystkich na miejscu.

Przez pewien czas panowała cisza, nie było strzałów, pewnie na dworze naradzano się co robić dalej i nagle dobiegł z zewnątrz tłumiony przez ściany głos:

— Hej, ty tam, Kudłaty! Czy to nie czas się poddać?

Lewczuk drgnął. Kudłatym nazywali go przez pewien czas chłopcy ze zwiadu, a dobiegający teraz z podwórka głos wydał się Lewczukowi do tego stopnia znajomy, że aż się zdziwił: kto to może być?

— Hej! Słyszysz? Czas się poddać, bo jak nie, to podsmażymy. Czy już cię tam pokręciło?

— To przecież ten — Grybojed odwrócił się twarzą do Lewczuka — co przyleciał ze stacji.

— Kuidriawcew?

— No.

Lewczuk zdziwiłby się jeszcze bardziej, gdyby to odkrycie nie rozwścieczyło go aż tak. Poczuł jak napętnia go trudne do powstrzymania pragnienie,

106

aby natychmiast wyskoczyć ze stodoły i wsadził w tego zdrajcę resztę magazynka. Niech potem zabiją także i jego. Ale jakoś przetrzymał przyptyw gniewu i nie wyskoczył, lecz przykleknął koło Grybojeda i przypadł do szczeliny.

— Tam, koło szopy. Wierci się tam za słomą.

— Daj no!

Lewczuk wziął od starego rozklekotaną dragonkę i wygodniej ułożył się przy ścianie. Nawet cienka lufa z muszką nie chciała przejść przez szczelinę, chociaż Lewczuk tak i siak próbował przesunąć karabin przez ścianę. Na szczęście dziurę w ścianie osłaniał z zewnątrz maliniak, przez który z bliska można było coś tam zobaczyć, podczas gdy z podwórka, przez gęstwinę liści na pewno nic nie było widać. Lewczukowi udało się w końcu jako tako złożyć do strzału i wziąć na muszkę miejsce na skraju wiaty, gdzie ukryty w słomie leżał Kudriawcew. Zaczekał, aż tamten trochę się poruszy, a kiedy wierzch czarnej furazerki wysunął się zza słomy, wstrzymał oddech i nacisnął spust. Potem szybko strzelił jeszcze raz w to samo miejsce i znowu zaczął czekać.

Ale czekać nie trzeba było długo. Spoza szopki, jak gdyby nic się nie wydarzyło, odezwał się znowu |dźwięczny, znajomy głos:

— Dostrzelasz się, Kudłaty! Powiesimy cię za pa-szczękę. Na słupie będziesz zdychał!

— A nie chcesz czasem w dupę? — nie mogąc się powstrzymać krzyknął Lewczuk.

— Przestań się wygłupiać, kretynie! Wysyłaj z budy dziewczynę i podnoś łapy do góry. Będziesz żył.

— Ja i tak będę żyć, ty podlec! Za to ty na!, sznurku zdechniesz, sprzedawczyku!

— No to sam żeś sobie winien! — dobiegło zza ściany. — Chłopcy! Ognia!

108

Tym razem zaczęła się taka strzelanina, jakiej Lewczuk dawno już nie słyszał. Łomotało za szopą,

na drodze i pod olszynami, leśne echa mnożyły wokół strzały i zdawało się, że cały pluton wali do siedzących w stodole, ze wszystkich czterech stron. Kule ze złym świstem i klaskaniem dziobały i siekły spróchniałe drewno ścian, na głowy spadały wióry, szczapki, wyschnięty mech ze szczelin. Okruchy słomy gęsto osypały podłogę, kurz wznosił się pod strzechę całymi słupami. Wystrzelano by ich wszystkich czworo, gdyby nie podmurówka. Zasłonięta od strony podwórka maliniakiem tak jak i przedtem ratowała przed kulami. Co prawda nie można było teraz unieść głowy, aby wyrzeć przez szparę, a przecież wyrzeć było trzeba. Lewczuk wiedział, że ten ogień nie jest bezcelowy, że być może pod jego osłoną te wilki podpełzają do budynku. Toteż leżąc pod ścianą, czujnie słuchał odgłosów strzelaniny, starając się złowić moment, w którym trzeba będzie uderzyć z naprzeciwka. Miał już praktykę w partyzanckich bojach i wyczuwał po prostu, że faszyci są blisko. Podrzuciwszy automat, strzelił przez szparę w jednym i drugim kierunku; obok kilka razy huknął z karabinu Grybojed. Padając plackiem Lewczuk zdążył spojrzeć przez suche gałązki malin i zauważył, że na zewnątrz ktoś upadł na ziemię w ten sam sposób, a ktoś inny, przygiąwszy się, dał szusa i ukrył się za wiatą. Im tam też nie za bardzo chciało się umierać na tym podwórku. Z olszyn jeszcze strzelali, ale ci na drodze już ucichli. Wyglądało na to, że Lewczuk wygrał na czasie. Mógł teraz zastanowić się co robić dalej. Ale ogarnął go nowy niepokój, o przeciwną część stodoły. Sam dobrze nie wiedząc po co, wskoczył po drabinie na górkę do suszarni.

109

Na górze było ciasno. Podczołgai się do dziurawej, poikrytej słomą ścianki strychu. Leżąc na ziemistej podsypce spojrzął z góry na żyto i złośliwie się uśmiechnął. Było stąd dobrze widać dwie postacie w czarnych furazerkach, z rozpiętymi kołnierzami mundurów, podkradające się przez żyto do stodoły. Po króciutkiej chwili zadowolenia Lewczuk ostrożnie przesunął zamek. Tamci przygięli się, żeby nie wystawać z żyta i nie patrzyli w stronę suszarni. Lewczuk starannie wycelował w pierwszego i szczęknął pojedynczym strzałem. Policjant niedorzecznie, jakby zdziwiony, wyprostował się do pełnego wzrostu, zadarł głowę do nieba, odwrócił się na piętach i runął plecami w żyto. Drugi, zanim Lewczuk zdążył go złowić na muszkę, puścił się szaleńczym galopem przez żyto do zagajnika. Lewczuk, nie mając wcale nadziei, że trafi, szybko strzelił do uciekającego i zaraz pożałował, że zmarnował nabój.

Wystarczyłaby dwóch strzałów, żeby usiec Lew-czuika na górze, toteż kiedy tylko pierwsza kula, osypując go piaskiem, wpadła przez sufit od dołu, stoczył się po drabinie na klepisko stodoły. Poczul na- l .gły przyływ wdzięczności do tej wielgaćmej bu-dawli, która może bardziej niż czym innym ochraniała ich swoimi rozmiarami. Niech sobie strzelają, pomyślał, gumno jest wielkie, niełatwo w kogokolwiek trafić.

Zaległ przy tej samej ścianie, pod którą przez ca- \j ty czas kulila się Kława. Usiłował zobaczyć przez j wążutką szczelinę między bierwionami gdzie się po- <| dział jego niedobitek. Teraz jednak nie było chyba I nikogo z tej strony stodoły, albo też policjant dobrze ,| się schował w olszynach. Szczęknęły jeszcze dwa strzały spoza szopy, a potem wszystko ucichło.

— Hej ty tam, żyjesz jeszcze? — dobiegł przyglu- ;| szony głos ciągle tego samego Kudriaweewa. —,

Starczy już tego ciskania kulkami! Dawaj radiotele-grafistkę i spieprzaj do wszystkich diabłów! Słyszysz?

W męczącej ciszy, która nastąpiła w gumnie po zakończeniu strzelaniny, te słowa spoza ściany zabrzmiały nadzwyczaj wyraziście i groźnie. Lewczuk milczał i tamci zamilkli również — czekali na odpowiedź. Niezrozumiałe było, czego Kudriawcew chciał od radiotelegraf istki i skąd właściwie wiedział, że ukryła się w stodole. Nie było jednak wątpliwości, że wiedział o tym na pewno. Lewczuk pojął nagle, że faszyci przyszli tutaj właśnie po Kławę. A on, głąb kapuściany, ciągle miał nadzieję, że jakoś to będzie, liczył na sławetne „a nuż”. Trzeba było od razu rąbać do nich seriami, może zostałoby ich mniej. A teraz co się poradzi? Kława, słysząc żądanie powtórzone po raz drugi, ułożyła dziecko na słomie i zapłakała.

—| Matko Boska!... Co mamy teraz zrobić?

Rzeczywiście nie wiadomo było co robić, ale nie wolno przecież poddać się tym szubrawcom. Lewczuk, leżąc za podmurówką, głośno krzyknął w szczelinę:

—! Ej, ty! Chodź i weź sobie radiotelegrafistkę! No? Chodź i weź!...

I podrzuciwszy automat, puścił kulę przez ścianę — tylko jedną, na więcej nie mógł sobie pozwolić, ale wystarczył chyba ten pojedynczy strzał.

— Ty ścierwo! — krzyknął z daleka Kudrkiw-cew. — Trzymaj się! Zaraz będziesz skwierczał, jak wieprzek na ogniu!...

110

i

12

Był to rzeczywisty ich zamiar, a nie pusta pogrożka — zrozumiał to od razu. Wiadomo, faszystów nęciła możliwość spalenia budynku wraz ze wszystkimi w środku, ale trzeba było najpierw podejść do stodoły. Lewczuk postanowił za nic w świecie nie podpuszczać policai bliżej, bronić się do ostatka. Na skrajną ostateczność zostawało mu parabellum z garścią naboí. Grybojed miał kilka łódek i pięć sztuk amunicji miała też Kława. Może jakoś udałoby się dociągnąć do wieczora.

Bardzo potrzebny był im wieczór, potrzebna była ciemność, w ciemności mieliby szansę na ratunek. Ale słońce — cholera by je wzięła — wisiało jeszcze wysoko, do nocy trzeba było dożyć. Do nocy było równie daleko jak do końca wojny.

— Grybojed, uważaj! Jakby podpełzał który — wal!

Lewczuk przypomniał sobie, że dwóch trafili na pewno, a może nawet trzech. Trudno było zorientować się po strzałach ilu ich tam jeszcze zostało, ale chyba nie więcej niż pięciu. Dwóch za szopką, dwóch w olszynach i jeden chyba w życie. Drugi już się nie podniesie ze zboża. Gdyby dobrze się postarać, można byłoby postrzelić jeszcze dwóch i jeżeli nikt nie przyjdzie na pomoc policajom, to siły zrobią się równe. A wtedy jeszcze się zobaczy kto kogo.

Zaczął spoglądać w kierunku lasu, zdawało mu się, że ta właśnie strona stodoły narażona jest na największe niebezpieczeństwo. Myślał, że któryś z policjantów podczołga się do budynku z ogniem, starając się go podpalić. A może najpierw podpalą szopkę? Lewczuk nie wiedział skąd wiał wiatr i w jakim kierunku rozprzestrzeniałby się ogień. Obserwował jednak wszystko uważniej jeszcze niż

112

przedtem, zdecydowany nie dopuścić podpalacza do stodoły.

Kiedy spoza szopy huknął nowy strzał i kula, mignawszy pod strzechą, przecięła ją na wylot, pomyślał, że to smugowa. Huknęło znowu, żadnej smugi nie było widać, należało więc sądzić, że to zwyczajna. I dopiero wtedy, kiedy huknęło po raz trzeci, Lewczuk zrozumiał co wymyślili policaje i oczy zmętniały mu z gniewu.

Policjanci zaczęli ostrzeliwać stodołę pociskami zapalającymi.

Kława leżała na boku pod ścianą, zasłaniając sobą niemowlę. W kącie, przy swojej umożliwiającej obserwację szczelinie skurczył się Grybojed. Ani on, ani dziewczyna niczego jeszcze nie rozumieli. I Lewczuk nic im nie powiedział. Przypuszczał, że za chwilę zapali się strzecha i nic nie mógł na to poradzić. Nie mógłby nawet dostać się do tego ognia, aby go ugasić. Zresztą czym miałyby gasić? Nie trzeba było długo czekać — po czterech czy pięciu wystrzałach rozniósł się w stodole smród dymu. Kława zaczęła się wiercić pierwsza, spojrzała w górę spod swojej ściany" i wydała zgłuszony okrzyk, jak jęk bólu:

— Lewczuk! Lewczuk!

— Cicho! Cicho! Poczekaj!

Ale na co czekać nie wiedział sam. W pierwszej chwili poczuł się zagubiony, bezradny, patrzył tylko jak w ich części stodoły, ponad głowami, zajmuje się ogniem strzecha. Najpierw wypaliła się w słomie niewielka dziurka i do środka gumna zaczęło napływać coraz więcej dymu. Potem ogień popęzł do góry i na bołci, pełzł coraz szybciej, pożerając z trzaskiem i skwierczeniem słomę i laty dachowe. Przez dym posypały się okruchy płonącej słomy i węgla. Grybojed musiał się wkrót-

8 — Stado wilków

113

ce przesunąć ze swojego kąta w stronę drzwi. W tę samą stronę czołgała się Kława z dzieckiem na ręku. Można byłoby jeszcze wytrzymać gdyby nie dym, naganiany ciągle do wnętrza przez wiatr. Lewczuk wyobraził sobie co tu się będzie działo za kilka minut, kiedy cała strzecha zajmie się ogniem.

— Kława — do suszarni! Szybko! Radiotelegraf istki nie trzeba było namawiać; przelała przez próg suszarni i Lewczuk zatrzasnął za nią drzwiczki.

Zostali we dwóch z Grybojedem i zrobiło im się lżej. Wszystko stało się prostsze, nie trzeba było powstrzymywać nerwów ani patrzeć na mękę dziewczyny i jej małego. Na razie nie strzelano do nich, mogli się nawet naradzić, rozmówić po męsku i ustalić co mają robić, kobieca bezradność nie utrudniała im już teraz podjęcia decyzji.

— Przepadniemy, co? — zapytał Grybojed, odwracając do Lewczuka mizerną twarz z zaczerwienionymi od dymu oczyma.

— Niechaj oni przepadną! A my jeszcze trochę powojujemy.

Na klepisko spadła przepalona skrajna krokiew, obsypując partyzantów rojem iskiei i drobnych węgli. Grybojed podciągnął pod siebie bosc, oparzone nogi, a Lewczuk odepchnął głownię butem.

— No widzisz, zaraz się spalimy — spokojnie powiedział Grybojed i zakaszał.

„Tak, chyba się spalimy” — pomyślał Lewczuk.

Ale przedtem trzeba było coś zrobić, albo przynajmniej spróbować coś zrobić, a gdyby nie wyszło, no to cóż — wtedy nie pozostałoby już nic innego jak dać się spalić w tym gumnie.

— Grybojed! — krzyknął Lewczuk, także zanosząc się kaszlem. — Drzwi! Popchnij drzwi!

Grybojed wyciągnął rękę i skrzypnął połówką

114

wrót, które uchyliły się trochę. Spoza szopy trzasnęły natychmiast dwa strzały. Dwie kule wybiły wielkie dziury w cienkich deskach drzwi.

— A bodaj ich cholera wzięła!...

Nie było jednak innego wyjścia, trzeba było wyrwać się z tego piekła, a wyrwać się można było tylko przez drzwi. Płonęła cała przednia część stodoły. W górze huczało i trzeszczało. Słoma i szczeblina przepaliły się, żar ogarniał teraz ostatnie dwie pary krokwi, po których jak ogniste żmijki biegały, wijąc się i trzeszcząc, jęczyczki płomienia. Klepisko było zasypane popiołem i ognistym pyłem, resztkami spalonej słomy. Grybojed owinął się nadpaloną pasiastą derką. Lewczuk zorientował się, że palą mu się spodnie z tyłu i wierząc się na ziemi, ledwo je ugasił. Robiło się coraz goręcej. Na dole też już wszystko dymiło, dym drapał w gardłach, a lzy bez ustanku ściekały po twarzach, niekiedy w ogóle nie pozwalając patrzeć. Tylko przy uchylonych drzwiach można było jeszcze złapać odrobinę powietrza.

W suszarni było na pewno niewiele lepiej, chociaż ziemna podsypka na stryszku chroniła na razde przed ogniem. Ale płomień, pełznąc po dachu, zaczynał się już dobierać do tamtej części gumna. Po kilku minutach drzwiczki od suszarni otworzyły się gwałtownie i zanosząc się od kaszlu padła na próg Kława.

— Nie mogę... Już nie mogę! Lewczuk! Ja do nich wyjdę. Żeby wam... Uratujcie małego!...

— Milcz! — krzyknął na nią Lewczuk. — Ja ci wyjdę! Podczołgaj się tutaj...

Kława, ciągle kaszłąc, podpełzła i Lewczuk odsunął się trochę od wrót, robiąc jej miejsce koło siebie za progiem. Jedna połówka drzwi była troszeczkę uchylona i wpadał w nią wiatr, wprawiając w wirowanie kłęby dymu. Dym walił nie wiadomo dokąd: czy to do stodoły, czy też z gumna na zewnątrz. Lewczuk

118

uniósł się i popchnął lufą automatu skrzydło drzwi, które otwarły się trochę szerzej. Znowu huknął strzał, a za nim drugi, jedna z kul uderzyła w listwę przy skoblu, rozszczepiając ją, a druga była chyba niecelna. Nie chcąc, aby drzwi się zamknęły, Lewczuk krzyknął do Grybojeda: „Trzymaj”, sam zaś odwrócił się do Kławy.

— Ruszaj! Słyszysz? Czołgaj się szybko za maliny!

Radiotelegrafistka podniosła wzrok i z zalaną łzami twarzą, tuląc do siebie dziecko, patrzyła na Lewczuka bojąc się, czy też nie rozumiejąc czego on właściwie chce. Ale czasu zostawało coraz

mniej, jasno płonąła połowa stodoły, ogień zżerał zwieńczenie dachu, a równocześnie przenosił się niżej, ze strzechy na ściany. Było gorąco, wydawało się, że za chwilę zapalą się ludzkie ciała. Lewczuk, w obawie, że nie zdąży, popchnął dziewczynę ku drzwiom. Kława posłusznie podniosła się z klęczek i upadła bokiem za zamknięte skrzydło wrót, w maliny. Lewczuk czekał na strzał, ale strzał zamarudził, dym przy drzwiach zasłonił chyba dziewczynę i ci za szopą nie od razu ją zauważyli.

— Grybojed, wal! Wal do nich! — krzyknął Lewczuk, a sam, ryzykując, że spłonie albo udusi się dymem, wbiegł po drabinie na stryszek. Trzeba było osłonić Kławę ogniem z góry, nie pozwolić, aby zastrzelono ją przy płonącej stodole czy też złapano w zbożu, w które powinna się wczłogać. Lewczuk sam dokładnie nie wiedział jak ma pomóc dziewczynie, nie wiedział nawet ile naboji zostało mu w dysku pepeszy, ale poleciał prawie prosto w ogień, do dziury w dachu suszarni. Żyto dookoła gęsto zasnuwał dym. Wiatr silniejszy teraz niż rano gonił kłęby dymu w pole. Dusząc się, Lewczuk obiegił pole spojrzeniem i nie zobaczył niko-

116

go. Być może policjanci zastrzelili Kławę w maliniaku, a może zdążyła odbiec już dalej albo schować się w zbożu. Rzeczywiście, dwie ciemne postacie spod zagajnika raz po raz strzelały gdzieś przez dym. Lewczuk schwyciwszy ustami trochę powietrza, szybko skierował automat na olszyny. Wypuścił w policjantów z płomienia i dymu wszystko, co zostało jeszcze w magazynku, znowu złapał trochę gryzącego, palącego w piersiach powietrza i poczuł, że się dusi. Pociemniało mu w oczach, przeraziła go myśl, że mógłby stracić przytomność. Przytrzymując się trochę lewą ręką, runął przez dziurę w maliniak.

Uderzył się mocno udem o kamień, ale natychmiast odskoczył, czując jak prawie pod jego rękami zrykoszetowała kula. Nie drasnęła go, Lewczuk w dwóch susach, przygiąwszy się, śmignął w żyto. Od razu otoczyły go kłęby dymu, znowu poczuł, że się dusi, zaplątał się w źdźbłach i upadł. Skoczył na równe nogi i pobiegł — ze wszystkich sił uciekał od ognia, od stodoły, przy której strzelano i do której wbiegali już pewnie faszyci. Ktoś zaczął walić z boku. Zasnuwane dymem kłosa przeszła niska, ognisto--zielonkawa seria smugowych pocisków, wystrzelonych spod olszyn. Lewczuk rzucił się w drugą stronę, dalej w pole, bo droga do zagajnika była już odcięta. Dym rzedł, rozplątał się nad żytem jak gorąca chmura i Lewczuk, przygięty ze wszystkich sił uciekał i uciekał, przewracał się czasem i znowu biegł przez dym. Ciągłe strzelano do niego z tyłu, dobiegały nawet jakieś okrzyki, ale on nie słuchał, chciał odbiec jak najdalej. Chciał uciec do lasu, choćby do tego samego olszynowego zagajnika, bo rozumiał przecież, że w polu nie było dla niego ratunku. Zaczął skręcać, przebiegł jedną i drugą miedzę, prze/ cały czas pochylając się i pomagając sobie rękami. Na ból w prawym ramieniu nie zważał już od dawna,

117

zaciskał tylko szczęki, kiedy bolało szczególnie mocno. Swoją czapkę gdzieś zgubił. Pot zalewał mu czoło i policzki i razem z dymem wyjadał oczy. Z boku już nie strzelano i Lewczuk pomyślał, że się uratuje. Trzeba tylko dobiec do olszynek.

Wyskoczył z żyta na porośniętą rumiankami miedzę i zaraz wskoczył z powrotem. Ale było już chyba za późno. Na niezbyt szeroki trawiasty pasek ziemi pomiędzy polem i lasem wybiegło mu naprzeciw dwóch policjantów. Zobaczywszy Lewczuka jeden z nich coś krzyknął, wskazując kierunek drugiemu i tamten od razu uklęknął, a po sekundzie pierwsza kula łupnęła w ziemię, tuż obok nóg. Lewczuk, pochylony, rzucił się wstecz, pobiegł w poprzek niwy aż do jej końca i wskoczył na błotnistą łączkę z nie skoszoną, osokowatą trawą. Przeraził się. To nie było miejsce dla niego; tutaj, na łące, zbyt łatwo można go było zastrzelić. Sił też mu już nie wystarczało, serce głośnym łomotem wypełniało pierś, a płucom brakowało powietrza. Lewczuk zatrzymał się, wyciągnął z kabury parabellum i głośno szczękając zamkiem wprowadził pierwszy nabój do komory nabojoyej.

Wkrótce pojawili się jego prześladowcy. Spojrzał ponad żytem, zobaczył furażerki policjantów i strzelił dwa razy z rzędu. Furażerki zniknęły. Wyjrzał znowu i kiedy pierwsza furażerka ukazała się nad żytem, strzelił raz jeszcze. Potem z pistoletem w ręce pobiegł na ukos przez łąkę, w stronę olszynek.

Biegąc, poczuł jednak, że nie zdąży, że zaraz wyskoczą z żyta tamci. Uciekał ze wszystkich sił, ale posępnie zauważył, że sił zostaje mu coraz mniej. Czuł, że się chwieje, że uginają się pod nim nogi, i że nie może sobie z tym poradzić.

Obejrzał się. Z tyłu ponownie huknął strzał i kula przeleciała bardzo blisko. Ale i wówczas Lewczuk

118

nie przyspieszył biegu, przeciwnie, prawie przeszedł w marsz. Jego prześladowca przystanął na skraju żyta, strzelił z ręki, a potem przeładował karabin i klęknął, opierając łokieć o kolano. W ten sposób było mu oczywiście łatwiej celować, mógł walnąć na pewniaka. Lewczuk jednak nie poderwał się do biegu. Nie miał już siły, a poza tym poczuł się tak, jakby w tej nieustającej walce o życie coś pękło ttm w środku. Pomyślał tylko: „Strzelaj, psie!” i chwiejnymi krokiem pokuśtykał dalej.

Do krzaków było już bardzo blisko, kiedy prześladowca wystrzelił znowu. Kula z impetem skosiła trawę, wywalając w darni pod nogami Lewczuka czarne skośne piętno i zrykoszetowała w niebo. „Ruszaj, ruszaj!” — powiedział do siebie Lewczuk i nie oglądając się brnął dalej. Wyraźnie czuł, że w każdej chwili kula może przesyć jego ciało na wylot, ale co jeszcze mógł na to poradzić?

Huk trzeciego strzału dał się słyszeć w ułamek sekundy po chłaśnięciu w połę marynarki. Kilka naboji wysypało się z kieszeni na trawę. Lewczuk w przerażeniu chwycił ręką za kieszeń, a potem szybko pozbierał naboje. Były teraz droższe niż życie. Trzymając się ręką za kieszeń poszedł dalej. Pomyślał, że już znacznie oddalił się od żyta, i że szansę na otrzymanie kulki są teraz mniejsze. Po chwili w ogóle przestał zwracać uwagę na to, że z tyłu pohukuje karabin.

Przedarł się przez gąszcz olszyn i wszedł między sosny na pagórku: w tym miejscu zaczynał się las. Nikt go chyba nie ścigał, ale on i tak szedł i .szedł, dopóki nie natrafił na porośnięte mchem-torfowcem leśne uroczyisko. Potknął się o korzeń i upadł na suchy, miękki mech. Nie będąc w stanie się podi | -!•, otępiały, z rozkoszą przekręcił się na plecy. Sp< \\
w niebo i ze zdziwieniem spostrzegł, że dzień się skończył, zmierzch rozpląnął się po niebie, a w lesie poci sosnami rozprzestrzenił się mrok...

13

...Lewczuk podniósł walizeczkę i powoli poszedł na górę, żeby zadzwonić. Myślał sobie: a może ich przegapił, może wrócili do domu już dawno? Nie wiedział przecież jak tamten teraz wygląda, chociaż coś mu mówiło, że gdyby go zobaczył, rozpoznałby jego twarz.

Nikt jednak nie odpowiedział na trzy dzwonki, mieszkanie głucho milczało. Tym razem sąsiadka nie zainteresowała się Lewczukiem, który stał jeszcze chwilę przy drzwiach i zszedł z powrotem na podwórko. Aby jakoś zabić czas obszedł dziedziniec dookoła, a potem dopiero powrócił na swoją ławeczkę pod ścianą z cegieł. Trzeba było czekać. Nie można przecież wracać bez niczego, jeżeli już przyjechało się w tę stronę dwieście kilometrów, nie można wracać bez ważnej przyczyny, jeżeli nawet nikt tu na niego nie czeka. To spotkanie jest przecież potrzebne jemu samemu, potrzebne jako usprawiedliwienie tego, co przecierpiał na wojnie. Nie mógł tego zapomnieć choćby chciał, nie mógł, bo takich rzeczy się nie zapomina. Choćby ta noc, kiedy poszcęściło mu się mniej! A -może i poszcęściło się, bo za jego życie zapłacił własnym ktoś inny... Niespłacony dług już od trzydziestu lat leżał mu na sumieniu. Ciężko było z tym żyć, ale co miał zrobić? Nie zmieni się przecież przeżytego...

Na Boże Narodzenie w czterdziestym trzecim wysadzali w powietrze tory.

Z początku wszystko szło dobrze. Czwórka par-

120

tyzantów, pod dowództwem byłego plutonowego Kołobowa, przeszła w nocy przez puszcę i dotarła do Sioletniewa, niewielkiej wsi pod lasem, oddalonej

0 dwa kilometry od kolei. Partyzanci spędzili dzień u zaufanego człowieka, a kiedy się ściemniło, wyszli na „polowanie”. Straż ich nie zauważyła. Szybko podłożyli minę i po dwudziestu minutach wywalili ciężko wyładowany pociąg jadący na front. Niemcy potracili głowy, ocknęli się nie od razu i otworzyli ogień z opóźnieniem. Partyzanci okrężną drogą wrócili do wsi, wypili sobie, dobrze podjedli i ułożyli się na słomie do snu. Ale mieli jeszcze zapasową minę

1 byłoby grzechem nieść ją z powrotem do puszczy. Toteż następnej nocy, zrobiwszy porządne koło, podszli do kolei w innym miejscu, w lesie. Zdawało się, że Niemcy ich tam nie oczekiwali i że wszystko powinno pójść nie gorzej aniżeli poprzedniej nocy. Po nasypie przechadzali się jednak strażnicy, toteż partyzanci ukryli się za zwalonymi drzewami, niedaleko toru. Musieli zaczekać. Marzli przez trzy godziny na niekiepskim, noworocznym mrozie, zanim doczekali odpowiedniej chwili. Patrolujący żołnierze poszli się zagrzać do bunkra, a oni podłożyli minę. Na kolei panował spokój, niedawno przejechał pociąg z frontu, wkrótce powinien pojawić się eszelon idący na front. I nagle Kołobowowi przyszło do głowy, że w pośpiechu nie zamaskowali ładunku pod szyną jak należy. Strażnicy mogliby przy obchodzie zauważyć ślady partyzanckiej roboty i wszcząć alarm. Lewczukowi okropnie nie chciało się przelazić drugi raz przez zasypany śniegiem leśny" zawał, przeczuwał, że to się dobrze nie skończy. Ale nie sposób było skłonić Kołobowa do zmiany zdania, jeżeli coś już sobie wbił do głowy. Dowódca mógł co prawda wysłać n; nasyp kogoś innego — Lewczuka, Filipowa albo Ku ka, lecz nie wysłał nikogo — poszedł sam.

Niełatwo było przelazić przez bezładnie zwalone wzdłuż toru, gałęziste drzewa — brzozy i sosny. Zanim Kołobow pokonał tę przeszkodę upłynęło sporo czasu i coś się zmieniło na linii kolejowej. Być może strażnicy wyszli na obchód przed czasem, a być może pojawiła się jakaś wyższa kontrola. Spoza zwalonych drzew nie bardzo było widać co tam się działo, ale nagle rozległ się krzyk. Seria smugowych kul ciach-nęła po nasypie i ze świstem przeleciała nad zawałem. Potem uderzył karabin maszynowy z bunkra. Starając się jakoś pomóc dowódcy, wszyscy trzej zaczęli strzelać do bunkra z karabinów, ale cekaem sygnął po zwalonych drzewach taką gęstą serią, że pochowali głowy za grubymi pniakami i z pięć minut leżeli bez ruchu, nie ryzykując wysuwania nosa spoza drzew. I wtedy właśnie Lewczuk usłyszał dobiegający z daleka słaby krzyk Kołobowa i zrozumiał, że przytrafiło się nieszczęście.

Cekaem zachłystywał się, obsypując zawał ognistymi strumieniami kul, patrolujący żołnierze strzelali seriami spoza nasypu, a Lewczuk przelaził przez wywalone drzewa i poplątane gałęzie, przesuwał się w stronę toru. Zgubiwszy rękawice i rozdarłszy rękaw waciaka, przelaził wreszcie przez zawał i od razu natknął się na Kołobowa, leżącego w zakrwawionym kombinezonie maskującym koło sękatej, rozcapierzonej sosny; żeby pokonać tę przeszkodę dowódcy nie starczyło sił. Lewczuk w milczeniu schwycił go pod pachy i poczołgał się z nim dookoła wywróconego drzewa. Potem pod nawałą ognia przerzucił Kołobowa nad drugą sosną, leżącą skosem do toru. Plutonowy nic nie mówił, jęczał tylko przez zaciśnięte zęby, a z nogawki jego ubrania maskującego ściekała na śnieg czarna krew. W ciągu piętnastu minut, pocąc się na mrozie, Lewczuk pokonał zawał, wyczołgał się z niego po leśnej stronie i nie znalazł

122

chłopaków. Pomyślał, że być może odbiegli stąd dalej do lasu, pod ogniem z bunkra zarzucił na siebie ciało Kołobowa i schyłony do samej ziemi, ruszył szybko pomiędzy drzewa — byle dalej od tego ogniowego piekła, grzmiącego, huczącego i klekoczącego na dziesięć chyba kilometrów dookoła.

Lewczuk sądził, że Filipów i Kruk czekają na niego gdzieś w pobliżu, ale nie natknął się na nich, chociaż brnął już przez sośniak od pół godziny. Porządnie zmęczony upadł na śnieg i długo się nie podnosił. Strzelanina z tyłu jak gdyby przycichła, tylko cekaem trzeszczał jeszcze. Tutaj, w lesie, ognistych smug nie było już jednak widać. To dodawało otuchy. Kołobow w dalszym ciągu nic nie mówił, ale od czasu do czasu zgrzytał zębami i nietrudno było się domyślić, że dowódca oberwał bardzo mocno. Trzeba było opatrzyć jego ranę. Lewczuk odpiął mu spodnie, ale okazało się, że wszystko zalała gęstniejąca krew. Przerażony, odpiął swój wąski pasek od spodni i dwukrotnie owinał udo Kołobowa powyżej rany, żeby przynajmniej krew przestała płynąć. Potem, wsłuchując się w okoliczne odgłosy, długo niósł dowódcę przez przycichającjr, zastygły w czujnym milczeniu las. Chłopaków nigdzie nie było. Lewczuk najpierw rozżołościł się, sądząc, że tamci uciekli, ale lak daleko uciekać nie było oczywiście potrzeby. To znaczy... To znaczy, że Filipów i Kruk zostali w zawałe, pewnie na zawsze. Nietrudno było zginać w takim ogniu.

Koło północy Lewczuk wyszedł z lasu. Sosny skończyły się, a zaczęły się jakieś zarośla, krzaczaste

zagajniki, zrobiło się zupełnie cicho. Na bezkłęskowym niebie migotały całe roje gwiazd, mróz ścisnął coraz silniej. Lewczuk poczuł go najpierw rękami, którymi ciągle podtrzymywał na sobie Kołobowa. Ręce marzły tak, jak gdyby miały zamiar całkiem się

123

odmrozić. Nogom w walonkach i reszcie ciała było gorąco, w środku aż paliło z wysiłku, para waliła z ust, a ręce zgrabiały tak, że Lewczuk ledwie mógł to znieść. Kołobow nie odzywał się, był nieprzytomny albo po prostu nie mógł mówić.

Nie wiadomo jak daleko odeszli od kolei ani też ile upłynęło czasu. Lewczuk coraz pilniej rozglądał się po okolicy i nie mógł jej poznać. Nie wiedział w jakim kierunku iść, bo poprzednio nie zwracał uwagi na drogę. Przedtem prowadził ich Kruk, który teraz gdzieś przepadł. Duży las się skończył, zaczęły się krzaki, zagajniki, a może nawet zamrzłe bagna i nic nie było widać. Dobrze jeszcze, że niezbyt głęboki śnieg nie utrudniał marszu.

Z upływem czasu przystanki robiły się coraz częstsze, zmęczenie coraz bardziej dawało znać o sobie, ręce marzły i Lewczuk nic na to nie mógł poradzić. Tracił siły. Z oczu płynęły mu łzy, tak zaciekle wpatrywał się w zimowy mrok. Myślał, że może znajdzie się gdzieś jakaś wioska, tylko ona mogła uratować ich obojgu. Nadziei było jednak niewiele — okolica wyglądała dziko, należała do takich, w których nieprędko znajdzie się wieś, zwłaszcza po ciemku. Lewczuk przykłękał, zarzucał na siebie okropnie ciężkie, coraz cięższe ciało Kołobowa i któryś już raz z rzędu ruszał naprzód, w noc. Brnął przez zarośla i zmarniałe krzaki w tę stronę, gdzie, jak mu się wydawało, była puszcza.

Zauważył je w czasie jednego z przystanków, kiedy tylko ułożył na śniegu ciało Kołobowa i rozdartym rękawem kombinezonu maskującego wytarł spocone czoło. Wydawało się najpierw w zimowym mroku, że to człowiek, który także wyszedł z rzadkiego zagajnika i przypadł teraz za jakimś krzaczkiem. Ale spojrzawszy uważniej, Lewczuk zrozumiał — to wilk! Wilk stał na śniegu o pół setki kroków od ubra-

124

nych na białą, zmordowanych ludzi i wpatrywał się w nich z uwagą — jak gdyby na coś czekał.

Lewczuk nie przestraszył się za bardzo — też mi coś — wilk! Mieli przecież karabin i automat Kołobowa, co mógł im zrobić zgłodniały wilk? Lewczuk trochę się uniósł, usiadł równo i dwa razy machnął ręką: A pódziesz, głupi!

Ale wilk zastrzygł tylko uszami i nieznacznie poruszył mordą. Koło niego nie wiadomo skąd pojawił się jeszcze jeden, a potem dwa takie same jak pierwszy — wychudzone, czujne, gotowe na wszystko drapieżniki. Lewczuk poczuł, że rozgrzane od wysiłku wnętrze ogarnia mu chłód: cztery wilki w takim położeniu to już nie żarty. Sądząc, że wilki być może rzucą się na nich, dotknął wiszącego na piersiach automatu i zgrabiałymi palcami namacał rękojeść zamka. Ale wilki nie miały chyba najmniejszego zamiaru rzucać się na ludzi, stały tylko pomiędzy drobnymi krzaczkami — trzy z przodu i jeden trochę z tyłu. Czekały na coś. Tylko na co?

Trwoga udzieliła się również Kołobowowi, plutonowy przesunął się za plecami Lewczuka i zaczął także wpatrywać się w ciemność, rozproszoną trochę przez blask śniegu.

— Skurczybyki! Tego jeszcze brakowało...

Nie spuszczać oczu ze zwierząt Lewczuk wstał i zrobił kilka kroków w ich stronę. Wilki też zrobiły kilka kroków, odstępując, ale szczególnego strachu nie wykazywały. Co z nimi począć? Lewczuk wrócił do Kołobowa, zarzucił go sobie na plecy i ruszył dalej. W marszu trudno mu było obserwować wilki, głowę miał pochyloną i ledwie mógł patrzeć pod nogi, czuł jednak, że wilki nie odczepiły się. Szły z boku, równoległą trasą i ciągle na coś czekały. Może trzeba było ciachnąć po nich serią z automatu, wtedy dałyby chyba spokój. A może odwroci nie — nie należało ich zaczepiać, dopóki one nie zaczepiały. Być może miały zamiar iść w ten sposób przez pewien czas, a potem skierować się gdzieś w swoją stronę. Po co im ludzie?

Jednakże drapieżniki miały chyba jakieś plany co do tych dwóch doszczętnie zmordowanych, ledwie żywych ludzi. Nie odczepiały się. Krzaki zrzedły, z przodu zabielała ogromna przestrzeń pola i w Lewczuku ożyła nadzieja. Powinna tu być jakaś wieś i te stwory powinny pójść precz. Na skraju pola Lewczuk opuścił się kolanami w śnieg, potem legł na boku, zwałił z siebie Kołobowa i

nie od razu podniósł głowę, żeby zobaczyć co się stało z wilkami. Ale wilki nie odeszły, wyraźnie nabrały odwagi i zbliżyły się jeszcze bardziej. Rosły wilk na przedzie stanął mniej więcej o czterdzieści kroków od ludzi i uparcie na coś czekał. Jedno ucho miał trochę krótsze od drugiego. Dwa inne wilki stały trochę dalej, a czwartego nie było widać i Lewczuk zdziwił się: gdzie on przepadł? Ale niedługo trwało to zdziwienie. Obejrzał się i zobaczył, że za kępą krzaków, przy której śnieg był głębszy, truchtało jeszcze jedno stadko. Na czystym, przymglonym trochę przez odległość śniegu dobrze było widać cztery zwierzęta, szybko i zreżnie obchodzące ludzi z drugiej strony.

Lewczukowi zrobiło się niedobrze. Przerzucił przez głowę ramię automatu, zdecydowany odegnąć wreszcie tę watahę. Ale nie zdążył jeszcze odciągnąć zamka, kiedy obok niego słabo poruszył się Kołobow.

— Stój, co robisz?

— A co? Zobacz, jest ich już siedem.

— Gdzie jesteście? Widzisz? — ciężko wychrypiał Kołobow. Lewczuk wpatrywał się w mrok, starając się odgadnąć, gdzie właściwe są. Rzeczywiście, przeszli przez cały las, a z przodu coś szarzało, ale nie były to ani krzaki, ani badyle polne. Lewczuk przy-

126

rzał się dokładniej i po chwili zrozumiał, że były to szuwały, do połowy zasypane przez śnieg. Zamajaczyła biała, równinna przestrzeń. Z boku tego pustkowiecia wznosił się chyba pagórek, ale w słabym świetle gwiazd, pod ciemnym niebem, niczego właściwie nie było widać wyraźnie.

— To Zarowskie Jezioro — powiedział po chwili Kołobow i opadł na śnieg.

— Zarowskie?

Lewczuk mocno się zdziwił — gdzie też oni zaszli? Ale Kołobow miał chyba rację — ta czyściutka, zaśnieżona równina za szuwarami, którą Lewczuk wziął za pole, okazała się jeziorem. Jezioro nie stanowiło dla nich oczywiście wielkiego niebezpieczeństwa, na pewno zamarzło.

Niebezpieczeństwo było w czym in-ym i dlatego Lewczuk powstrzymał się przed puszczeniem w wilki serii z automatu. Na tym długim, ledwie widocznym w ciemnościach pagórku leżała spora wieś Zarowie, którą partyzanci obchodzili zawsze jak największym kołem, bo był tam niemiecki garnizon z drewnianymi i betonowymi schronami, tranzejami, całodobową wartą i patrolami. Strzelanie tutaj, pod nosem garnizonu, to po prostu samobójstwo. Zwłaszcza w ich sytuacji.

No, ale co wobec tego zrobić z wilkami?

Wilki poczuły chyba również, że ich terytorium wkrótce się skończy i zaczną się inne, na którym nie będą już mogły gospodarować. Nabrały odwagi. Obeszły ludzi z dwóch stron i stanęły na śniegu, czekając na to co zrobią ludzie.

Jednakże naprzód można było iść.

Żeby wykorzystać tę jedyną możliwość, Lewczuk przerzucił pas automatu przez szyję, zebrał się w sobie, wyteżył, zarzucił na plecy ciało Kołobowa. W miejscu, w którym leżał ranny pozostała ciemna pluma krwi. Lewczuk pomyślał, że to krew wabi wilki,

127

obiecując im żer. Ale diabli z nimi! Jeżeli już podeszli pod Zarowie, to trzeba teraz co prędzej przejść przez jezioro na skos, a tam jest chyba jeszcze jedna wieś i być może nie ma w niej Niemców, a więc liczyć można na pomoc dobrych ludzi.

Brakowało jeszcze z dziesięć kroków do szuwarów, kiedy Lewczuk nieoczekiwanie zapadł się jedną nogą głęboko w śnieg. Rzucił się w bok i druga noga wpadła również. Poczł od razu, że natrafił na wodę, pewnie było tu źródło albo nie zamrożone bagno. Mieszając śnieżną kaszę jakoś tam wygramolił się na twarde, czując, że zamoczył nogi aż do kolan. W walonkach chlupała zimna woda. Lewczuk zaklął ze złością, przypomniawszy sobie, że przed wyjściem na tę akcję specjalnie zamienił się z Baszłykiem na obuwie — dał mu swoje porządne buty, a wzdął walonki. Nie zdążył nawet na dobre odejść od wyrwy, kiedy mróz schwył jego stopy w stalowe kleszcze. Jak miał iść dalej?

Niosąc na grzbiecie Kołobowa ledwie się dowlókl do brzegu jeziora. Przeszedł przez szuwały, zapadając się jeszcze dwa razy, ale na szczęście nie tak głęboko jak poprzednio, nie do samej wody.

Zresztą teraz było już wszystko jedno, można byłoby iść nawet po wodzie; nogi przemokły aż do kolan i marzły. Szczególnie trudno szło się po lodzie; w niektórych miejscach wiatr zdmuchnął z niego śnieg i wygładził powierzchnię. Lewczuk zastukał twardymi walonkami, pośliznął się i omal nie przewrócił. Przeszedł jeszcze kawałek, ale poczuł, że musi się zatrzymać, bo inaczej upadną obydwoj. Ostrożnie opuścił się kolanami na przysypany śniegiem lód i równie ostrożnie ułożył obok siebie Kołobowa.

Wilki przez pewien czas biegły leniwym kłusem w ślad za krótkouchym przewodnikiem; kiedy jednak zatrzymał się przywódca stada, zatrzymały się

128

także pozostałe zwierzęta. Czekwały na coś i Lewczuk stracił nagle cierpliwość. Trudno było znieść te wszystkie nieszczęścia, które raz za razem sypały sąd dzisiaj na jego głowę, toteż Lewczuk głośno i ze złością zaklął, dając upust swojej rozpacz. Nie można było ani strzelać, ani biec. Czy rzeczywiście przyjdzie im zginąć na tym przeklętym jeziorze, o pół kilometra od garnizonu pełnego Niemców i policji?

Wilki wyczuły chyba ludzika bezradność, bo zrobiły się śmielsze, a nawet zuchwałe. W tym czasie, kiedy Lewczuk i Kołobow nieruchomo leżeli na lodzie, wilki obeszły ich półkolem i odcięły drogę. Z tego zwierzęcego półkola można było wyjść tylko do tyłu, z- powrotem do lasu, była tam w wilczym szyku przerwa, szeroka na dwadzieścia kroków. Trzy pozostałe kierunki wilki zablokowały, szeroko rozstawwszy się na lodzie. Nie podchodziły jednak bliżej, lecz przypatrywały się ludziom z daleka, nastroszone i czujne.

— Saszka, widzisz? Zobacz co się dzieje! — powiedział zdenerwowany Lewczuk i Kołobow, z wyraźnym wysiłkiem, na moment podniósł głowę.

— Dobra, idź — powiedział.

— Jak to? One cię tu przecież...

— Idź. Zostaw automat i idź.

— A jeżeli one... Skoczą na mnie?

— Nie. Przecież zostaną ja... A ty przyprowadź konia.

„Rzeczywiście” — mignęło w głowie Lewczuka. To było wyjście. Spróbuje wyrwać się z tego koła, dobiegnie do wsi i przyprowadzi konia. Przyprowadzi ludzi. Jeżeli tylko Kołobow dożyje. Jeżeli wilki wypuszczą Lewczuka. I jeżeli we wsi Lewczuk nie natknie się na Niemców. I jeżeli Niemcy przedtem' jeszcze nie natkną się na Kołobowa... Za dużo na-

8 — Stado wilków

129

zbierało się tych wszystkich „jeżeli”, ale nic innego im przecież nie pozostawało.

Z wysiłkiem podniósł się na nogi, które na szczęście słuchały go jeszcze, i schwycił karabin.

Wprowadził nabój do komory naboju, z trudem przesuwając tępą rękojeść zamka odmrożonymi rękami. Połknął ściskający gardło kłębek i rzucił się w sam środek wilczego stada. Dobrze wiedział, że wilki mogą go nie wypuścić, rozerwać na kawałki. Karabinem mógł się bronić tylko tak jak kijem, strzelać nie było można: pierwszy strzał przyniosłby zgubę jemu i Kołobowowi. Szczęśliwie się złożyło, że Niemcy z Zarowia nie zobaczyli ich jeszcze. Przydały się własnej roboty kombinezony maskujące, specjalnie włożone przed tą akcją.

Wszystkie ostatnie przeżycia sprawiły, że Lewczuk zatracił poczucie własnego istnienia. Bez żadnego strachu, desperacko rzucił się na stado. Widział przed sobą tylko najbliższego wilka, który podciągnął pod siebie sprężysty ogon i także przyglądał się człowiekowi, zaskoczony zapewne porywem jego odwagi. Lewczuk kierował się prosto na zwierzę, odbezpieczony na wszelki wypadek karabin trzymał w rękach jak kij, gotów walnąć nim wilka, jeżeli ten nie zechce ustąpić mu z drogi. I wilk ustąpił. Wyszczrzył zęby, przypadł na przednie łapy jak przed skokiem, ale zrozumiałszy chyba, że człowiek zdecydowany jest na wszystko nie skoczył i nie pobiegł, lecz z niezadowolaniem odszedł o kilka metrów w bok, do sąsiada. Nie zwalniając i nie odwracając się nawet, zezując tylko trochę, Lewczuk przeszedł jeszcze z dziesięć kroków i znalazł się poza wilczym kręgiem.

Wilki nie miały zamiaru go gonić — od nowa zamknęły swoje koło i przesunęły się do środka. Lewczuk, który miał już ruszyć biegiem, przystanął na sekundę. Z tego miejsca prawie nie było widać Kołobowa, że

130

względu na ubranie ochronne, ale za to wilki widoczne były jak na dłoni. Zwierzęta powoli zaciskały krąg, równocześnie ścisnęło się Lewczukowi serce. Tracąc panowanie nad sobą rzucił się wstecz, do Kołobowa, ale po chwili zrozumiał, że w ten sposób nie może pomóc dowódcy. Pobiegł przez zamrznięte jezioro najszybciej jak mógł.

Biegł, bojąc się obejrzeć; pośliznął się, obuty w swoje zlodowaciałe walonki i upadł, boleśnie uderzając o coś udem. Podniósł się i dopiero teraz obejrzał -j- kilka niewyraźnych plamek ledwie szarzało w przymglonej dali. Nie było jeszcze ani krzyków, ani strzałów. Pobiegł więc jeszcze prędzej. Biegając, zaczął jednak wyczuwać, że nie zdąży, że wilki prędzej rozprawią się z Kołobowem niż on dobiegnie do chutoru, znajdującego się zresztą diabli wiedzą gdzie.

Biegł jednak dalej, znowu oblewając się potem. W piersi czuł żar, duchotę, co chwila oglądał się i nadśluchował: czekał na strzały lub na wilczy skowyt. Ze wszystkich sił wpatrywał się też w ciemność przed sobą. Gdzie jest ta wieś? Nogi stępiały w biegu — może się rozgrzały, a może zmarzły na amen; przestał je czuć i pomyślał, że trzeba byłoby jak najprędzej zmienić obuwie i rozetrzeć nogi śniegiem, bo inaczej przepadną. A bez nóg przepadnie i on sam.

Kiedy nocną ciszę rozerwała z tyłu grzmiąca seria, Lewczuk stanął jak wryty i przestał oddychać. Zdawało się, że to Kołobow nie wytrzymał. Ale po chwili łupnęło jeszcze i jeszcze — ostre nocne echo potoczyło się nad jeziorem we wszystkie strony. Za głośno — pomyślał Lewczuk — automat nie może chyba strzelać. Na potwierdzenie domysłu huknęły karabiny. Doleciały też ludzkie krzyki i Lewczuk zupełnie stracił głowę.

Czuł, że to nie wilki napadły na Kołobowa, że stało się coś gorszego. Wilki nie miały z tym nic wspólnego

1.11

go, strzelali Niemcy. Tylko skąd? Na słuch z Zarowia, czy też zobaczyli już Kołobowa na jeziorze? Czując, że plutonowy ginie, Lewczuk co sił w nogach pobiegł z powrotem.

Z trudem przestawiał nogi, obute w zamarzające walonki. Na jeziorze ciągle jeszcze strzelano, dolatywały krzyki i Lewczuk nie wiedział co ma zrobić, kiedy już się zbliży. Biegł jednak. Miał sprawny karabin, setkę naboju w torbie i dwie cytrynki w kieszeniach. Byle tylko Kołobow żył jeszcze. Byle tylko zastać go żywego! Automat Kołobowa milczał — uparcie i podejrzanie. Strzelał cekaem, strzelały karabiny, ale automatu wcale nie było słyhać. Dławiony złymi przecuciami, Lewczuk biegł mimo wszystko, chyba na spotkanie własnej zguby, bo szansę na uratowanie Kołobowa były znikome.

A może dobiegnie do niego przed Niemcami?

Ta myśl dodała mu trochę sił i zmusiła do przyspieszenia biegu. Strzelanina ucichła. Dwa razy, chyba od strony Zarowia dobiegały jakieś okrzyki. Lewczuk pomyślał, że być może Niemcy schodzą dopiero z pagórka na zamrznięte jezioro. Jeżeli tak, to on „powinien zdążyć...”

Pomylił się jednak — Niemcy "nie schodzili z pagórka, włązili już z powrotem pod górę, skończywszy zamiast wilków swoją wilczą rozprawę.

Zrozumiał to, gdy zobaczył te same szuwały, przy których wpadł w wodę i w pobliżu których zostawił Kołobowa. Rozpoznał nawet miejsce na śniegu. Ludzkie nogi i wilcze łapy wydeptały w nim mnóstwo śladów. Pomiedzy śladami ciemniały plamy krwi. Nie było nigdzie ani wilków, ani Kołobowa. Wiatr powoli zdmuchiwał ze śniegu kłaczki ciemnej sierści — wilkom też się chyba dostało. Na sekundę Lewczukowi zrobiło się żal tych nie gorączkujących się, trochę niezdecydowanych, chociaż na pewno wygłodniałych

132

istot, których przed chwilą jeszcze nienawidził. Ciało Kołobowa wygniotło w śniegu szeroką bruzdę. Siad prowadził w stronę Zarowia, ciągle jeszcze dolatywały stamtąd zgłuszone przez odległość ludzkie głosy, śmiechy i znajome, złe przekleństwa.

Ledwie wstrzymując się od płaczu, Lewczuk postąpił chwilę, podreptał w śniegu i puścił się biegiem

przez jezioro.

Trzeba było ratować nogi.

14

Po kilku minutach ocknął się, jak gdyby wcale nie spał. Usiadł. Jawa trwała nadal i najpierw dobiegł do jego świadomości daleki łoskot wystrzałów, huczących być może ciągle na tej samej grobli. Posiedział chwilę, opierając się ręką o mech, ponadślu-chiwał, nie od razu otwierając oczy, a kiedy je w końcu otworzył, to i tak niczego nie zobaczył — była noc. Głowę miał otepiałą i ciężką, jak po przepiciu, najchętniej upadłby znowu na ziemię i tak leżał. Wsłuchując się jednak w strzelaninę, określił, że grzmiała teraz trochę w bok od grobli, tak jakby w Kruikowskim Uroczysku. To znaczy, że przyszła kolej na Brygadę imienia Pierwszego Maja, ekspedycja pacyfikacyjna dobrała się do niej i brygada musiała wstąpić w bój.

To co zdarzyło się w ciągu dnia, przepływało przez pamięć jak maligna. Najwyraźniej potrzebny był czas, żeby szczegółowo przypomnieć sobie wszystkie przeżycia i uporządkować je. Pewne było, że się uratował. Nie spłonął, wykręcił się od kuli, uciekł do lasu i mógł teraz pójść dokąd chciał. Ale nie odczuwał z tego powodu żadnej radości. Zagłuszając wszystkie inne odczucia żyła w nim świadomo-

133

mość wielkiego nieszczęścia, przed którym nie było już ratunku. Kiedy zeszłej nocy nie chciał się podjąć tego zadania, jego serce wiedziało już, przeczuwało, że to nie może skończyć się dobrze. Ale wówczas niepokoił się właściwie o coś innego, tego co się zdarzyło nie był w stanie przewidzieć. Wyprawiano go przecież do spokojnej i bezpiecznej strefy, zajmowanej przez Brygadę imienia Pierwszego Maja, podczas gdy inni szli na przełamanie, w samo piekło blokady. Ale jak widać wielkie nieszczęście czatuje właśnie tam, gdzie nikt się go nie spodziewa.

Usiadł prosto i nie przestawał nadśluchiwać. W pobliżu było cicho, tak cicho jak może być tylko pogodną nocą w bezludnym lesie. Do czujnych uszu dolatywały co prawda różne dźwięki i szelesty, ale przez wiele miesięcy partyzanckiej wojny Lewczuk na dobre przywykł już do lasu i wiedział, że w nocy słuch łowi wiele dźwięków niepotrzebnie, a znaczna ich ilość jest tylko złudzeniem. Jeżeli jest gdzieś coś naprawdę podejrzanego, to nie ma co się przysłuchiwać — niebezpieczeństwo samo daje znać o sobie, nagle. Mocniejszy podmuch wiatru w wierzchołkach drzew, upadek suchej gałązki, senny łopot ptasich skrzydeł — takie tylko dźwięki rozlegały się w pobliżu. Uwolniwszy się pomału od swojej sennej maligny, Lewczuk z minutę jeszcze wsłuchiwał się w odgłosy dalekiej strzelaniny i zdecydował, że trzeba się przedrzeć do Brygady imienia Pierwszego Maja. Można to było zrobić tylko w nocy, w dzień znowu wlaźłby na tych z ekspedycji pacyfikacyjnej.

Rozkołysał ciało i wstał, przesunął parabel-lum z brzucha na bok. Odgniecione we śnie ramię bolało o wiele bardziej niż wczoraj. Być może trzeba było poprawić opatrunek, ale postanowił zrobić

134

to jutro, kiedy się rozwidni. W lesie było zupełnie ciemno i aby o nic nie zaczepić wyciągnął przed siebie rękę i pochylił głowę, chociaż sosnowy las był w tym miejscu rzadki i prawie pozbawiony poszycia. Pamiętał z grubsza drogę, którą przybiegł tutaj godzinę czy dwie temu. Trzeba było znowu dojść do trzęsawiska i pójść skrajem lasu. Nie za bardzo wiedział, jaka okolica będzie dalej, ale przypuszczał, że orientując się według strzałów i gwiazd, nie zabłądzi. Byle tylko nie naskoczył na Niemców.

Długo brnął przez leśną ciemność. Jak ślepy: wyciągając rękę i po omacku omijając drzewa. Nogami ostrożnie badał ziemię porośniętą jakimiś chaszczami z mnóstwem sterczących pni, patyków i sztywnych jak druty łodyg paproci. Najpierw trzeba było wyjść z lasu, wydawało się, że jego skraj był już blisko. Po wyjściu z lasu można byłoby przyspieszyć kroku. Od czasu do czasu przysłuchiwał się strzelaninie, która to narastała, to znowu z jakichś powodów cichła. Bardziej jednak zajmował Lewczuka sam marsz, nie mógł też przestać myśleć

o stodole. Nie miał pojęcia co się stało z Kławą i Gry-bojedem. Zresztą Grybojed najpewniej został

już tam na zawsze, bo czyż mógł wyskoczyć przez drzwi? Ale gdzie podziła się Kława?

Wyczołgała się ze stodoły

I jakby zapadła się pod ziemię — Lewczuk nigdzie już jej nie zobaczył.

Ocknął się i zauważył, że wcale-hie kieruje się wystrzałami, lecz idzie swoją wczorajszą drogą, że strzelanina dawno już została gdzieś tam z lewej strony. Nie zawracał jednak — teraz dopiero rozumiał, że musi iść właśnie tam, w stronę gumna. Nie mógł nigdzie stąd odejść, nie zobaczywszy tamtej" podwórka.

Uświadomił to sobie z całą jasnością. Zaczął si»: '

I

niecierpliwić, aż coś w nim zatrzepotało — coś żalosego, nie dającego się uciszyć. Przestał zwracać uwagę na krzaki i patyki pod nogami i ruszył tak szybko jak tylko mógł. Byle tylko nie upaść. Szedł tam, gdzie jak sądził powinna być ich straszna stodoła. Drżał cały ze zdenerwowania, od nowa ostro przeżywając to, co było wczoraj. To co jeszcze przed godziną wydawało się sukcesem, stało się teraz nieszczęściem. Pomyślał, że nie powinien był zostawiać Grybojeda i Kławy, trzeba było chyba zrobić coś innego. Nie wiedział co, ani teraz, ani wtedy, zdawało się przecież, że ratuje dziewczynę, Grybojeda i siebie samego. Coraz wyraźniej uświadamiał sobie "jednak, że zrobił błąd. Musiał coś zrobić nie tak jak trzeba, bo wątpliwe przecież, żeby komuś udało się wyskoczyć z tego piekła, w którym on też nieomal nie zostawił swoich kości. I dlatego właśnie musiał wrócić do stodoły; zdawało mu się chwilami, że można tam jeszcze coś zmienić, zrobić lepiej. Rozumiał oczywiście, że teraz nic już nie robi, że wszystko co było do zrobienia zrobili na pewno Niemcy. Ale ciągnęło go do stodoły mimo wszystko, tak jak złoczyńcę na miejsce przestępstwa.

Wynurzył się z krzaków niedaleko od miejsca, w którym przed wieczorem wszedł do zagajnika. Od razu zrobiło się jaśniej. Nad otuloną mrokiem, letnią ziemią wisiało świetliste niebo z rzadkimi gwiazdami i czystym pasmem Drogi Mlecznej. Na łące trajkota-ły pasikoniki, a z przodu szarzało pewnie to samo żyto, w którym omal nie znalazł swojej śmierci. Gdzieś tu w pobliżu powinno być też gumno.

Zatrzymał się na chwilę, wstrzymał oddech i zaczął nadśłuchiwać. Ale Niemcy chyba już odjechali po wykonaniu swojej straszliwej jak zawsze roboty; wątpliwe, aby czekali tutaj na niego. Na wszelki wypadek wyciągnął jednak parabellum z kabury, poło-

136

żył wielki palec na bezpieczniku i po cichu ruszył skrajem lasu w stronę gumna.

Spodziewał się zobaczyć ogień (niemożliwe, żeby gumno spłonęło tak szybko do szczytu), ale z przodu był tylko przymglony polny półmrok i chociaż Lewczuk wyteżał wzrok, resztek stodoły nie mógł nigdzie dojrzeć. Pomyślał, że uciekł wczoraj żytem o wiele dalej niż sądził. A może wyszedł teraz z lasu w innym miejscu i w ogóle szedł nie w tym kierunku? Ale niedaleko stodoły biegła przecież droga, której jeszcze nie przeciął. To znaczy, że gumno i wieś były jednak przed nim. Rozsądziwszy to, poszedł dalej z większą pewnością siebie, ciągle wpatrując się w ciemność.

Stąpnał zniecka w jakiś dołek i omal nie upadł, a kiedy się wygramolił, zobaczył, że za rozłożystym krzakiem słabiutko połyskuje ogień. Wydawało się, że to daleko, bo ogień prawie nie świecił, czerwieniał tylko nad żytem. Lewczuk aż przysiadł, znieruchomiał koło krzaka. Nigdzie chyba nie było nikogo, pasikoniki bez przerwy trajkotały w zbożu i w trawie i tylko za lasem huczała strzelanina. Odgłosy strzałów dobiegały jednak z daleka i nieznacznie tylko mąciły nocną ciszę.

Lewczuk zaczął się podkradać do pogorzelniska — ostrożnie i powoli. Po każdym dziesięciu czy piętnastu krokach zatrzymywał się, przysiadł i przepatrywał jaśniejący skraj nieba: czy coś nie zamajaczy na jego tle? Ale wszędzie tutaj panował już chyba spokój i gdy Lewczuk wysunął się z żyta, znalazł się nagle tuż przy resztkach stodoły.

Nie od razu ją poznał — opalona, bez strzechy, o połowę niższa, bo górne bierwiona ścian spaliły się zupełnie i zostały tylko dolne, żarzące się w niektórych miejscach. Dymiła chyba jeszcze, bo gorzki smród czadu truł dookoła powietrze. Gdyby Lewczuk

137

stał w tym miejscu, w którym kiedyś stała chata, zobaczyłby część gumna, zajmowaną przez suszarnię; było tam więcej żaru i dymu, a nawet tu i ówdzie trzepotały na wietrze niewielkie jęczyczki płomienia, oświetlającego trochę żytnią niwę i czarne, opalone liście jabłoni. Ale on podszedł do gumna od strony olszyn. Postanowił zajrzeć do środka przez drzwi, przy których zostawił wczoraj Grybojeda i przez które wyskoczyła- Kława.

Nie wychodził na drogę, bał się drogi. Po cichu wylazł z żyta i ruszył samym jego skrajem, wysoko podnosząc stopy, aby nie narobić hałasu. Odległość od żyta do stodoły wydawała mu się teraz większa niż wczoraj, kiedy oceniał ją, patrząc przez szczelinę między bierwionami. Zatrzymał się, przysiadł, po-nadsłuchiwał trochę. Potem wstał i starając się nie za bardzo szeleścić w życie, dużym kołem obszedł suszarnię. Spodziewał się, że być może zobaczy gdzieś Kławę, zauważyłby ją, gdyby leżała na oświetlonej w tym miejscu ziemi, ale chyba nie było jej tutaj. Zresztą wątpliwe, żeby mogła tu być — pomyślał — Niemcy zabrali ją pewnie i żywą czy martwą odwieźli do miasteczka. I Grybojeda także. Chciał jednak zobaczyć na własne oczy, że nie ma tu Kławy ani starego. A potem mógłby już iść do brygady.

Spod jabłonki widać było całe podwórko, na którym wczoraj gotował kartofle. Można było nawet zauważyć czarną plamkę po ognisku na szarej trawie. Lewczuk stanął naprzeciwko wrót do stodoły. Jedna ich połówka, nadpalona i gęsto podziurawiona kulami, wisiała krzywo na dolnym zawiasie, a druga, oderwana, poniewierała się na ziemi. I nagle Lewczuk zobaczył tam coś przypominającego kształtem ludzkie ciało i nie wytrzymał. Starając się robić butami jak najmniej hałasu podbiegł do drzwi i przyku-

138

znał. Od pogorzeliśka i żarzących się bierwion ciągnęło smrodem, ale można już było wytrzymać — to nie to samo co wczoraj. Lewczuk wyciągnął lewą rękę w bok, macnął nią raz i drugi i natrafiwszy na coś mokrego i lepkiego, cofnął dłoń. Odwracając się od żaru, znowu wyciągnął rękę i wyczuł kosmatą twarz Grybojeda, a także jego nadpalony mundur. Wstał. Zapach czadu i dym unoszący się nad pogorzeliśkiem ciągle jeszcze nie pozwalały oddychać. Lewczuk odpoczął trochę, przykucnął ponownie i pogrzebał w pobliżu palcami, szukając karabinu Grybojeda, ale znalazł tylko jego baranią czapkę.

Z tą czapką w rękach odstał do tyłu i stał, wpatrując się ciągle w nadpalane resztki człowieka,, którego znał od dawna i który teraz, po swojej śmierci, wywoływał żal i współczucie. Czapka, uszyta z kawałka starej baranicy, nie miała tro-czków do zawiązywania nausznic. Grybojed nosił ją przez całe lato — bał się, żeby słońce nie spiekło mu głowy, uważał, że mogłoby mu to zaszkodzić. Biedak. Tak bardzo kłopotał się o swoją raz już postrzeloną głowę, że nawet bał się przegrzać ją na słońcu. Lewczuk przypomniał sobie tę straszną historię z rozstrzelaniem Grybojeda i z jego zmartwychwstaniem na Czarnoleskich Wypaliskach. Sanitariusz Wierchowiec i on, Lewczuk, grzali się tamtej nocy przy ognisku. Gadatliwy Wierchowiec opowiedział, że w ciągu dnia chłopcy przywieźli z Wysiełek rozstrzelanego przez Niemców Grybojeda, który nie wiadomo jak znalazł się przy swojej opustoszałej zagrodzie i wpadł w łapy żandarmów. Być może po-licaje czatowali tam umyślnie, a być może spotkali chłopca przypadkowo. Tak czy inaczej spalili zagrodę Grybojeda do reszty, a jego samego starszy żandarm postawił koło wierzby i strzelił mu w tył głowy z pistoletu. Nocą natknęli się na Grybojeda chło-

139

pcy ze zwiadu i rozpoznawszy starego, przywieźli do oddziału. Doktor Pajkin próbował coś z nim zrobić, ale już chyba nic nie było do zrobienia. Wierchowiec wyciągnął Grybojeda z szalasu i ułożył pod sosną na słomie, żeby jutro pochować go na pagórku razem z jeszcze jednym zabitym. Siedząc tej nocy przy ognisku, Lewczuk i Wierchowiec pobiadolili trochę nad okrutnym, nawet jak na czas wojny losem starego i zaczęli rozmawiać o czymś innym. Nie obejrzel się nawet, kiedy ktoś cichaczem podszedł do nich z tyłu i zaczął usadawiać się przy ognisku, rozcierając ręce i mruczając pod nosem, jakby nigdy nic:

*— Pogrzeję się tu u was. Skostniałem, cholera...

Słyszając znajomy głos, Wierchowiec omal nie podskoczył ze zdumienia, odwrócił się i wybąkał: — Grybojed, coś ty?...

»

— Zmarzłem, mówię. Waciak ktoś mi zabrał...

Zacząli się obydwaj wpatrywać w Grybojeda rozszerzonymi oczami, a stary, nie zwracając uwagi na ich przerażenie, spokojnie grzał sobie ręce, wyciągając je do ogniska. Nie powiedział ani słowa o swoim zadziwiającym powrocie nieomal z tamtego świata, a oni nie mieli odwagi, żeby go o to zagadnąć. Rankiem Grybojeda jeszcze raz obejrzał lekarz i zdziwił się także; przez kilka tygodni stary poleżał w oddziale sanitarnym, a potem już w nim pozostał, przy koniach. Rana na głowie zagoiła się, specjalnego bólu Grybojed nie odczuwał; tyle tylko, że prawie całkiem przestał spać i starannie chronił przestrzeloną głowę przed spiekotą.

Nie uchronił jej jednak — przestrzelili mu ją zno*-wu. Tym razem już ostatecznie.

Rozmyślając o tym wszystkim, Lewczuk doszedł do wniosku, że trzeba by było wyciągnąć nadpalane ciało starego ze stodoły i pochować gdzieś w lesie. Bo

140

po co ma tak leżeć i dopalać się — czyż to mało nacierpiał się w życiu?

Wsluchując się ciągle w panującą dookoła ciszę, wsunął pistolet do kabury. Zapiął kaburę i znowu podszedł do wrót. Ale kiedy tylko nachylił się nad Grybojedem, w oddali opętańczo zaszczekał pies, a od strony wioski prysnęła w górę rakietą. Zaskoczony zniechęca, Lewczuk drgnął i zgarbił się w drzwiach, oświetlony jaskrawym światłem. Zaraz jednak odskoczył do tyłu i schował się pod jabłonką. Rakietą, niby ognisty sznurek na niebie, doleciała prawie do samego gumna i o kawałek przed nim spadła na ziemię. Podskoczyła i dopaliła się, jasno oświetlając jakiś pagórek czy też kępę zarośli, której cień ukrył w sobie podwórko. Kiedy tylko rakietą zgasła, Lewczuk z powrotem wskoczył w żyto, przerażony myślą, że go zauważono. Czekał na strzał albo na drugą rakietę. Strzałów jednak nie było, a druga rakietą wzniosła się w niebo z całkiem innej strony — od drogi i lasu — zapłonęła jaskrawo, oświetlając z góry spalone gumno i żyto, oblewając je bezlitośnie swoim nienaturalnym, migotliwym blaskiem. Ale Lewczuk zdążył się już przygotować i natychmiast przysiadł w zbożu, w którym nie tak łatwo było go wypatrzyć. Nie bał się rakiet — bał się strzałów, a jeszcze bardziej psów. To basowe szczekanie w spalonej wsi było mu aż nadto dobrze znajome i przeraziło go bardziej niż cokolwiek innego.

Kiedy i ta rakietą zgasła, Lewczuk przebiegł przez żyto w stronę olszyn, ale nagle zatrzymał się i przypadł do ziemi. Zdawało mu się, że usłyszał głos, a właściwie jak gdyby dobiegający z daleka, dziecinny płacz. Wstrzymując oddech, Lewczuk znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Czy to aby nie upiory pojawiły się w tym życie? — pomyślał ze zdziwieniem, ale znowu, całkiem wyraźnie, usłyszał cichy, pełen

141

ł

skargi płacz malutkiej jeszcze istoty. Prawie umie- 1 rając ze strachu, Lewczuk rzucił się przed siebie — " jak najdalej w żyto.

Być może uciekłyby do lasu, gdyby nie to, że tuż przed jego twarzą rozciąły nagle ciemność pociski świetlne. Bliskie wybuchy kul w olszynach, jak echo, z absolutną dokładnością powtórzyły gwałtowne trzaskanie dobiegającej z daleka serii i Lewczuk znowu rozpląszczył się na twardych grudach żytniej niwy. Teraz wiedział już na pewno, że go zauważono i strzelano do niego z drogi i od wsi; znaczyło to, że ratunek może przynieść tylko ucieczka do lasu, tą samą trasą co wczoraj. Kiedy seria ucichła, Lewczuk natychmiast się podniósł, ale zanim puścił się biegiem, skrzył w zbożu trochę w bok, a nawet do tyłu; nasłuchując przystanął i zobaczył w pobliżu białą plamkę na ziemi. Z nieoczekiwaną nadzieją rzucił się do tej plamki, wiedząc już na pewno co to takiego, schwycił na ręce ciepły, żywy kłębuszek i przytuliwszy go do piersi pobiegł, robiąc w życie szerokie koło. Wszystko to było dziwne, niedorzeczne nawet. Myślał, że Kława także powinna gdzieś tu leżeć, zabita albo żywa. Ale Kławy nie było. Czując, że miesza mu się w głowie, Lewczuk pobiegł przez żyto na skos, w stronę olszyn.

— Och, gady! Gady! — powtarzał z rozpaczą, słuchając coraz bliższego ujadania i skowytu psów. Ale las był już niedaleko, wkrótce, z dzieckiem na rękach, Lewczuk wbiegł w olszyny. Prawie w tym samym momencie wystrzelono nową rakietę, a po krzakach przeleciała długa seria. Jaskrawe

światło, pomieszane z dziwną plataniną cieni, uderzyło od tyłu, kilka smug przecięło w pobliżu mroczne zarośla, syjąc wokół trzaskiem rozrywających kul i połamanymi kawałkami gałązek. Lewczuk upadł na jedno kolano i pomyślał ze strachem, że w ten spo-

142

sób nie ucieknie, że nie może biec z małym po lesie. Ale w polu nie uciekłyby tym bardziej, tam trafiono by go pierwszą serią. Toteż pobnął przez ciemność po omacku, lewym ramieniem rozsuwając gałęzie, wsunawszy dziecko za połą marynarki. Mały jak gdyby ucichł, przebierał tylko nóżkami w mokrej pieluszcze.

15

Pierwszy nieśmiały blask poranka zastał Lewczu-ka na skraju bagna, w rzadkich, kępiastych olszyn-kach.

Zaczynało się rozwidniać, szeroki skraj nieba oblewał daleki, nieziemski blask, krzaki dookoła i porośnięta trawą ziemia pod nocami stały się widoczne. Lewczuk nie miał pojęcia dokąd wiedzie go leśny szlak, ale bez ustanku biegł, szedł, brnął przez hali-zny i olchowe zarośla; przeszedł mokrą, trawiastą łąką i znowu zaszył się w gęstwinie liści. Natrafiwszy na młode, gęsto rosnące świerki nie zapuścił się w środek, ale obszedł je z boku. Ciągłe nadśluchiwał, chociaż wiedział i tak — doganiano go. Z tyłu, przez całą noc, to ciszej, to znowu bardziej zajadłe, groźnie szczekały psy. W ciemnościach odległość zwiększyła się trochę, ale śladu Lewczuka psy nie zgubiły. To znaczy, że na pewno zaczną doganiać go rano.

Z niezwykłą ostrożnością niósł za pazuchą malutkie ciepłe ciało i myślał: żeby chociaż natrafić gdzieś na wioskę, chutor, kobiety czy w ogóle ludzi i oddać im małego. On sam, choćby nie wiadomo jak się starał, nie mógł uratować tego życia. Czuł poza tym, że Niemcy nie odczepią się od niego. Wczoraj było siedmiu faszystów z karabinami, w nocy poją wił się cekaem, a także rakiety i psy — to znaczy.

I

że na tym kierunku zapowiada się coś poważnego i Niemcy zbierają siły. A on, głupi, miał zamiar przebijać się tędy do Brygady imienia Pierwszego Maja. Wyszukał sobie drogę jak sędę patrzy!... Szedł szybko skrajem obrośniętego przez olszyny trzęsawiska i nie mógł się zdecydować: obchodzić bagno dookoła, czy też włączyć w nie. Nie bardzo chciało mu się włączyć do zimnej wody bez wyraźnej potrzeby. Bagno musiało przecież mieć gdzieś koniec i można je było jakoś obejść. Ale sądząc ze wszystkiego, mokradło było niemałe i ciągnęło się daleko. Lewczuk już od godziny szedł brzegiem trzęsawiska, a ono wcale się nie kończyło. Nocna strzelanina huczała teraz z prawej strony, ale strzelano także z tyłu i z lewej — walki rozgorzały pewnie w różnych miejscach. A on znalazł się w nieznanym leśnym zakątku i biegł tam, gdzie gonili go prześladowcy.

Mały za pazuchą wiercił się czasem niespokojnie, wyginał, ale dobrze zawinięty w jedwabną pieluszkę, milczał na razie. Lewczuk w ostrym przypiływie strachu pomyślał: co to będzie, kiedy dziecko się rozplacze? Chyba już dawno trzeba było je nakarmić, jest głodne i dlatego tak się niepokoi. Czy taki maluch może zrozumieć, że jeżeli nie nadarzy się jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności, to oni obydwaj szybko padną plackiem w zaroślach, posiekani seriami z automatów, albo rozerwani przez owczarki? A i to tylko wtedy, kiedy się poszczęści. Bo mogą ich przecież złapać, wyprowadzić na szosę i powiesić za szczęki na haku izolatora, żeby konanie było długie i męczeńskie. Kiedyś umierał w ten sposób Trofim Dy-ła z Czarnuszczyca, łącznik ich oddziału. Lewczuk miał jednak nadzieję, że być może zanim dogonią ich Niemcy, natknie się na dobrych ludzi albo na wieś i najpierw uratuje małego. Byłoby mu

144

łatwiej, gdyby był sam, nie zanadto nawet kryłby się przed Niemcami. Być może miałby sposobność aby zacząć się na tych gadów i poprobować swoich sił, mierząc się z nimi. Co prawda potrzebny byłby do tego karabin maszynowy albo przynajmniej automat, ale i z pistoletu Lewczuk strzelał niezłe, nauczył się, będąc zwiadowcą. Jednakże z małym nie mógł sobie pozwolić na ryzyko, bo nie był pewien sukcesu, a nie chciał wyzywać losu na darmo. Toteż ciągle szedł, biegł, przedzierał się przez zarośla, dopóki bagno nie zaczęło go otaczać ze wszystkich stron. Wyglądało na to, że zabnął w głąsę, w której w ogóle nie było żadnych wai. Nadzieja na

spotkanie z ludźmi zaczęła szybko gasnąć. Trzeba było chyba liczyć wyłącznie na samego siebie. Bardzo chciał uratować dziecko, uczeplił się tej myśli jak niewyraźnej nadziei i za nic nie rozłączyłby się teraz z małym. Rzeczywiście, wszyscy ci, których powierzono jego opiece po kolei ginęli w tej drodze i został tylko nikomu nie znany, przez nikogo nie oczekiwany i pewnie nikomu niepotrzebny, bezimienny chłopczyk. Ale kto wie, czy właśnie nie dlatego mały stał się potrzebny Lewczukowi, wiążąc go w jakiś sposób z tymi, których już nie było — z Kławą, Grybojedem, Tichonowam, a nawet z Płatonowem. Mały dawał mu jakieś usprawiedliwienie, zarówno cierpienie jak i pomyłek. W tym maleństwie zawierał się, có prawda nie całkiem jeszcze zrozumiała, ale jednak jakiś tam sens. Lewczuk nie mógł tego zlekceważyć, przynajmniej dopóty, dopóki był żywy i pozostawał człowiekiem. Jeżeli nie uda się uratować dziecka, to po co była cała ta szaleńcza walka o życie? Życia nie cenił zanadto, wiedząc od dawna, wyżyć na wojnie, to po prostu luksus.

— Nic, nic, bratku — odezwał się do małego i i

10 — Stado wilków

14S

poznał swojego głosu, ochryplego od długiego milczenia. — Jeszcze się zobaczy...

Nie było jednak na co patrzeć, za to można było posłuchać. Może to i dobrze, że w czasie pogoni psy z daleka ujawniały swoją obecność groźnym szczekaniem, nasilającym się od świtu przez cały czas. Lewczuk przysłuchiwał się i rozumiał, że psy bardzo się zbliżyły. Pożałował, że zabrakło mu w kieszeniach choćby odrobiny tabaki, którą mógłby oprószyć swój ślad. Pomyślał, że trzeba chyba znowu włączyć w bagno, innego wyjścia już nie ma.

Biegł teraz twardym, wysokim brzegiem, porośniętym brzoźkami. Bagno odstępowało tutaj trochę w bok. Przebiegł jeszcze z pięćdziesiąt kroków w dawnym kierunku i nagle zawirował. Tam, gdzie bagienna osoka podchodziła blisko pod brzeg, odskoczył daleko w bok i starając się zostawać w trawie jak najmniej śladów, ruszył w stronę rozłożystego krzaka łożyny, rosnącego na trzęsawisku. Z początku było niezbyt głęboko, woda nie sięgała ponad cholewy butów, ale potem podniosła się i Lewczuk pożałował, że nie wziął ze sobą Tdja. Chociaż, jak miałby posługiwać się kijem? Sądząc jednak z charakteru mokradła, z tego, że pośród wodnych okien zieleniały kępy z łożą i olszynami, wywnioskował, że bagno nie powinno być w tym miejscu bardzo grząskie i przestał się bać, że go wessie.

Podtrzymując niemowlę za pazuchę, ostrożnie przechodził od kępy do kępy, chwytając lewą ręką gałązki krzaków i stopniowo zanurzając się coraz głębiej. Nie odszedł jeszcze choćby o sto kroków od brzegu, kiedy nogi aż po kolana zatonęły w błocie, a wkrótce mętna, torfiasta i mulista ciecz podeszła do bioder. Żeby tylko nie zrobiło się jeszcze głębiej — myślał Lewczuk — bo cóż wtedy zrobić z takim bagażem? Ale bagno stawało się coraz

głębsze, kępy rzedyły, a pomiędzy nimi pokazywały się okna czarnej wody, wolnej od zarośli, z pływającymi na powierzchni płaskimi liśćmi grążela — żółtej lillii wodnej. Lewczuk wiedział, że grązeli lubi głębiny i dlatego starał się nie wchodzić w okna, obchodzić je bokiem, w pobliżu kęp, przy których można było pomóc sobie ręką, chwytając za mech lub gałązki. Starał się iść jak najprędzej nie rozbełtując przy tym nogami wody, chociaż plusk i tak na pewno usłyszeć można było z daleka. Lewczuk co chwila przystawał i nadśluchiwał. Za którymś razem wydało mu się, że słyszy głos, jak gdyby okrzyk, wówczas szerzej rozstawił nogi i znieruchomiał: niczego już jednak nie usłyszał. Rozumiał, że okrzyk dobiegł z daleka i wcale go nie dotyczył. To znaczy, że było jeszcze trochę czasu. Nogi głęboko osiadły w bagnie i zanim Lewczuk ruszył dalej, musiał je z wysiłkiem powyciągać — najpierw jedną, a potem drugą. Zamoczył przy tym dół marynarki i pomyślał, że jeśli nic się nie zmieni, to wkrótce zamoknie cały, a czym wówczas okryje małego?

Poprzez zarośla tataraku doznał jakoś do omszałej kępki. Oparł się o jej brzeg, ostrożnie ściągnął z ramienia marynarkę i owinał dziecko. Niemowlę trochę się powierciło, ale nie zapłakało, pokornie przycichło, zakutane w tę nieostygłą jeszcze, ciepłą część Lewczukowego ubrania.

— No i dobrze! Poleż sobie. Najważniejsze — żebyś leżał i milczał. Może my jeszcze jakoś tam...

Stojąc po biodra w zimnej wodzie nadśluchiwał i rozglądał się. Dobrze byłoby przejść jeszcze dalej, gdyby nadarzyła się jakaś mniej więcej sucha kępka mchu, wysepka albo pagórek. Ukryć się tam przed psami, przeczekać, przesiadzieć. Ale trudno tu było znaleźć kępę mchu, bagno robiło się

coraz głośnie i Lewczuk szedł naprzód, ryzykując, że wpadnie

146

147

z głową w jakąś wyrwę. Zawiniątko z małym podnosił coraz wyżej i starannie badał nogami dno. Ślizgał się na poplątanych korzeniach olszyn i na wodorostach, czasem tracił równowagę i wtedy ledwie utrzymywał się nad wodą, mącąc bagno i robiąc w nim wiry. Rozwidniło się zupełnie, mgły z jakichś powodów nie było, a po wysokim porannym niebie płynęło kilka wzdętych chmur. Było cicho. I w tej ciszy dobiegło nagle do uszu Lewczuka głośnie szczekanie psów.

Obejrzał się i zrozumiał, że psy były już tutaj, na brzegu bagna. Zdziwiło go, że odszedł tak niedaleko. Mącąc wodę rzucił się do najbliższej kępy, na której sterczała rozdwojona, krzywa olszyna z zaskorupiałą, chropowatą korą pnia. Kępka była mała i na nieszczęście znajdowała się w głębokim miejscu. Lewczuk porządnie wymókł zanim do niej dobrnął. Zamoczył nawet trzymaną w rękach marynarkę. Stracił poza tym dużo czasu; Niemcy byli już gdzieś w pobliżu i nie wiadomo czy go nie usłyszeli. Aby być gotowym na najgorsze, wsunął zawiniątko z dzieckiem pod pień olszyny i podtrzymując je ręką, drugą przygotowywał pistolet. Woda dochodziła w tym miejscu do piersi, głowę niezłe zasłaniała kępa, na której, przy samej ziemi, krzewiła się młoda kruszyna. Lewczuk schował się za nią i czekał: gdyby Niemcy wleźli w bagno z psami, powinien zobaczyć ich pierwszy.

Był tylko nie zapłakał mały.

Usłyszał ich rzeczywiście pierwszy, zanim jeszcze ich zobaczył. Gałązki na brzegu zatrzeszczały i zabrzmiały jakieś słowa, pewnie komenda wydawana psu. Lewczuk głębiej opuścił się w wodę i wlepił wzrok w nie zasłonięty gałązkami skrawek brzegu. Przestał oddychać, wielkim palcem przesunął bez-

piecznik parabellum i wtedy zobaczył Niemców w niewielkiej przerwie między krzewinami. Najpierw na długiej smyczy wybiegł z zarośli pies. Rudy, z groźnie nastawianymi uszami, bystro wodził po ziemi czujnym nosem i od czasu do czasu rzucał szybkie spojrzenia przed siebie — szedł śladem. Wiodący psa ledwie za nim nadażał. Jeszcze bardziej z tyłu pospieszał drugi Niemiec — także w zielonym, zwiadowczym kombinezonie maskującym i w polowej czapce z daszkiem — prowadził na smyczy drugiego psa. Pomknęli dalej i wówczas wysypało się z krzaków na brzeg całe stado — z dziesięciu członków ekspedycji pacyfikacyjnej w jednakowych kombinezonach maskujących, uzbrojonych w automaty, poobwieszanych torbami polowymi, manierkami i lornetkami. Wyciągnęli się na brzeg długim szeregiem i ostrożnie rozglądając się na boki, ruszyli śladem Lewczuka, gotowi w każdej sekundzie rozładować swoje automaty.

— Och, gady. Gady! — szeptał Lewczuk zdrętwiałymi wargami, dobrze rozumiejąc, że jego sprawy mają się kiepsko. Jeżeli Niemcy nie pobiegną po przedłużeniu jego śladu, to, ma się rozumieć, długo tutaj nie usiedzi.

W chwilę potem stracił ich z oczu, słyszał tylko, że poruszają się gałęzie olszyn, za którymi znikli. Pomyślał, że w ciągu najbliższych sekund wszystko się rozstrzygnie. Pójdą dalej czy zawrócą? Wkrótce jednak za jazgotem skonsternowany pies, zabrzmiał srogie, władczy okrzyk, potem jakieś wypowiedziane niezbyt głośno, krótkie zdanie i Lewczuk zrozumiał, że psy zgubiły ślad. Opuścił się w wodę jeszcze głębiej, po same ramiona i zrobił krok w bok, żeby li' piej ukryć się za kępą. Spojrzał też do tyłu — 7; wielkim oknem czarnej wody rosła łożyna, za którą można by się było schować jak należy. Przez .sclu

148

walczył z chęcią rzucenia się w tamtą stronę, póki jeszcze była taka możliwość. Pozostał jednak na miejscu — poruszać się było ryzykownie, lepiej już siedzieć tutaj. Pożałował, że nie udało mu się odejść dalej od brzegu, nie wystarczyło czasu: gdyby wcześniej odważył się wleźć w bagno, być może znalazłby jeszcze ratunek.

Niemcy nie poszli dalej — zawrócili. Zobaczył ich uszykowanych jak poprzednio. Niemcy, jeden za drugim, wybiegali z krzaków z powrotem, po jego śladzie. Skurczył się za krzakiem kruszyny, wpił w Niemców wzrok i z zamierającym sercem czekał: a co będzie, jeżeli się zatrzymają? Jeżeli się zatrzymają i pies wskaże im bagno — wtedy będzie już po wszystkim. Wtedy już koniec.

Zdawało się, że przeskoczyli miejsce, w którym Lewczuk skręcił w bagno. Pierwszy pies i wiodący go Niemiec przeskoczyli na pewno, pozostali szli jeszcze wzdłuż brzegu i wtedy Lewczuk wyraźnie zobaczył swój ślad w przybrzeżnej osoco. Bez wątpienia — bardzo łatwo można było zauważyć, którądy szedł — w kilku miejscach osoka była przydeptana, a w lejkowatyich śladach stał jeszcze nie osiadły muł — o mój Boże, jakaż to nieostrożność! I tak blisko od brzegu! Żeby chociaż Niemcy nie zauważyli, żeby poszli za psem! Drętwiejąc z zimna i napięcia zobaczył, że miejsce poniżej brzeźniaka mija jeden Niemiec, drugi i trzeci... Zostawało jeszcze trzech i wreszcie przebiegł ostatni — gruby faszysta z nabrzmiałą, czerwoną twarzą. Lewczuk pozwolił sobie odepchnąć trochę głębiej — a może jeszcze się uda...

Nogi głęboko wessał muł i Lewczuk oparł się piersią o brzeg kępy, pochylił się nad dzieckiem, które przez cały czas niespokojnie wierciło się w marynarce, jak gdyby chciało ją zrzucić z siebie i zobaczyć co

150

się dzieje na świecie. Lewczuk zajrzał pod połę — twarzyczka małego zmarszczyła się z niezadowoleniem. Przerażająca była myśl, że dziecko za chwilę zapłacze. Żeby do tego nie dopuścić, Lewczuk wyrwał kłacze tataraku, oderwał miękką część i wsunął małemu w usta — possij sobie! Niemowlę rzeczywiście zaczęło ssać i uspokoiło się. Nie wiadomo na jak długo, ale jednak udało się chyba oszukać chłopca.

Potem znowu zaczął nadśluchiwać — słycać było, że Niemcy myszkują w pobliżu i Lewczuk myślał, że zawrócą, ale jakoś nie wracali, próbowali chyba odnaleźć jego ślad. Przez minutę dobiegało szwargo-tanie: albo Niemcy posprzeczali się, albo dowódca wydawał im nowy rozkaz. Później rozległa się głośna komenda i ktoś odkrzyknął bardzo blisko, prawie na samym brzegu bagna. Lewczuk przyczał się ponownie — przestał rozumieć co Niemcy wymyślili i ogarnął go strach.

Obejrzał się kilka razy, szukając jakiegoś wyjścia. Zastanawiał się, czy nie warto jednak zaryzykować przejścia pod tamten krzak łożyny, albo nawet ucieczki dalej, dopóki jeszcze Niemcy nie podeszli i nie zauważyli jego śladów. Ale kiedy tylko o tym pomyślał, zobaczył naprzeciwno na brzegu Niemca, który powiesił sobie buty na szyi i na bosaka włożył w bagno, akurat chyba po śladach. Drugi Niemiec, z automatem gotowym do strzału, stał na brzegu i najwyraźniej dodawał koledze otuchy.

— Yonwarts, dart ist eis nicht tief*.

— Hier ist eine Kluft** — z niezadowoleniem burczał bosy, przesuważąc nogi w wodzie. Lewczuk znowu przestawił kciukiem bezpiecznik i oparł lufę pistoletu o dolną gałąź olszyny. Zdecy-

* Naprzód, tam nie jest głęboko ** Tutaj jest zapadlisko (niem.)

151

dawał, że dopuści Niemca nie dalej niż do okna z rozsuniętą pokrywą rzęsy wodnej i wtedy wystrzeli. Niemiec nie wylezie, już stamtąd ze swoimi butami; później ten drugi, z brzegu, rozstrzela pewnie Lewczuka. A może i tego drugiego zdąży się zdjąć...

No i to już wszystko... Tyle było strachu i przeżywania, a Wiszystko kończy się tak zwyczajnie, że aż prawie niedorzecznie...

Jak zawsze w beznadziejnych sytuacjach Lewczuka opuścił strach, a już tym bardziej popłoch. Mózg zaczął pracować trzeźwo i dokładnie, a ręka zrobiła się silna i przestała drżeć. W takiej chwili Lewczuk nie spudłuje. Niemiec nie spieszył się jednak, szedł ostrożnie, unosząc białe, chude nogi z zakasanyimi do kolan nogawkami spodni wysoko ponad wodę. Kiedy się pochylał, buty chygotały mu się na brzuchu, tam też dyndał automat, który Niemiec podtrzymywał prawą ręką. Z rzadka tylko rzucał przed siebie krótkie spojrzenia spod daszka czapki, na ogół patrzył prosto pod nogi, zastanawiając się, gdzie by tu stąpnąć.

„No cóż, może to i lepiej! Chodź, chodź, gadzie!”

I Niemiec szedł, niosąc śmierć Lewczukowi i pewnie też sobie samemu. Pograżywszy się w bagnie po kolana podszedł do krzaczka kruszyny, schwycił się ręką gałązki i raptem, prawdopodobnie

pośliznąwszy się na dnie —bokiem chlupnął w wodę, zanurzając się po pierś. Próbując się podnieść wpadł jeszcze głębiej i własnym łokciem strącił sobie czapkę, która powoli odpłynęła, zanurzając się po chwili pod wodą. Mącąc bagno dookoła i nie wybierając już drogi, Niemiec rzucił się do tyłu, na płytsze miejsce i zaszwacrgotał ze złością, zwracając się do drugiego, który stał na brzegu i wykrzykując coś żartobliwym tonem, pękał ze śmiechu.

152

I

Mokry, oblepiony błotem Niemiec wylazł wreszcie z. bagna i ciągle coś tam szwargocąc, zdejmował z siebie po kolei kurtkę, spodnie i całą resztę, póki nie został zupełnie goły. We dwóch długo wykrecali mundur, z którego lała się ciurkiem błotnista woda. Lewczuk zupełnie zdrętwiał z zimna, zaczęły go trząść dreszcze — nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie skończy się ta guzdranina i tamten Niemiec włoży ubranie. Właśnie wciągnął już spodnie i niebieski siatkowy podkoszulek, po czym sięgnął po buty. Drugi, długonogi i najwyraźniej młodszy, z latarką na piersi, coś tam krzyknął w stronę zarośli, odpowiedział mu z daleka jeszcze inny głos i Lewczuk usłyszał na brzegu szczęknięcie zamka. Zaniepokoił się znowu — co teraz będzie?

Tym razem nie trzeba było długo czekać — w oddali zatrzeszczała seria automatu i nad bagnem gwałtownie, ze świstem przeleciały kule. Lewczuk nie zrozumiał: w co oni strzelają? Wydawało się, że oprócz niego nie było tu nikogo, a on był chyba ciągle jeszcze niewidoczny dla Niemców. I strzelali nie do niego, ale gdzieś w bok, z miejsca, w którym znikli pozostali, ci z psami. A może w bagnie siedzi ktoś jeszcze, może są tam partyzanci? Dwaj Niemcy, którzy przedtem podeszli najbliżej do Lewczuka, słysząc strzały, pobiegli teraz w ich kierunku. Biegący z tyłu pospiesznie wkładał kurtkę. Automat przerzucał w biegu z ręki do ręki. Lewczuk postanowił uciekać dalej w bagno, ale kiedy tylko schwycił na ręce małego, seria z brzegu rozpryskała wodę w pobliżu, a drobna gałązka olszyny upadła mu na ramię. Lewczuk przyczaił się, oparł o brzeg kępy i schował dziecko pod sobą. Wkrótce jednak zrozumiał, że to przypadkowe kule — Niemcy strzelali na chybił trafił. Ponownie wsunął się w bagno aż po same ramiona

11 — Stado wilków.

i r-j

i przez gałązki kruszyny obserwował bez przerwy opustoszałe teraz miejsce na brzegu.

Po chwili zobaczył co się właściwie dzieje — Niemcy znowu ustawili się na brzegu, jak stado wilków i powoli idąc skrajem bagna, systematycznie ostrzeliwali je z automatów.

Mając przed chwilą odrobinę nadziei, Lewczuk sponsepniał znowu — jak nie jedno, to drugie. Nie za-szczuli go psami, nie odnalazł go Niemiec, ale trafi go teraz za kępą ślepa seria i po cichu opuszczając się pod wodę, zginie w mule. Nienajlepszy los ze wszystkich możliwych, proponowanych mu przez wojnę. Dobrze jeszcze, jeżeli równocześnie zabiją małego, bo jeżeli dziecko zostanie?...

Wystraszony chyba strzelaniną mały zaczął się coraz bardziej niepokoić, a nawet po cichutku popłakiwać w marynarce. Lewczuk mocniej zawinął jej poły. Co by się stało, gdyby Niemcy usłyszeli płacz? Albo gdyby usłyszały go psy, groźnie szczekające i zachłystujące się skowytom od samego początku strzelaniny. Psy wyrwały się w bagno. Ale na szczęście trzaskanie dziesięciu automatów ogłuszyło chyba przede wszystkim strzelców i na razie żaden z nich nie mógł usłyszeć dobiegającego z daleka, słabiutkie-go głosu niemowlęcia.

Utraciwszy resztę nadziei, Lewczuk przyglądał się smętnie wartkim strumieniom smugowych kul, zbliżającym się ciągle do jego kępy. Niemcy nie żalowali amunicji i rozstrzelali każdą kępę, każdy wzgórek porośnięty mchem, każdy krzak i każde drzewo rosnące w bagnie. Tysiącem bryzg kipiała, wirowała zmieszana z błotem woda, ulatywały w powietrze liście, gałązki i żdźbła osoki, podrzucona w powietrze wraz z kroplami wody zieleniała rzęsa. Na poszarpanej kulami czarnej korze olch to tu, to tam zaświeciły się białe piętna. Takiego huku strzałów Lewczuk już

154

1

dawno nie słyszał, ostatnio chyba na froncie, w czterdziestym pierwszym, pod Kobryniem; płonna była w tym ogniu nadzieja na ocalenie.

Skurczony za kępą Lewczuk zanurzył się w wodzie jak mógł najgłębiej. Żałował, że nie może

schować pod wodę małego, który cały był na wierzchu, trochę tylko zasłonięty przez mech. Dziecko trafione zostanie pewnie jako pierwsze. Ale seria, która zabije małego, nie minie też i Lewczuka, tak że zginą właściwie równocześnie.

— Och gady, gady!...

Na tym samym co poprzednio, łysym kawałku brzegu pojawił się długonogi Niemiec z latarką na brzuchu. Wyszedł z zarośli, oparł o ramię rozkładaną kolbę automatu i puścił w bagno długą serię. Dziesiątka kul, wśród których były też smugowe, wabiła w powietrze mech z najbliższej brzegu kępy. Potem poleciały olszynowe liście z sąsiedniej. Seria niechybnie zbliżała się do Lewczuka. Mały pod jego rękami, jak gdyby przeczuwając rychły koniec, zapłakał głośniej, ale w powtarzanym przez echo trzasku serii nawet Lewczuk nie bardzo słyszał ten płacz. Śledził trasę kul, żeby zauważyć w porę, że nadeszła ostatnia chwila i żeby do niej dotrzeć. Na to, by przetrwać dłużej, nie było już nadziei.

W tym czasie na brzegu zjawiono się jeszcze dwóch Niemców. Długonogi z latarką pobiegł dalej, za to dwaj pozostali równocześnie przyłożyli się do automatów i strumień kul ze siwistem przeleciał koło olszyny. Z góry plusnęło w wodę strącone przez pociski małe trawiaste gniazdeczko; w powietrzu fruwać zaczął biały puch i kilka piór spadło na kępę. Lewczuk ukrył małego pod dłonią i jak mógł najgłębiej wciskał go w mech. Drugą ręką nakierował pistolet na brzeg. Miał zamiar wystrzelić w tego, który po zmianie magazynka przymierzał się do

155

trzeciej serii. Co prawda, jak na pistoletowy strzał było trochę za daleko, tym bardziej że z zimna i napięcia Lewczuk nie mógł poradzić sobie z ręką. Udało mu się w końcu wycelować, ale w głowie zjawiała się nieoczekiwana nowa myśl. Stało się jasne, że Niemcy z jakichś powodów wala jak gdyby górą, ponad kępą, ich serie przelatują nad głową i biegną gdzieś dalej. Lewczuk ostrożnie obejrzał się i spostrzegł, że z łożyny, poza którą niedawno jeszcze chciał się przenieść, liście gęsto ulatują w powietrze. I wówczas pojął, że Niemcy widzą w tej łożynie najbardziej podejrzane miejsce i dlatego tak starannie ostrzeliwiają ten krzak.

Zaświtała mu nowa nadzieja. Szczelniej otulił małego, chociaż ogłuszony trzaskiem i odgłosami, z krańca w kraniec szalejącymi nad bagnem, wcale nie słyszał płaczu dziecka, czuł tylko, że mały wierci się pod jego rękami. Żeby się tylko nie udusił — pomyślał Lewczuk, do bólu zaciskając szczęki — było tak zimno, że ledwie mógł znieść ten swój idiotyczny bezruch.

Strzelanina przesunęła się w lewo, tutaj Niemcy obstrzelali już dokładnie wszystko. Wokół poniewierały się w osoco świeżo pościnane olchowe gałęzie, w wodzie aż gęsto było od liści. Niedaleko, utrzymując się na kawałku łyka, wisiał nad wodą zrąbany przez kule wierzchołek brzoźki.

W tej części bagna zrobiło się ciszej, Niemcy ruszyli chyba dalej i Lewczuk zdobył się na odwagę. Zarzucił sobie zawiniątko z małym na ramię, przycisnął je lewą ręką i z pistoletem w prawej, powoli, tak aby nie rozpluskiwać wody, poszedł w kierunku rozstrzelanej wieloma seriami łożyny. Pomyślał, że drugi raz nie będą już rozstrzeliwać tego krzaka.

Za łożyną można jeszcze było się ukryć. Powierzchnię wody zaprószyły liście, pływały wokół korzenie potrzaskanych przez kule roślin wodnych; wodo-

156

rostry i grudki mułu wisiąły na połamanych gałęziach krzaka. Lewczuk pomyślał, że szczęście niezupełnie jeszcze odwróciło się od niego, skoro nie zdążył dobrnąć tutaj przed czasem. Gdyby zdążył, to na pewno leżałby teraz w tym miejscu, w bagnie, ociekając krwią...

— Cicho, cicho, bratku. Pomilcz troszkę — powiedział Lewczuk małemu. Odpoczął chwilę, rozejrzał się i boczkciem, boczkciem, więznąąc w mule po pas, tu i ówdzie pochylając się, a gdzie indziej omal nie płynąc, zaczął się posuwać dalej w bagno, sądząc, że jeśli go ono nie utopi, to być może uratuje.

16

Wkrótce drzewka i krzaki skończyły się, razem z nimi skończyły się zapadliska i okna, pojawiło się więcej trawiastych zarośli i mchu. Chociaż w niektórych miejscach było jeszcze głęboko, wszystko

chwiało się i odpływało spod nóg, tu nie było już jednak ryzyka utonięcia. Strzelanina powoli oddalała się w prawo, ostry świst kul nadal niósł się nad wodą w oddalonej części trzęsawiska. Wypłoszone ptaki błotne rozlatywały się na wszystkie strony. Nawet przyzwyczajone do ludzi sroki leciały teraz tuż nad brzegiem, starając się uciec od tego niebezpiecznego łoskotu. Przyciskając małego jedną ręką do siebie, Lewczuk biegł, skakał, chybotał się na omszałej powierzchni mokradła. Niekiedy zdążał przed zatonięciem jakiejś kępki przedostać się z niej na następną, a czasem nie zdążał. I wtedy któryś już raz z rzędu wpadał po pas w torfiaste błoto, rzucał się w jedną i w drugą stronę i starał się jakoś wyleźć na twardszy grunt. Mokre odzienie ohydnie oblepiało ciało, przy

157

każdym kroku chlupotało w butach, ale za to ruch pozwolił trochę się rozgrzać, Lewczuk nareszcie przestał drżeć. Starał się nie utopić w bagnie swojego zawiniątka z malutkim człowiekiem w środku, na siebie samego przestał już zwracać uwagę. Doszedł w końcu do skraju trzęsawiska. Z przodu, na pagórku, zieleniał gęsty sośniak i znaczyło to, że tam już zaczyna się brzeg. Tylko co go czekało na tej sosnowej górze?

Przebrnąwszy wreszcie przez bagno wbiegł po mokrym, ale nie chyboczącym się już torfowisku na zarośnięty czarzikęsem i wrzosem, piaszczysty pagórek. Buty, wydając cmokające dźwięki, zatupały po suchym. Lewczuk wyglądał chyba strasznie — nie dość, że mokry od stóp do głów, był do tego cały oblepiony błotem. Do ramion i rękawów poprzyczepiały mu się jakieś włókniste wodorosty; rzęsa i wszelki zielony drobiazg oblepiły odzież. Wydawało się jednak, że zawinięte w marynarkę dziecko nie za bardzo zmokło i jeżeli nawet wierciło się niespokojnie i płakało, to chyba głównie z głodu. Płacz niemowlęcia poganiał Lewczuika. Strzałów, które ciągle jeszcze potrzebowały gdzieś daleko, nie bał się zbytnio, już, się wydobył spod ich groźnej władzy. Poganiał go nowy kłopot.

Biegł. Chociaż w tym stanie biec było trudno (trzeba by chociaż wykręcić odzież i wylać z butów wodę), to jednak wygramolił się na pagórek, przedarł przez gąszcz sosenek i nagle znalazł się na wąziutkiej, ale wyjeżdżonej leśnej dróżce. A skoro była dróżka, to w pobliżu powinna być również wieś — z ulgą pomyślał Lewczuk. Byle tylko nie napotkać Niemców.

Nie za szybko pobiegł dróżką. W lewym bucie ciągle mu chlupało. Mały przycichł trochę, a potem umilkł zupełnie — zasnął pewnie na rękach, ukołysany tym biegiem. Lewczuk ruszył jeszcze wolniej —

158

rozgrzał się już i zaczął się rozglądać po lesie, szukając miejsca, w którym mógłby przysiąść na chwilę i wykręcić odzież. Niemców chyba tu nie było, a Lewczuk nie wiedział jak długo jeszcze będzie musiał iść, toteż bał się, że w mokrych butach pokaleczy sobie nogi. Onuce całkiem się pozsuwały.

Ledwie tylko pomyślał o tym, przyglądając się wysoko wybujałym paprociom przy drodze, kiedy usłyszał bliskie głosy i tupot końskich kopyt. Szybciutko zeskoczył z drogi, ale było już chyba za późno i jeźdźcy zdążyli go zauważyć. Czekał w napięciu, zgarbiony za krzakiem jałowca. Miał nadzieję, że być może tamci przejadą, ale oni zatrzymali się. Tupot na drodze ucichł i prawie nad jego głową zabrzmiał groźny głos:

— Hej, ty tam, wylaż!

Lewczuk zaklął w myślach ze złością — na jakich to diabłów wlaż znowu? Z głosu niby to nasi, ale kto ich tam wie — może to Niemcy albo policaje? Nie wypuszczając z rąk małego, ostrożnie wyciągnął z kabury parabellum i wychylił się zza krzaka, żeby wyrzeć na drogę. I nieoczekiwanie zobaczył jeźdźców tuż obok siebie. Oni, oczywiście, też zobaczyli Lewczuka; było ich trzech, na koniach. Ubrani byli co prawda po partyzancku, kto tam w co miał. Patrzyli teraz w paprotnik, kierując nań automaty — radzieckie pepesze.

— Ręce do góry!

Widać było, że to chyba partyzanci, chociaż całkowitej pewności Lewczuk nie miał. Niespiesznie podniósł się z zarośli, ułożywszy na ziemi małego i chowając za sobą parabellum. Ale jego niezdecydowanie nie spodobało się widocznie jeźdźcom. Jeden z nich, ubrany w starą bluzę, w

czarnej, zsuniętej na tył głowy kubance, skierował konia w paprocie.

— Rzucaj pistolet! No! I ręce do góry!

159

— Dobra — pojednawczo powiedział Lewczuk. — Jestem swój! O co chodzi...

— Zobacz się jeszcze, dla kogo żeś swój! Lewczuk przekonał się już, że, to partyzanci. Nie chciało mu się rzucać pistoletu, bo nie był pewien, czy mu go potem oddadzą. Toteż starał się zyskać na czasie, licząc nie wiadomo na co. Teraz już wszyscy jeźdźcy pozjeżdżali z drogi i zaczęli niezauważalnie okrążyć Lewczuka. Chyba rzeczywiście trzeba było rzucać parabellum i podnosić ręce do góry.

— Popatrz, on przecież wylazł z bagna! — domyślił się drugi z jeźdźców, młodziutki chłopiec z zaostrzoną twarzyczką.

— Z bagna, to fakt. Przyszedł z tamtego brzegu — mając na uwadze coś tam swojego powiedział pierwszy i zeskoczył z konia w paprocie.

Równocześnie z boku podjechał do Lewczuka trzeci — wyraźnie starszy od pozostałych mężczyzna w szarym, rozpiętym waciaku. Jego wygolona, chu-derława twarz z czarnymi wąsikami wydała się Lewczukowi znajoma. Jakby coś sobie przypominając, partyzant wpatrywał się w napotkanego w lesie w niezwykłych okolicznościach.

— Poczekaj! Ty przecież jesteś z „Herojskiego"! Nazywasz się Lewczuk, co?

— Lewczuk.

— Przecież myśmy razem wysadzali kiedyś zwrotnicę, pamiętasz? Drezyna łupnęła do nas wtedy. Lewczuk nagle, wszystko sobie przypomniał. To było zeszłej zimy, na rozjeździe, gdzie to razem z tym wąsatym układali w poprzek szyn podkład kolejowy, żeby nie dać przeskoczyć przez zwrotnicę drezynie, walącej wzdłuż torów z cekaemu. Ten wąsaty zgubił tam w rowie walonek i nie mógł w żaden sposób namacać go bosą nogą w głębokim śniegu.

160

Obydwaj omal tam nie poległ pod ogniem kara maszynowego.

Lewczuk wsunął pistolet do kabury, a chłopcy za ufali najwyraźniej swojemu towarzyszowi i powo, uspokoili się. Automaty przewiesili przez plecy. Wąsaty z zaciekawieniem spoglądał na Lewczuka.

— Ty co, wylazłeś z bagna?

— No — zwyczajnie odrzekł Lewczuk i wziął na ręce dziecko.

— A to co?

— To? Człowiek. Gdzie by tu znaleźć jakąś kobietę? Potrzebna mu mamka, całą dobę nie jadł. Mały jest jeszcze.

Chłopcy zamilkli, trochę zdziwieni, a Lewczuk rozchylił poły marynarki i pokazał im twarzyczkę małego.

— Oho! Rzeczywiście! Spójrzcie tylko... A skąd-żeś go wziął?

— To długa historia, chłopaki. Trzeba mi do jakiejś baby. On musi jeść, bo inaczej zginie.

— Musisz go oddać do obozu rodzinnego. Jest tu jeden niedaleko — teraz już prawie po przyjacielsku powiedział ten w kubance. Wskoczył na siodło. — Kulesz, odwieź go. Potem nas dogonisz.

— Nie — powiedział Lewczuk. — Powinienem sam. To jest, widzicie, taka historia... Powinienem sam. Czy to daleko?

— Zależy którą. Droga dosyć daleko. A jeśli przez strumień, to nie więcej jak dziesięć minut. "Wyszli z paproci na dróżkę. Konie niecierpliwie wierciły się pod jeźdźcami, którym najwyraźniej pilno było gdzieś jechać, chociaż tego napotkanego, który wylazł z bagna i okazał się znajomym ich towarzysza, niezręcznie byłoby zostawić samego bez pomocy.

— No, dobra! — zdecydował wreszcie ten w ku-

161

bańce, który był tu pewnie dowódcą. — Kulesz, pokaż mu drogę i doganiaj. Poczekamy na ciebie koło barci.

Wąsaty Kulesz zawrócił kania i Lewczuk szybko ruszył za nim drogą. Dobrze wyciągał nogi i zgadywał do jakiej to brygady teraz trafił, bo chyba nie do Brygady imienia Pierwszego Maja.

Kulesz nie mógł być z tej brygady, bo wtedy zdaną nie znalazłby się na rozjeździe — Brygada imienia Pierwszego Maja działała wtedy gdzieś pod Mińskiem i dopiero na wiosnę pojawiła się w tych stronach. Kulesz także obrzucał Lewczuka badawczymi spojrzeniami:

— Czy to do ciebie Niemcy strzelali? Na bagnie?

— Do minie, tak. Ledwie uciekłem. ,--

— Popatrzcie tylko! Tam jest przecież frzęsawi-sko, że hej!

— Ano. Myślałem już, że bąbelki wypuszczę. A ty teraz w Kirowskim wojujesz? — | z ostrożną ciekawością zapytał Lewczuk.

— W Kirowskkn, aha — nie robiąc żadnych tajemnic odpowiedział Kulesz. — Nas też cd dranie przycisnęli. Do wczoraj było jeszcze cicho, a wczoraj nas przygnietli. Słyszysz jak huczy? Bronimy się,

Lewczuk słyszał już od dawna, że huczało gdzieś tam na wprost przednimi. Strzały padały co prawda daleko, ale za to gęsto, z łoskotem, towarzyszyło im gromkie echo leśne.

— Słuchaj, a czy on czasem nie twój? — Kulesz wskazał Lewczukawe zawiniątko.

— Nie, nie mój — powiedział Lewczuk. — Mojego przyjaciela.

— Patrzcie no! No cóż, wszystko jasne.

— Nie zdążył się urodzić, a już sierota. "Ani tałiki, ani matki.

— Bywa — westchnął Kulesz. — Teraz o to nietrudno.

162

Lewczuk kroczył szybko obok spokojnego konia i stopniowo przestawał myśleć o tym co przeżył ostatnio. Chyba się już teraz uratował ostatecznie, uratował się sam i uratuje itez (małego, a to najważniejsze. Był jednak zanadto zmęczony, żeby cieszyć się z tego. Teraz, kiedy tyle okropieństw zostało po tamtej stronie bagna, które pomogło mu mimo wszystko, czuł tylko ciężką, tępą niemoc. Prawie biegnąc za koniem, bez przerwy rzucał niecierpliwe spojrzenia przed siebie — kiedy wreszcie ukaże się ten obóz? Dalej niż do obozu już nie pójdzie, najpierw wyśpi się porządnie, a potem być może pokaże jakiemuś doktorowi swoją ranę. Mokre, nie przewiązane jak należy ramię tępo bolało, albo zaczynało nieznośnie swędzieć — ropiało chyba — brakowało jeszcze jakiegoś zakażenia, cóż wtedy miałyby zrobić? Rana zaczęła go teraz poważnie niepokoić.

— Już niedaleko — powiedział Kulesz. — Przejedziemy przez strumień i zaraz będzie obóz.

Zmęczony Lewczuk westchnął i spojrzał na małego, który drzemał sobie. Dróżka zbiegała z sosnowego pagórka na dół, biegła przez łąkę w leszczyny nad strumieniem. Lewczuk i Kulesz zobaczyli nagle, że z drugiej strony rzeczki, naprzeciwko nich, biegną bezładnie ludzie z karabinami. Jeden z nich zamachał ręką i Kulesz wstrzymał konia.

— Co się stało?

Na dróżkę wybiegł smagły człowiek w niemieckim mundurze i z niemieckim automatem w ręce, z wielką lornetką wiszącą na piersi. Wyraz jego oczu był stanowczy i surowy. Lewczuk domyślił się, że to pe-wmie jeden z dowódców Oddziału Kirowskiego.

— Kulesz, stój! — krzyknął dowódca i zarzucił na ramię automat. — Co to za jeden? — ukłął Lewczu-ka groźnym spojrzeniem.

— On jest z „Herojskiego” — odpowiedział za

Lewczuka Kulesz. — Niesiemy dziecko do obozu rodzinnego.

—! Jakie znowu dziecko? — z oburzeniem krzyknął dowódca. — Wszyscy do szeregu! Niemcy się przedarli, słyszysz co się dzieje?

Z leszczynowego zagajnika wyskoczyło na drogę dziesięciu partyzantów. Wszyscy byli zdyszani; pewnie biegli już długo. Zatrzymywali się teraz niezdecydowanie, przysłuchując się nieoczekiwanej u-tarczce swojego dowódcy ze znajomym Kuleszem i nieznanym partyzantem z „Herojskiego”.

— Jak to, z niemowlęciem do szeregu? — zdziwił się Kulesz.

— Dobra, ty odwieziesz dziecko! — szybko zdecydował dowódca. — A ty — do szeregu! Gdzie twój karabin?

— Nie mam — powiedział Lewczuk. — Mam pistolet. •

— Stawaj z pistoletem. Za mną, marsz!

Lewczuk zawahał się na sekundę, - chciał powiedzieć, że jest ranny, ale podniecone twarze

dowódcy i jego żołnierzy przekonali go, że lepiej chyba posłuchać. Tacy zazwyczaj nie pytają nikogo o zdanie ani nie wnikają w niczyje usprawiedliwienia, jeżeli coś jest nie tak, chwytają za pistolet. Lewczuk dobrze o tym wiedział.

Toteż oddał małego Kuleszowi, który niezbyt zręcznie, chociaż ostrożnie uniósł go na siodło.

— Najważniejsze to znaleźć jakąś ciotkę. Żeby go karmiła — przypomniał Lewczuk.

— Będzie zrobione. Nie martw się.

Czarnoilicy partyzant o gorącym spojrzeniu wbiegł trochę wyżej na pagórek i obejrzał się. Lewczuk jednak stał jeszcze, pomyślawszy nagle ze strachem, że Kulesz mógłby upuścić małego. Kulesz ścisnął końskie baki wydeptanymi obcasami i zatrzymał się.

— Hej, a jak on ma na imię?

— Na imię? — zdziwił się Lewczuk. Rzeczywiście, być może rozstawał się z małym na zawsze, a imienia mu nie nadał. Ale czy miał do tej pory czas, żeby myśleć o imieniu? Nie miał nawet wielkiej nadziei, że imię będzie małemu kiedykolwiek potrzebne.

— Wiktor! — odrzyknął Kuleszowi, przypomniawszy sobie, że tak miał na imię Płatonow.

Powiedz, że Wiktor. A nazwisko Płatonow. Wiktor Płatonow.

— Rozumiem.

Kulesz pomknął dróżką i szybko zniknął za zakrętem, a Lewczuk drgnął z zimna w swoim mokrym ubraniu i krokiem zmęczonego pobiegł za czar-nolicym. Słysząc już było, że z tamtej strony huknęły karabiny. Pod porannym niebem zaświstały dźwięcznie pierwsze kule...

17

...Przed chwilą zaczął się przyglądać balkonom i nie od razu, z pewnym opóźnieniem odgadł, że należy do nich trzeci balkon od bramy. Rzeczywiście, jeżeli ich mieszkanie znajduje się po lewej stronie, to jego okna wychodzą na podwórko. Pomiędzy oknami był ten balkon z waziutkami oszklonymi drzwiami i jakimiś kwiatkami w doniczce-korytku, podwieszanej pod poręczą. Na balkonie stał również pleciony fotel czy też stolik, a z dachu opadał gruby koniec przewodu od anteny. I nagle, nieoczekiwanie dla siebie, Lewczuk zobaczył tam młodą kobietę w jasnym szlafrocuku, która po cichu wyszła z pokoju, podlała kwiatki wodą ze szklanego słoika, spojrzała w dół i równie cicho zniknęła w mieszkaniu, nie zamykając balkonowych drzwi.

165

Nie mógł sobie uświadomić całego sensu tego zdarzenia, chociaż zrozumiał, że się doczekał. Tak; doczekał się tego spotkania, na które czekał już od tylu lat. ON jest tam! Kwadrans temu zauważył kątem oka jakąś parę, wchodzącą do bramy, ale zobaczył tylko plecy mężczyzny — niewysokiego, z ostrymi ramionami i chudymi łokciami, sterczącymi z krótkich rękawów sportowej koszuli. Lewczuk nie zwrócił na tę parę specjalnej uwagi. W jego wyobraźni Płatonow był inny, toteż nadal siedział na ławeczce, przyglądając się coraz rzadszym, przypadkowym przechodniom. Ale chyba nadeszła już pora, żeby wstać. Życie nieczęsto pieści człowieka spełniając jego marzenia, życie ma zwyczaj robić po swojemu. Ale i człowiek lubi obstawać przy swoim, no i wynikają z tego kłopoty, które czasem kiepsko się kończą.

Jasne, wszystko o czym Lewczuk marzył przez trzydzieści lat to dziecinna zabawa, nic więcej. W rzeczywistości wszystko jest na pewno inne. Ale on musi się dowiedzieć: JAKIE? Zbyt wiele stłoczyło się w tej partyzanckiej historii, ze wspomnieniem której przyszło mu dożywać reszty swoich dni. Tym bardziej że potem szczęście zupełnie go opuściło. Pod koniec blokady amputowano mu rękę i Lewczuk zajął miejsce Grybojeda, przy koniach, w oddziale sanitarnym. Zył wspomnieniami, myśląc przede wszystkim o „małym”, którego uratował przed stadem wilków i który potem nie wiadomo gdzie się podział. Kulesz uwiózł go drogą i od tamtej pory Lewczuk nie widział go ani razu. Pytał o niego wszystkich przy każdej okazji, ale na próżno. Kto miał coś wiedzieć o jakimś tara niemowlęciu, kiedy padały setki dorosłych, silnych, wytrzymałych.

Nagrodami również nie za bardzo obdzielano Lewczuka. Kiedy wojował — nikomu nie było do tego, a potem już nie wojował — służył w taborach. Dlatego też największą nagrodą

166

dla jego sumienia pozostał ten chłopiec, obecnie obywatel kraju, Wiktor Płatonow.

Powoli, zmagając się z nieoczekiwaną słabością w nogach, Lewczuk wstał ze swojej ławki i

poszedł w kierunku bramy. Ze wzruszeniem myślał o wszystkim naraz: o tym co przeżył wówczas, dawno temu, o swojej radości i o swoich strachach, o swoim jakimś tam, trochę nijakim, a w każdym razie przeżytym już życiu i o spotkaniu, na które podążał przez trzydzieści lat. Powstrzymując tę rozczulającą, ciepłą falę, powoli, z przystankami, wszedł po schodach na górę, na trzecie piętro. Znajome drzwi, tak jak i przedtem, były szczelnie zamknięte. Teraz jednak wyczuł za nimi ludzi. Nacisnął guzik dzwonka. Czekał aż ktoś mu otworzy, ale zamiast tego rozległ się z głębi mieszkania basowy, męski głos:

— Otwarte! Proszę wejść!

I Lewczuk, zapominając zdjąć czapkę, nacisnął klamkę drzwi.

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” WARSZAWA 1981

Wydanie pierwsze. Nakład: 20 000 + 350 egz.

Objętość: ark. wyd. 7,45, ark. druk. 6,96/A1

Papier druk kl. V, 70 .g B1

Nr priori. XII-5/214R/78 Zam. 1149-80 L-4

Prasowe Zakłady Graficzne, Ciechanów, ul. Moniuszki 17/1»

Cena zł 45,—